

W obronie

Pokoju

PISMO, KTÓRE CZYTA CAŁY ŚWIAT

Nr 3 (33) Marzec 1954 r. Cena zł 2,50

Pierre Cot: Przedwiośnie . . .	2
Wywiad z Etienne Nouveau . . .	4
Genealogie atlantyckie . . .	7
Historia Ucinady . . .	20
Giral: Układy hiszpańsko-amerykańskie . .	20
Georges Govy: Wędrując po Londynie . .	20
M. K. Kalelkar: Nowa Azja . . .	32
Michel Hincker: Bieg do Pekinu . . .	41
Kłopoty przemysłowców angielskich . . .	41
D. Morosini: „Dzień dobry, Panie Gauguin!”	51
P. Łukiński: Na śladach Marco Polo . . .	51
G. Marotta: Zawód zawodowi nierówny!	71
Fallas: Secundino (Z życia górników) . . .	71
Pudowkin: Aktor w teatrze i w filmie . .	81
Mihail Sadoveanu: Oczy (nowelka) . . .	91
Dr J. L. Crehange: Jak leczyć łysienie . .	101
K. Zarewicz: Republika Kazachska . . .	101
Stefan Litauer: Fakty i komentarze . . .	111
Szachy . . .	121
Rubryka filatelistyczna . . .	121
Okladka: James Boswell	

Wydawca: POLSKI KOMITET OBRONCÓW POKOJU

Redakcja: Warszawa, Foksal 18

Telefony: Redaktor Naczelny' 65-181

Sekretarz Redakcji 65-184

Godziny przyjęć: 13 — 15

Administracja: W-wa, ul. Wiejska 12, tel. 853-30.

Warunki prenumeraty: kwartalnie — 7,50 zł

półrocznie — 15,00 zł

rocznie — 30,00 zł

**Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy
pocztowe i listonosze wiejscy**

Ekspedycja Centralna: Srebrna 12.

Drukarnia RSW „Prasa”. W-wa, al. Jerozolimskie 125

**Wszelkie reprodukcje naszych tekstów i ilustracji są do-
puszczalne tylko za podaniem źródła: „W Obronie Pokoju”**

» W OBRONIE POKOJU «



Większość artykułów pochodzi z miesięcznika;

DEFENSE DE LA PAIX

33, rue Vivienne — Paris II — Tel. CEN 49-27, 49-28

pod redakcją PIERRE COTA

deputowanego do francuskiego parlamentu

oraz

CLAUDE MORGANA, literata i publicysty

KOMITET DORADCZY:

Dr ATAL (Indie), *prof. Uniwersytetu*, **JOSE BERGAMIN** (Hiszpania) *pisarz katolicki*, **IZABELA BLUME** (Belgia) *deputowana socjalistyczna*, **GEORG BRANTING** (Szwecja) *deputowany socjalistyczny*, **ILJA ERENBURG** (ZSRR), *pisarz*, **Gen. ERIBERTO JARA** (Meksyk) *b. minister*, **MAHDI JAWAHIRI** (Irak) *poeta*, **LEON KRUCZKOWSKI** (Polska) *przewodn. Zw. Literatów Polskich*, **MAO DUN** (Chiny) *przewodn. Zw. Literatów Chińskich*, **CESA NABARAOUI** (Egipt) *dziennikarka*, **PIETRO NENNI** (Włochy) *b. minister*, **MARIA ROSA OLIVER** (Argentyna) *literatka*, **LUIGI RUSSO** (Włochy) *krytyk*, **GORDON SCHAFFER** (W. Bryt.) *publicysta*, **ARNOLD ZWEIG** (Niemcy) *pisarz*.

PRZEDWIOSNIE

PIERRE COT

W CHWILI, gdy piszę te słowa, toczą się w Berlinie obrady Konferencji czterech wielkich mocarstw. Oczywiście pragnę dzisiaj pomówić o perspektywach tych rokowań międzynarodowych.

Wiosną 1953 r. zaczął kształtować się na świecie nowy klimat polityczny. W odpowiedzi na najgłębsze pragnienia narodów, w świecie zachodnim zabrały głos upoważnione do tego osobistości, wypowiadając się na rzecz nawiązania rokowań.

I jakkolwiek, co łatwe było do przewidzenia, nie omieszkaly dać się słyszeć głosy przeciwne, a potężne siły i interesy stanęły w poprzek wielkiego prądu opinii publicznej, domagającej się pokojowego współistnienia, nie udało się jednak tej kontrofensywie zimnej wojny przeszkodzić podpisaniu rozejmu w Korei, rozejmu, będącego pierwszym konkretnym rezultatem odprężenia.

Odtąd stosunki międzynarodowe przeżywały okresy wzlotów i upadków z coraz słabszymi kolejnymi zwrotami w kierunku rokowań — to znowu w kierunku polityki siły. Pietro Nenni słusznie zauważył w napisanym pod koniec listopada ub. roku artykule wstępnym, że w sprawie niemieckiej zrobiono poważny „krok wstecz”. Ale w kilka dni potem odpowiedź Związku Radzieckiego na notę mocarstw zachodnich, że nie będą wysuwać warunków wstępnych do tej Konferencji, zmieniły znowu perspektywy i to w pomyślnym kierunku, robiąc w ten sposób „krok naprzód”.

O ile nie można przewidzieć, w jakiej mierze toczące się w Berlinie rozmowy pozwolą posuwać się dalej na drodze porozumienia, to jednak słuszne wydaje się orzec już dzisiaj, że dzięki ostatnim wydarzeniom wzrosły szanse utrwalenia pokoju. Pozwalają to stwierdzić trzy główne dane:

Pierwszą z nich jest fakt, że konferencja czterech wielkich mocarstw mogła się zebrać. Fakt ten jest konsekwencją odprężenia międzynarodowego. Już od 1951 r. domagaliśmy się zwołania tego spotkania. Ale dopiero obecnie mogło się ono odbyć na skutek zmiany w stosunkach międzynarodowych i zwiększonego nacisku narodów.

Drugim bardzo ważnym wydarzeniem jest nawiązanie rozmów między rządem Stanów Zjednoczonych a rządem Związku Radzieckiego na temat problemów energii atomowej. Zapewne istnieją w samych założeniach głębokie rozbieżności między przeciwnymi koncepcjami.

Prawda, że prezydent Stanów Zjednoczonych nie przewiduje w swoich przemówieniach zakazu broni atomowych i — jak się zdaje — nie bardzo jeszcze oddalił się od poglądów, leżących u podstaw planu Barucha.

Ale chcemy podkreślić zawartą w jego przemówieniu propozycję nawiązania rokowań i wolę przeniesienia problemu na nową płaszczyznę. W przemówieniu swoim Eisenhower odpowiada na życzenia Związku Radzieckiego, którego przewodniczący rady ministrów Malenkov oświadczył w wywiadzie z dnia 1 stycznia 1954 r. dla dziennikarza amerykańskiego:

„Przed wszystkim należy życzyć polepszenia stosunków między naszymi krajami. Uważam, że nie ma obiektywnych przeszkód, aby w nowym roku stosunki między Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi uległy polepszeniu i aby zacieśniły się tradycyjne więzy przyjaźni między narodami naszych krajów. Mam nadzieję, że tak będzie”.

Pierwszym warunkiem tego polepszenia i tej przyjaźni, której życzy Malenkov w orędziu, przepojonym wolą pokojowego współistnienia, jest oczywiście nawiązanie rokowań, ich rozwój i ich pomyślny rezultat.

Trzecim powodem, który pozwala nam spoglądać w przyszłość jeżeli nie z pogodą, to przynajmniej z większą nadzieją, jest potęgujące się coraz bardziej w krajach zachodnich dążenie do podjęcia wymiany handlowej z krajami obozu socjalizmu. Widzimy, jak nieomal jednocześnie bawili w Moskwie przedstawiciele brytyjskich kół gospodarczych i oficjalna misja francuska z identycznymi zamiarami zawarcia układów handlowych ze Związkiem Radzieckim, a sekretarz generalny Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ Myrdal udał się kolejno do Francji, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego, by przedyskutować całość problemu ożywienia wymiany handlowej między krajami Wschodu i krajami Zachodu.

Oznaki odprężenia na odcinku gospodarczym dają się odczuć również w Stanach Zjednoczonych, gdzie Harold Stassen, dyrektor Urzędu Operacji Zagranicznych dokonał pojednawczego gestu, wykreślając z listy embarga pewną ilość produktów przemysłowych, dotąd klasyfikowanych jako materiały strategiczne.

Mimo tych wszystkich oznak nie powinniśmy zapominać o bardzo wielkich trudnościach, jakie trzeba jeszcze pokonać. Jakkolwiek udało się doprowadzić do rozejmu w Korei, nie doszliśmy jeszcze do rokowań w sprawie zawarcia pokoju w Korei, ani nawet do porozumienia co do składu konferencji, która będzie opracowywać klauzule tego pokoju.

Naturalnie droga ułamana jest przeszkodami i zasadzkami. Ale zwyciężyliśmy już tyle innych! I zależy od nas, od naszej energii, od naszego uporu, od cierpliwego wysiłku wszystkich obrońców sprawy rokowań i pokoju, aby doprowadzić do celu. Rzeczywiście możemy zauważyć, że te pierwsze sukcesy — jeszcze naszym zdaniem zbyt skromne — w dziedzinie odprężenia międzynarodowego, są w poważnej mierze rezultatem kampanii na rzecz rokowań, zapoczątkowanej w całym świecie przez Światową Radę Pokoju.

Ważne jest w tym fakcie, dodającym otuchy naszym nadziejom, że duch rokowań zaczął odnosić zwycięstwa nad polityką siły. Wiem, że istnieje przysłowie: „Jedna jaskółka nie robi wiosny”. Ale jednak pierwsza jaskółka pojawia się dopiero tuż przed nadejściem wiosny.

„EUROPEJSKA WSPÓLNOTA OBRONNA”

czyli małżeństwo z nierozsądku

Wywiad z ETIENNE NOUVEAU, adwokatem w paryskim Sądzie Apelacyjnym, przewodniczącym Federacji Inwalidów Wojennych, wiceprzewodniczącym Francuskiej Unii Byłych Kombatantów.

ETIENNE Nouveau jest nie tylko sławnym adwokatem paryskiej palestry, ale również wybitną osobistością w ruchu byłych kombatantów. Ranny w czasie pierwszej wojny światowej podczas szturmów na płaskowyż górze Craonne, został w okresie walk Ruchu Oporu (lata 1940 — 1944) dowódcą Korpusu Franc Vengeance, toczącego boje z wojskami niemieckimi w okręgu paryskim i w Bretanii. W 1953 r. Etienne Nouveau prowadził pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu manifestację inwalidów z udziałem przybyłych ze wszystkich stron ludzi, którzy protestowali w ten sposób przeciw przywróceniu mienia osławionej firmie niemieckiej Kruppa.

Pytanie: W jakim momencie zrozumiał pan możliwość odrodzenia się niebezpieczeństwa niemieckiego?

Odpowiedź: W trzy dni po bezwarunkowej kapitulacji Niemiec! Byłem w owym czasie członkiem Zgromadzenia Doradczego i stałem na czele misji parlamentarnej, która udała się do Niemiec. W Weimarze byłem gościem amerykańskiego generała, dowódcy okręgu. Jako jedyny mówiący po angielsku Francuz, znajdowałem się skutkiem tego z konieczności w centrum wszystkich rozmów.

W owym czasie jedynym marzeniem żołnierzy amerykańskich było powrócić do domu, skoro wojna została wygrana. Życie wojskowe w Niemczech nie miało już dla nich wielkiego uroku, ponieważ zakazano im wszelkiej fraternizacji z ludnością. Ale zauważyłem, że dowódcy zdawali się odnosić dosyć przychylnie do tej fraternizacji.

Wielu z nich było zresztą pochodzenia niemieckiego. Nic w tym dziwnego. Niech pan nie zapomina, że w Stanach Zjednoczonych około 6 milionów obywateli wywodzi się bezpo-

średnio z narodowości niemieckiej. Stało się tak dlatego, że władze amerykańskie szeroko popierały napływ i naturalizację emigrantów rasy nordyckiej, gdy tymczasem w stosunku do emigrantów rasy łacińskiej stosowano najostrzejsze ograniczenia.

Wtedy właśnie powiedziałem sobie po raz pierwszy, że niebezpieczeństwo niemieckie mogłoby się któregoś dnia odrodzić. Było to zresztą po rozmowie z jednym z moich przyjaciół z Ruchu Oporu, która wywarła na mnie duże wrażenie. Oto przyjaciel mój powtórzył mi zwierzenie pewnego oficera amerykańskiego, uczynione na kilka dni przed klęską Niemiec: „**Po wojnie — powiedział ten oficer — będziemy zmuszeni na nowo uzbroić Niemcy, aby zapobiec ich konkurencji.**”

Po zakończeniu wojny Stany Zjednoczone żyły pod strachem powtórzenia się kryzysu, podobnego do tego, który srożył się w latach 1929 — 1930. To pociągało za sobą pragnienie kół rządzących w Stanach Zjednoczonych — jak również Wielkiej Brytanii — by przeprowadzić remilitaryzację Niemiec zachodnich. Wzbudzano w społeczeństwie strach, spekulując na rzekomej groźbie inwazji radzieckiej.

U źródeł tego dążenia do remilitaryzacji Niemiec zachodnich kryje się również polityka Watykanu. W rozbitych na dwoje Niemczech część zachodnia tworzy kraj o większości katolickiej. Gdyby połączyć obie części, większość byłaby protestancka. To pozwala zrozumieć, dlaczego najbardziej czynnymi zwolennikami „europejskiej wspólnoty obronnej” są

De Gasperi, Schuman, Van Zeeland i Adenauer.

Pytanie: Jakie są główne przyczyny, dla których sprzeciwia się pan stworzeniu „europejskiej wspólnoty obronnej”?

Odpowiedź: W tym kleconym małżeństwie, gdyż chodzi tutaj rzeczywiście o małżeństwo, wszystkie części składowe są sprzeczne. Dobrze jest przed ślubem odwiedzać się czas jakiś w okresie szczęśliwego narzeczeństwa. Zaręczyny obchodzone w obozach koncentracyjnych i w obozach zagłady nie wróżą nic dobrego.

Gdybyż jeszcze miało się pewnością, że Niemcy zachodnie się zmieniły! Ale nie ulega wątpliwości, że nie zaszło nic podobnego. Wybór Adenauera to wybór silnego człowieka. Tkwi więc w Niemcach nadal przyzwyczajenie posłuszeństwa dla wodza, co nie wymaga poważniejszego zastanawiania się. Zresztą echo licznych składanych tam oświadczeń świadczy, że najwidoczniej w Niemczech zachodnich nic się nie zmieniło.

Z drugiej strony — jeżelibyśmy doprowadzili do tego małżeństwa — znaleźlibyśmy się wraz z ludźmi, którzy nie zgadzają się na wschodnie granice Niemiec. Wysuwają oni żądania, gdy my tymczasem nie mamy czego żądać. Wysuwają oni żądania odwetowe, wiodące do wojny. Gdybyż uroczyście uznali granicę na Odrze i Nysie! Ale nie uznali jej. Zakwestionowanie tej granicy mogłoby znaleźć rozwiązanie jedynie na drodze wojny.

Tak więc w projektowanym związku kryje się ziarno nowej wojny, która wybuchłaby w wyniku oczywistej konsekwencji psychologicznej.

Nie można stworzyć większego niebezpieczeństwa wojny, jak poprzez tak zwaną „europejską wspólnotę obronną“, która wzbudza niepokój Związku Radzieckiego.

Związek Radziecki, tak samo jak my, padł dwukrotnie w ciągu tego stulecia ofiarą najazdu. Pomyślną dla nas szansą są jego mocne nerwy. Ale opieranie się tylko na tym byłoby jednak ryzykiem.

Pytanie: Jakie znaczenie przypisuje pan w obecnych warunkach francusko - radzieckiemu układowi o wzajemnej pomocy?

Odpowiedź: Układ ten w zbyt wielkim stopniu puszczono w zapomnienie.

Przerażony jestem, kiedy czytam wychodzące spod pióra Francuzów poglądy, że odrzucenie „europejskiej wspólnoty obronnej“ równałoby się zmianie istniejących obecnie sojuszów.

Właśnie odwrotnie — przyjęcie „europejskiej wspólnoty obronnej“ doprowadziłoby do zmiany sojuszów, anulując klauzulę traktatu francusko - radzieckiego, przewidującą, że obie układające się strony zobowiązują się nie podpisywać sojuszu i nie uczestniczyć w żadnej koalicji, wymierzonej przeciw jednej z nich.

Odrzucając „europejską wspólnotę obronną“, unikniemy zmiany naszych sojuszów, a w szczególności naszego sojuszu ze Związkiem Radzieckim, którego udział w zachowaniu naszego bezpieczeństwa na warunkach wzajemnej niezależności winniśmy w pełni oceniać.

Trzeba jednak również szukać rozwiązania problemu niemieckiego. Moim zdaniem rozwiązaniem takim

byłyby Niemcy zjednoczone, zneutralizowane, z policją, a nawet i kontyngentami wojskowymi, ale bardzo ograniczonymi liczebnie i kontrolowanymi przez wielkie mocarstwa. Dostatecznie surowa była lekcja z milionami ofiar w obozach, aby uznać konieczność kontroli wielkich mocarstw nad Niemcami na przeciąg 50 lat.

Należy doprowadzić do układu między czterema wielkimi mocarstwami co do neutralności, ograniczenia sił zbrojnych i co do kontroli. Układ o „europejskiej wspólnocie obronnej“ przewiduje remilitaryzację Niemiec w ciągu pięćdziesięciu lat. Należałoby zamiast tego zapewnić na ten sam okres kontrolę zneutralizowanych Niemiec.

Problem jest niesłychanie delikatny. Jak zapobiec — skoro my sami ponosimy ciężar utrzymania sił zbrojnych — konkurencji o tyle łatwiejszej, że budżet niemiecki nie zawierałby tego rodzaju obciążeń?

Pytanie: Powraca pan zatem do uwagi amerykańskiego oficera: „Po wojnie zmuszeni będziemy na nowo uzbroić Niemcy, aby zapobiec ich konkurencji“.

Odpowiedź: Rzeczywiście. Oto problemy trudne do rozwiązania. Albo należałoby narzucić zneutralizowanym Niemcom udział w ciężarach innych państw, co uspokoiłoby Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, które najbardziej obawiają się tego, że Niemcy nie będą niczym obciążone. Albo też, co rozwiązałoby wszystkie trudności, należałoby uzupełnić układ w sprawie Niemiec ogólnym układem o stopniowym i kontrolowanym rozbrojeniu.

Genealogie atlantyckie

B

IURO prasowe organizacji paktu północno-atlantycznego ogłosiło ostatnio schemat różnych sztabów dowodzących atlantyckimi siłami zbrojnymi.

Schemat ten (patrz str. 8—9) ma kształt prawdziwego drzewa

genealogicznego. Na górze najstarszy „przodek” generał Gruenther. Na dole — jego „dzieci”, „wnuki”, „siostrzeńcy” itd... Zaznaczmy przede wszystkim, że członkowie tej wielkiej rodziny wszyscy mieszkają w różnych miastach i krajach i że wydają się nie posiadać zbyt jasnego pojęcia o geografii. Gdyż jeśli ktoś zamieszkuje w Izmir (Smyrna), a nazywa się „atlantyckim”, to na prawdę znaczy nie wiedzieć, gdzie leży Morze Egejskie i Morze Śródziemne.

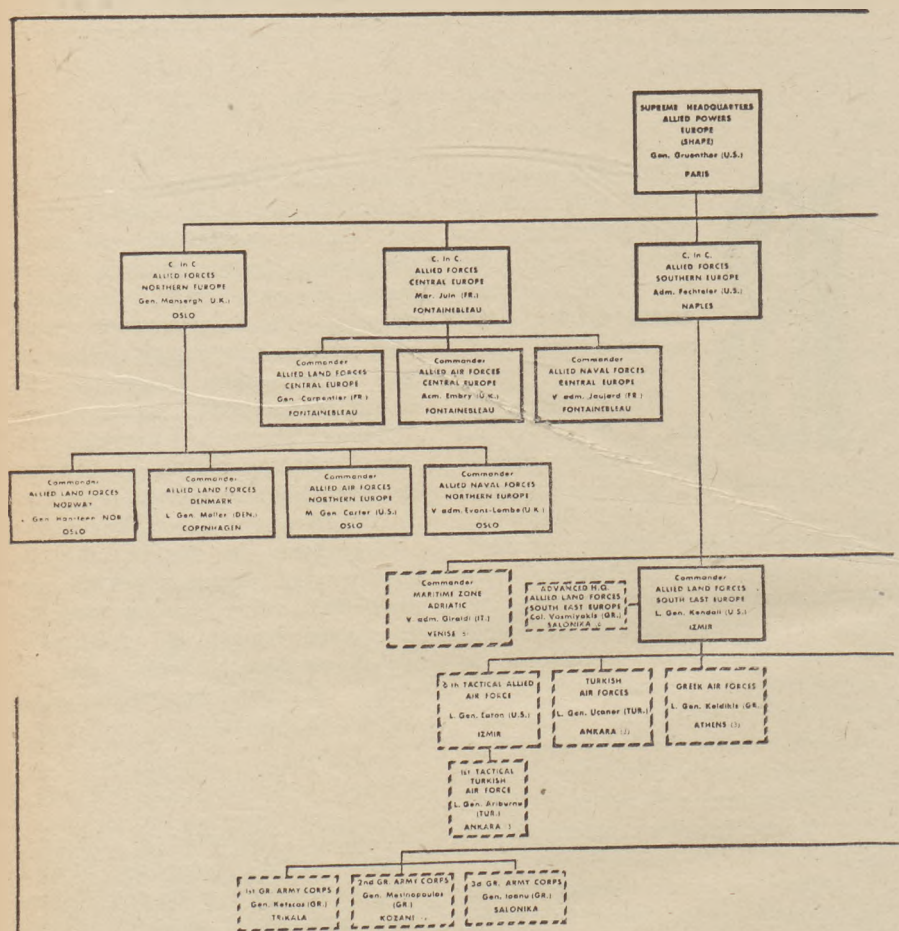
Autorzy piosenek skomponowali już kuplety na ten temat. Lecz jeszcze o wiele ważniejsze wydaje się być to, że liczni członkowie tej rodziny nie figurują w ogóle na wspomnianym zestawieniu. Nie może tu chodzić o nic innego, jak o świadome pominięcie, o kilku bękartów lub o kilka megaliansów, których rodzice nie uznają za godne figurowania w drzewie genealogicznym. Skoro się bowiem uwzględni, że każdy

z członków tej wielkiej rodziny jest generałem armii lub kompuś armii, że każda z przegródek schematu przedstawia tysiące żołnierzy i tony materiałów wojennych, jeśli uwzględni się, ile narody płacą wbrew swej woli na utrzymanie tych wojsk oraz że zestawienie to ujawnia jedną z najgroźniejszych organizacji polityczno-militarnych naszych czasów, wówczas można się zapytać, dlaczego niektóre odnogi tej rodziny utrzymywane są w tajemnicy?

Uważaliśmy za słuszne, aby dla honoru tych zdezautowanych siostrzeńców wstawić ich na właściwe im miejsce (figurują oni w zakresłonych przegródkach tabeli) i dać odmienne od oficjalnego wytłumaczenie ich odsunięcia.

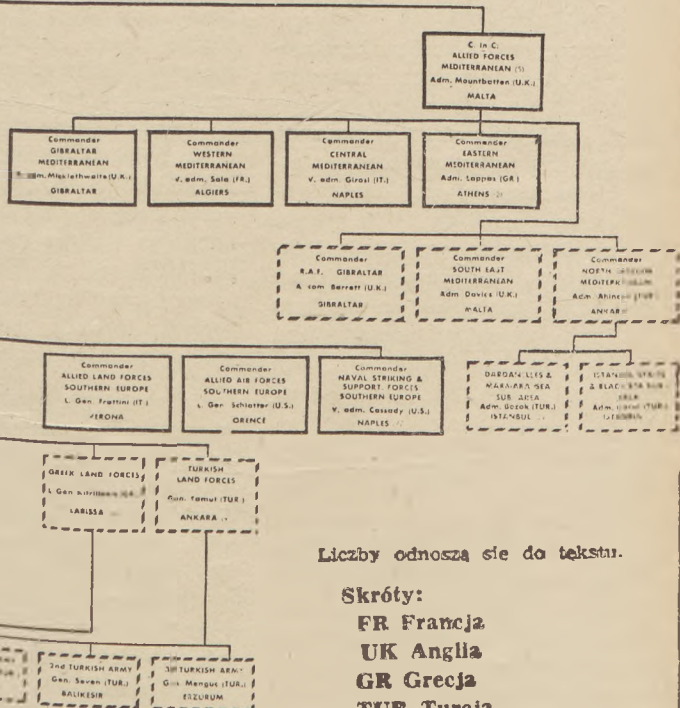
* * *

Generał Gruenther, „ojciec” SHAPE (sztab generalny alianckich sił zbrojnych w Europie i określenie tej wielkiej rodziny), oświadczył ostatnio, że liczebność podstawionych do jego dyspozycji oddziałów greckich i tureckich nie może być ujawniona ze względu na „bezpieczeństwo”. Względy te nie wydają się być bardzo przekonujące. Liczebność wszystkich sił zbrojnych greckich i tureckich jest przecież znana. Można się zresztą zapytać, dlaczego to co nie jest tajemnicą, je-



**Zasięg SHAPE (Kwatery Głównej Alianckich
Sił Zbrojnych w Europie).**

(J. L. H.)



Liczby odnoszą się do tekstu.

Skróty:

FR Francja

UK Anglia

GR Grecja

TUR Turcja

IT Włochy

US Stany Zjednoczone

NOR Norwegia

DEN Dania

śli chodzi o postawione do dyspozycji SHAPE oddziały wojskowe dwunastu innych członków paktu północno-atlantycznego, staje się nią nagle wtedy, gdy chodzi o Grecję i Turcję. Cały świat wie o tym, że anglosaska sieć militarna dąży do tego, aby się rozprzestrzenić w rejonie wschodniego basenu Morza Śródziemnego w kierunku Bliskiego i Środkowego Wschodu.

Trzymanie w tajemnicy liczebności greckich i tureckich oddziałów wojskowych nie może więc być przejawem „wstydlivosti“ politycznej. Niektórzy inni członkowie paktu atlantyckiego zdementowali zresztą oświadczenie generała Gruenthera. W czasie dwunastej sesji Rady Paktu Północno-Atlantyckiego delegaci ujawnili, że „tajemnica“ ta nie była w żadnym wypadku podyktowana względami na „bezpieczeństwo“, lecz „lokalnymi względami psychologicznymi“.

Te względy psychologiczne są różnego rodzaju:

1° — Jeśli się obejrzy schemat, to wynika z niego, że Grecja i Turcja nie oddały do dyspozycji dowództwa wojskowego we wschodnim rejonie Morza Śródziemnego — tak jak inne kraje — dziesięciu lub dwunastu dywizji, lecz całość swoich sił zbrojnych, zarówno siły lądowe, jak i siły morskie i powietrzne (1, 2, 3, 4).

2° — Całość tych sił greckich i tureckich podporządkowana została dowództwu amerykańskiemu lub angielskiemu. W ten sposób, generał Yamut (4), szef tureckiego sztabu generalnego, poddany został rozkazom generała amerykańskiego, Ken-

dalla, który posiada niższy stopień. A przecież Grecja, a zwłaszcza Turcja są głównymi „dostawcami ludzi“ dla atlantyckiego dowództwa w południowo-wschodniej Europie. Równowaga budżetowa tych dwóch krajów została całkowicie zrujnowana na skutek niepomiarnych wydatków zbrojeniowych, a narody grecki i turecki jęczą pod ciężarem podatków. Nędza ich stała się przysłowiową. Można zatem zrozumieć, że biuro prasowe paktu atlantyckiego wołało zachować w tajemnicy, że sojusznicy greccy i tureccy zostali zepchnięci do samego dołu piramidy wojennej SHAPE i że ich generałowie nie uczestniczą w podejmowaniu decyzji wielkiego sztabu generalnego. Obawiają się oni reperkusji o „charakterze psychologicznym“, jakie tego rodzaju sytuacja mogłaby spowodować w tych krajach.

Innym przykładem lekceważenia okazywanego tym dwom narodom jest sam skład sojuszniczego sztabu generalnego dla obszaru Morza Śródziemnego dowodzonego przez admirała Mountbattena na Malcie (5). Mimo iż Grecy i Turcy postawili do dyspozycji tego sztabu generalnego wszystkie swoje siły morskie, jak również swoje wody terytorialne, do dowództwa admirała Mountbattena nie wchodzi ani jeden Grek czy Turek. Jedynie kilku oficerów marynarki tych krajów rezyduje na Malcie. Działalność ich ogranicza się do tego, że jako kurierzy udają się do Aten lub do Ankary, aby przewozić rozkazy sztabu generalnego.

3° — Amerykański generał Kendall, który rezyduje w Izmirze (Smyrna) w Turcji, otoczony ogrom-

nym sztabem (co najmniej 300 osób), posiada wysuniętą placówkę dowodzenia w Salonikach w Grecji (6). Uda się tam jednak bardzo rzadko.

Gorzej jeszcze. W dowództwie paktu atlantyckiego nie lubi się mówić o ośrodku dowodzenia w Salonikach, gdyż i w tym wypadku również chodzi o jedną z tych sytuacji, które mogłyby dać dużo do myślenia. Liczni oficjalni przedstawiciele zachodu oświadcza publicznie Grekom i Turkom, że Tracja zachodnia (grecka) i Tracja wschodnia (turecka) mogłyby być i będą w razie (imaginowanej przez nich) agresji bronione. Potwierdził to uroczystie marszałek angielski Montgomery w Tracji tureckiej. W pięć dni później generał Ridgway pośpieszył powtórzyć to samo w Tracji greckiej, aby utrzymać prestiż Stanów Zjednoczonych. Nie wydaje się jednak, aby Tracja mogła być broniona w razie wojny, a obietnice tych generałów były jedynie wybiegami politycznymi. Tracja jest przecież terenem zbyt ciasnym i zbyt płaskim, aby mogła służyć jako podstawa obrony. Sojusznicy sztab generalny mógłby co najwyżej użyć Tracji dla opóźnienia o jedną lub dwie godziny posuwania się ewentualnego nieprzyjaciela, którego sobie imagинуje, i to za cenę życia tysięcy Greków i Turków.

W wypadku wojny Tracja stałaby się w myśl planów atlantyckiej strategii, grobem narodów greckiego i tureckiego. Jednak posłużono się tym wybiegiem, aby sobie zapewnić całkowity udział rządów greckiego i tureckiego. Stworzono wysunięte dowództwo w Salonikach na terytorium uznanym za nie do obronienia,

któremu jednak przypisano wielkie znaczenie strategiczne.

Tymczasem jednak sojusznicy sztab generalny zainstalował się bardziej z tyłu, w Izmirze. Oslawiona baza w Salonikach ciągle jeszcze nie ma dowódcy, który by ją zorganizował.

Kierownictwem tego dowództwa zajmuje się czasowo przyjaciel Papagosa, grecki pułkownik Vosmiyakis.

4° — Istnieje wreszcie czwarta przyczyna, która powstrzymuje organizację paktu atlantyckiego od ujawnienia swojej sieci wojskowej na Morzu Śródziemnym. Tym razem jest to przyczyną natury międzynarodowej. Śródziemnomorskiemu sztabowi generalnemu admirała Mountbattena (5) podlegają w gruncie rzeczy dwa poddowództwa: dowództwo rejonu „Cieśniny Czanakkale (Dardanele) i Morza Marmara“ (2) oraz dowództwo „Cieśniny Istambułu i Morza Czarnego“ (2); istnienie tych organizacji wydaje się usprawiedliwiać opinię wysuwaną przez Bułgarię, Rumunię i Związek Radziecki, że cieśniny tureckie mają być użyte dla celów agresywnych przeciwko krajom położonym nad wybrzeżem Morza Czarnego przez dwa kraje nie graniczące z Morzem Czarnym (Wielka Brytania i Stany Zjednoczone).

Te dwa poddowództwa są nielegalnymi dziećmi wielkiej rodziny atlantyckiej. Nic dziwnego, że twórcy paktu atlantyckiego usiłują ukryć je, otaczając je potajemnie swoją troskliwością. A tymczasem narody grecki i turecki, zdradzone przez swoje rządy (same z kolei zdradzone przez ich sprzymierzeń-

ców) — walczą przeciwko nędzy i przeciwko wojnie, którą usiłuje się przygotować.

FECHTELER CONTRA MOUNTBATTEN

Wróćmy jednak do naszego schematu. Uważny czytelnik spostrzeże, że wielka rodzina atlantycka ma nie tylko swoje tajemnice, lecz również swoje konflikty wewnętrzne. Dwie spośród czterech komórek najwyższych, reprezentujących Sztab Generalny SHAPE, główne odnogi drzewa genealogicznego zdają się dublować, a nie uzupełniać się. Widzimy zatem w jednej: naczelne dowództwo atlantyckich sił zbrojnych Europy południowej, admirał Fecteler, Neapol; w drugiej — naczelne dowództwo atlantyckich sił zbrojnych na Morzu Śródziemnym, admirał Mountbatten, Malta (5). A przecież jasne jest dla najbardziej tępego ucznia, że Morze Śródziemne opływa kraje Europy południowej i że w takim razie oba wymienione wyżej dowództwa dzielą między siebie ten sam obszar, a w konsekwencji dublują się.

Teoretycznie, według statutów SHAPE, oba te dowództwa mają zadania zupełnie różne. Dowództwu naczelnemu Europy południowej podlegają wyłącznie siły lądowe i powietrzne krajów Europy południowej, a dowództwu naczelnemu Morza Śródziemnego podporządkowane są drogi komunikacyjne pomiedzy różnymi portami śródziemnomorskimi.

W praktyce jednak chodzi tu nie o co innego, jak tylko o jedną z form

rywalizacji anglo-amerykańskiej w basenie Morza Śródziemnego.

Już sam fakt, że jedno z tych stanowisk zajmuje Amerykanin, admirał Fecteler, a drugie Anglik, admirał Mountbatten — jest dostatecznie wymowny. Kiedy pod koniec r. 1952 przywódcy paktu atlantyckiego postanowili utworzyć stanowisko głównodowodzącego atlantyckich sił zbrojnych na Morzu Śródziemnym, przedstawiciele angielscy drogą pewnych celowych niedyskrecji dali do zrozumienia, że jeśli wydrą im również to stanowisko, wówczas „6 flota Stanów Zjednoczonych (pod dowództwem Fectelera) nie będzie już mogła więcej korzystać z portów Malty i Gibraltaru i będzie musiała ograniczyć się jedynie do korzystania z portu w Neapolu“. Mianowany został lord Mountbatten, Anglik. I odtąd na wybrzeżach Morza Śródziemnego panuje rozdział.

Angielski lord i waszyngtoński dzentelmen szarpią się nawzajem z największą uprzejmością.

Admirał Fecteler miał od samego początku przewagę. Rozkazom jego podlegały siły lądowe i powietrzne Turcji i Grecji oraz dywizje włoskie; przede wszystkim zaś miał do swej dyspozycji siły powietrzne i morskie amerykańskiego admirała Cassady w Neapolu (7). Zaznaczyć należy, że to ostatnie dowództwo stanowi jedno z dowództw naczelných paktu atlantyckiego, nie poprzedzonych słowem „alianckie“. Przyczyna: jednostki 6 floty Stanów Zjednoczonych zakotwiczone w Neapolu są prawdopodobnie uzbrojone w bomby atomowe (choć admirał Fecteler zaprzeczył tej wiadomości 15 stycznia br.). Oznajmił to oficjal-

nie dowódca 6 floty, admirał Cassady w czasie konferencji prasowej w Atenach 22 listopada 1952 r., a treść tego wywiadu przekazały AFP i Anadolu Ajansi, oficjalna agencja prasowa rządu w Ankarze. Sojusznicy czy nie sojusznicy, Amerykanie w każdym razie zdecydowani są nie oddawać tego rodzaju broni pod dowództwo obcego admirała, a na pewno nie Mountbattena.

Obejmując swoje stanowisko, admirał miał pod swoimi rozkazami angielską flotę śródziemnomorską. Mianowany został jedynie ze względów „kurtuazji” w stosunku do Wielkiej Brytanii, lecz był mocno zdecydowany obronić i rozszerzyć swoje dowództwo, gdyż wschodni basen Morza Śródziemnego (i Środkowy Wschód) stanowią jeden z regionów życiowo najbardziej ważnych dla Anglii.

Rozpoczął się taniec dwóch admirałów.

Nie możemy dać szczegółowego opisu nieprawdopodobnych rozgrywek prestiżowych, jakie pomiędzy nimi miały miejsce. Stwierdźmy jednak, że zaledwie jednostki amerykańskie zawinęły do jakiegoś portu greckiego lub tureckiego, a już w kilka dni później te same porty były „zaszczycane” wizytą angielskich okrętów Jego Królewskiej Mości, które czyniły tysiące demonstracji i tysiące gestów, aby ściągnąć na siebie uwagę.

Dodajmy, że każdy z admirałów obiecuje na przemian dostarczyć jednostek morskich zainteresowanym krajom i że obaj oskarżają się nawzajem, że dają jedynie stare wra-

Dodajmy, że lady Mountbatten bije wszelkie rekordy w wizytowaniu szpitali, żłobków itp... i że nawet katastrofy spowodowane strasznym trzęsieniem ziemi na Wyspach Jońskich służą Anglikom i Amerykanom za pretekst do tego, aby jeszcze bardziej zaostrzyć wzajemną rywalizację.

A jednak głównymi ofiarami w tym wszystkim są znowu biedni i wyzyskiwani krewni — Grecy i Turcy. Za każde zwycięstwo Fechtelera nad Mountbattenem — i na odwrót — płaci się nowymi koncesjami o charakterze terytorialnym, militarnym, politycznym lub gospodarczym, przyznawanymi przez rząd jednego z tych dwóch krajów.

Zestawienie nasze nie wykazuje wszystkich baz anglo-amerykańskich na terytorium greckim i tureckim, ani najróżniejszych korzyści, które dla siebie wydarli. (Zaznaczmy jedynie, że amerykańska misja wojskowa w Ankarze, USJMAMT, która nie podlega organizacji paktu atlantyckiego, liczy 3 tysiące oficerów i innych wojskowych, którzy w gruncie rzeczy kierują całym tureckim aparatem wojskowym). Ci, którym się najbardziej schlebia, nie są najbardziej szanowanymi.

„MEDO“ CZYLI PAKT ŚRODKOWEGO WSCHODU

Dzisiaj ta anglo-amerykańska rywalizacja zatacza szersze kręgi. Tutaj na naszej tablicy nie możemy wytyczyć jeszcze żadnych linii, gdyż niczego nie zdołano dotąd ustalić. Żadnego projektu nie wprowadzono jeszcze w życie, tak bardzo zażarta

jest ta rywalizacja i tak silny opór narodów.

Chodzi w istocie o narody, zamieszkujące Bliski i Środkowy Wschód. Znane są datujące się od dawna wpływy Anglii w tym rejonie. Wraz z drugą wojną światową zaczęły mocno dawać się również we znaki wpływy amerykańskie. Spór ten ożywia siła przyciągająca nafty i innych bogactw naturalnych Środkowego Wschodu.

Każdy z wielkich przodków atlantyckiego drzewa genealogicznego posiada tam swoją służbę wywiadowczą i swoje strefy wpływów. Podburzają do zbrojnych rozruchów, by lepiej umocnić swe władanie, a godzą się z chwilą, gdy chodzi o dławienie ruchów narodowo - wyzwolńczych; ale ścierają się (oczywiście poprzez podstawione osoby, bowiem nie należy otwarcie rozбивać sojuszu atlantyckiego), kiedy zależy im na zyskaniu sobie usług takiego czy innego ruchu, takiego czy innego rządu jednego z tych krajów.

Każdy z nich usiłuje dzisiaj stworzyć organizację wojskową, grupującą kraje Środkowego Wschodu, która by mu pozwoliła dowodzić wszystkimi siłami lądowymi tych krajów i lepiej kontrolować w ten sposób ich gospodarkę i ich politykę.

Słyszeliśmy często w ostatnich latach o planach utworzenia paktu Środkowego Wschodu. Wysuwano różne projekty, jak np. „MEDO” (Middle East Defense Organization — Organizacja Paktu Środkowego Wschodu), czy „Pakt Północno-Środkowego Wschodu”. Dzisiaj jeszcze toczą się dyskusje w sprawie założenia baz wojskowych w Pakistanie.

Wszystkie te projekty mają różne pochodzenie. Nie mogły one dotąd się urzeczywistnić, gdyż — jakkolwiek pakt Środkowego Wschodu winien teoretycznie zależeć od NATO (North Atlantic Treaty Organization — Organizacja Paktu Północno-Atlantyckiego), to znaczy od całej rodziny atlantyckiej — ten, który praktycznie będzie jego inicjatorem, pozostanie panem wszystkich działań. Użyłaby wszystkie umowy handlowe, a na wypadek wojny, będzie mógł oszczędzić swoje własne siły, rzucając do ataku armie krajów, które będzie trzymał pod swoimi rozkazami. Wiedzą o tym narody Środkowego Wschodu.

Walcząc z projektami wojennymi, przeciw wykorzystaniu ich terytoriów jako pól bitewnych, lub jako baz wojskowych, walczą one jednocześnie o swoją niepodległość.

Oto niektóre z projektowanych paragrafów paktu Środkowego Wschodu, mającego służyć — jak głosi uświęcona formuła — „obronie krajów Bliskiego i Środkowego Wschodu przed ewentualną agresją”.

1) — „MEDO” jest poronionym projektem, który Anglicy usiłowali narzucić w ubiegłym roku pod pokrywką międzynarodowej propozycji Anglii, Stanów Zjednoczonych, Francji i Turcji, ale który był faktycznie projektem czysto angielskim.

Miał on obejmować siły zbrojne Commonwealthu i postawić nie tylko cały wschodni basen Morza Śródziemnego i Środkowy Wschód do dyspozycji Londynu, ale dać również Mountbattenowi, dowódcy sił brytyjskich na Środkowym Wschodzie (których kwatera główna znajduje się

w Fayed, w okupowanej strefie Egiptu) — dowództwo nad wszystkimi siłami lądowymi, obecnie częściowo podlegającymi rozkazom amerykańskiego admirała Fechtelera.

Projekt ten napotkał na wroga postawę Arabów, którzy ocenili go jako nowy przejaw ingerencji Anglii, a którzy chcieliby utrzymać ścisłą neutralność.

Wówczas Anglicy postanowili (a w owym czasie Turcy gotowi byli pójść za nimi), urzeczywistnić projekt „MEDO“, zaczynając od grupowania „stojących do dyspozycji sił“ („Siły Brytyjskie Środkowego Wschodu“, tureckie siły zbrojne, kontygenty z Nowej Zelandii, Australii i Afryki Południowej), nie czekając na zgodę Arabów, którzy — gdyby tego pragnęli — mogliby zawsze przyłączyć swoje siły zbrojne.

2) — „Pakt Północno-Środkowego Wschodu“ zrodził się oficjalnie z fragmentu przemówienia sekretarza Stanu USA Dullesa po jego powrocie z podróży po Azji.

W dniu 1 czerwca 1953 r. Foster Dulles oświadczył w radio amerykańskim: „Organizacja obrony Środkowego Wschodu jest raczej możliwa w przyszłości, aniżeli natychmiast (docinek pod adresem brytyjskiego „MEDO“). Wiele krajów wchodzących w skład Ligi Arabskiej, jest tak bardzo zaabsorbowanych swymi kłótniami z Izraelem, z Wielką Brytanią (drugi docinek pod adresem Brytyjczyków), bądź też z Francją, że przywiązują one mało uwagi do groźby ze strony radzieckiego komunizmu.

Jednakże (i oto mamy pierwszy szkic projektu „Paktu Północno-Środkowego Wschodu“), zaniepokoję-

nie jest większe w krajach położonych bliżej Związku Radzieckiego. Ogólnie biorąc, szereg krajów, położonych na północy, wykazuje świadomość tego niebezpieczeństwa. Istnieje tam szeroko rozpowszechnione pragnienie utworzenia systemu zbiorowego bezpieczeństwa“.

W kilka miesięcy potem wystąpiło z projektem „Paktu Północno-Środkowego Wschodu“. Turcja miała tutaj służyć jako łącznik między NATO a krajami Bliskiego Wschodu, a pakt miał grupować pięć krajów, sąsiadujących ze Związkiem Radzieckim — Turcję, Irak, Iran, Afganistan i Pakistan.

Dla ułatwienia wykonania tego projektu, „Pakt Północno-Środkowego Wschodu“ nie wysuwał jako warunku globalnej zgody wszystkich krajów zainteresowanych, ale proponował całą serię poszczególnych układów między tymi krajami, jak również odnowienie traktatu saadabadzkiego (nazwanego tak dlatego, że został podpisany w Saadabadzie, letnim pałacu szacha perskiego), który w latach 1936—37 łączył Turcję, Iran, Afganistan i Irak.

3) — Dla storpedowania projektu „Paktu Północno-Środkowego Wschodu“, który w ostatnich miesiącach przybiera coraz realniejsze kształty, Anglia na wszystkie sposoby zaczyna manewrować i wysuwać coraz to nowe propozycje. Zapropnowała na przykład, aby część jej sił zbrojnych, stacjonujących w Libii (jedna dywizja pancerna) i na Cyprze (jedna brygada piechoty, którą można w każdej chwili przewieźć samolotami), oddać do dyspozycji wielkiej kwatery głównej w Izmirze (Smyrna).

Nie chodzi tutaj naturalnie o wzmocnienie sił amerykańskiego generała Kendalla, który dowodzi tą kwaterą główną, ale raczej o sprytny manewr.

Rzeczywiście bowiem rządy grecki i turecki wyrzucały Amerykanom, że nie trzymają w tym okręgu swoich wojsk lądowych, przeto prosty fakt, że wojska angielskie stacjonowałyby w Turcji, byłby korzystny dla Wielkiej Brytanii. Jak dalece jest to prawdą, świadczy zgoda rządu tureckiego na tę koncepcję brytyjską.

Drugą próbę rządu brytyjskiego w kierunku zrównoważenia amerykańskiego projektu „Paktu Północno-Środkowego Wschodu“ widzimy w postanowieniu Londynu utworzenia dowództwa morskiego, lądowego i powietrznego w Zatoce Perskiej. Anglicy starają się pobić Amerykanów szybkością i stworzyć przed nimi bazę wojskową w Zatoce Perskiej.

NIXON — NAIWNY TURYSTA

Właśnie na przykładzie Środkowego Wschodu widać jak wielka „rodzina“ atlantycka zaczyna trzeszczeć, a jej drzewo genealogiczne grozi zgniciem od korzeni. Jesteśmy świadkami, jak dyplomaci i generałowie obu wielkich mocarstw walczą w tych wszystkich okręgach o wpływy.

Jednego dnia pierwszy lord admiralicji brytyjskiej robi inspekcję granicy między Afganistanem a Pakistanem, innego znowu dnia delegat prezydenta Stanów Zjednoczonych, Johnston, przybywa z propozycją „pomocy gospodarczej“ dla

krajów arabskich. Potem okręty szóstej eskadry amerykańskiej pojawiają się w porcie Bejrutu. Na brzeg wysiada admirał Wright, który — według dziennika libańskiego „Assarkha“ — proponuje zawarcie dwustronnych układów wojskowych z Arabami.

Pełnomocni ministrowie angielscy, delegaci z ramienia Izby Reprezentantów i Kongresu USA odbywają podróże badawcze i inspekcyjne. Myśliwce odrzutowe przelatują nad stolicami Syrii, Libanu i Transjordanii.

Niedługo po podpisaniu układów hiszpańsko - amerykańskich Stany Zjednoczone zachęciły sekretarza generalnego Ligi Arabskiej, Szokeriego, aby złożyć wizytę generałowi Franco w celu przestudiowania na miejscu w Hiszpanii, jakiego typu układy, w myśl życzenia USA, miałyby być zawarte między Hiszpanią a krajami arabskimi.

Zrobiono już pierwsze kroki. Irak i Turcja zawarły „układ o przyjaźni i o nieagresji“. Jak donosi czasopismo libańskie „Al Hurria“, układ ten przewiduje współpracę między obu krajami w dziedzinie wojskowej i politycznej na okres 25 lat, jak również zastosowanie nowych środków dla objęcia „kontroli“ nad poważnymi mniejszościami Kurdów w Iraku i w Turcji. Rządy turecki i irański przeprowadziły rozmowy, mające na celu zbliżenie między tymi obu krajami.

Przy każdej takiej sposobności rząd turecki usilnie wysuwa się na pierwsze miejsce. Przypomina tym postępowaniem takich nałogowców, którzy zamiast się leczyć — prze-

ciwnie, tkwią w nalogu i żarliwie zachęcają swoich przyjaciół i znajomych do picia alkoholu, lub zażywania narkotyzujących pigulek.

Rząd turecki zaangażował się głęboko w zimnej wojnie. Krzycząc o groźbie agresji, sam wpadł we własne sidła i chciałby w nie wciągnąć kraje sąsiednie.

Ale narody tych krajów zazdrośnie strzegą swojej niepodległości. We wszystkich kołach podnoszą się gwałtowne protesty na wieść o każdej nowej propozycji pomocy wojskowej, czy jakiegokolwiek innej (aby się o tym przekonać, wystarczy czytać komentarze wielu dzienników w tych krajach).

Fanowanie gospodarcze, umacnianie przez rzeźczonawców Punktu IV (Trumana), coraz silniejszy nacisk na kraje produkujące naftę, narzucone ciężary podatkowe na budowę dróg strategicznych i lotnisk w całym tym rejonie — pogarszają warunki życia w krajach Środkowego Wschodu.

Wiadomo na przykład, że od dawna projektuje się budowę drogi strategicznej, która by łączyła wszystkie kraje arabskie od Zatoki Perskiej aż do Morza Śródziemnego i sąsiednich krajów — Turcji i Iranu. Droga taka wprowadziłaby bezpośrednio „atlantyckie” plany strategiczne w samo serce Środkowego Wschodu. Ale z drugiej strony projekt ten pozwolił narodom Środkowego Wschodu lepiej zrozumieć, że ich niepodległość i suwerenność jest bardzo ściśle związana z rozwiązaniem wielkich rozbieżności między narodowych i problemem pokoju światowego.

Przed paroma miesiącami, w związku z omawianiem sprawy marokańskiej w ONZ, szeroki ludowy i patriotyczny ruch solidarności wobec narodu marokańskiego objął wszystkie kraje arabskie. Narody arabskie solidaryzują się z narodem irańskim w walce o naftę, o niepodległość i przeciw obcym planom wojennym.

Czytelnicy „W Obronie Pokoju”, którzy zaznajomili się z ostatnim artykułem naszego specjalnego korespondenta w Iranie, wiedzą jak walka ta przebiega w samym Iranie.

Opór narodów arabskich przeciw zakładaniu baz wojskowych na terytoriach ich krajów skłaniał często ich koła rządzące do zajęcia określonego stanowiska wobec takiego czy innego problemu międzynarodowego. Tak więc widzieliśmy ostatnio, jak prezydent Republiki Egiptu zażądał zakazu broni atomowych i wyraził życzenie, aby osławiona konferencja bermudzka nie zakończyła się rozdziałem sfer wpływów między poszczególnych inicjatorów tej konferencji.

Ostatnio libańscy dziennikarze różnych poglądów zaprotestowali u delegacji amerykańskich kolegów, którzy przeprowadzali z nimi wywiad, przeciw niebezpieczeństwu, jakim zagraża zakładanie baz wojskowych.

Istnieje wiele innych przykładów oporu narodów arabskich przeciw paktom wojennym, ale najgwałtowniejszą reakcją wzbudziły toczące się niedawno rozmowy między Pakistanem a Stanami Zjednoczonymi w sprawie zakładania amerykańskich baz wojskowych w tym kraju. Zre-

sztą protestują nie tylko narody arabskie. Cała Azja występuje przeciw temu projektowi, który wchodzi w ramy owego „Paktu Północno-Środkowego Wschodu“, o którym powyżej mówiliśmy.

Przed paroma miesiącami wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Richard Nixon odbył podróż inspekcyjną po krajach Azji. W kilka miesięcy później, w listopadzie 1953 r. wiadomo już było, że między Stanami Zjednoczonymi i Pakistanem prowadzone są półoficjalne rozmowy na temat przyznania temu ostatniemu „pomocy wojskowej“ i utworzenia amerykańskich baz wojskowych. Wiadomość powyższą początkowo potwierdzono, następnie zdemontowano, aż wreszcie oficjalnie raz jeszcze potwierdzono. Wtedy Związek Radziecki, Chiny, Indie, Afganistan, Nepal, Cejlon, Indonezja i Burma oficjalnie zaprotestowały u rządu pakistańskiego w Karaćci.

Dodajmy nawiasem, że Anglia ze swej strony sprzeciwia się tym planom amerykańskim, chociażby dlatego, że zaangażowany jest tu „Commonwealth“ (Brytyjska Wspólnota, w skład której wchodzi także Pakistan), jak pisał w owym czasie londyński „Times“.

Kraje te wyrażają swoje zaniepokojenie z powodu zaproponowanego paktu wojskowego i w ogóle z powodu „Paktu Północno-Środkowego Wschodu“.

W Indiach opinia publiczna zareagowała zgodnie jak jeden mąż. „Times of India“ pisał: „**Logiczną konsekwencją takiej polityki** (tej, w którą Waszyngton tak bardzo pragnie

nie wpędzić Pakistan) **będzie sprowokowanie jeszcze intensywniejszego i gwałtowniejszego zaognienia, niż by podejrzewał naiwny turysta Nixon**“.

Premier Nehru wygłosił 23 grudnia 1953 r. w parlamencie hinduskim przemówienie, specjalnie poświęcone projektom zakładania amerykańskich baz wojskowych w Pakistanie. Oświadczył w szczególności: „**Znaczenie tej pomocy polega nie tylko na jej wartości liczbowej, ile na tym, jakie jest jej pochodzenie. Znaczenie ma zwłaszcza fakt, że pomoc tę proponuje wielkie mocarstwo, Stany Zjednoczone... Wraz z pomocą wojskową cały kraj staje się bazą... Pakt ten, nie zwiększając szans pokoju na świecie, doprowadzi do zagrożenia pokoju w tej części Azji południowo-wschodniej... My Hindusi nie chcemy obcej opieki. Nie chcemy, aby ludzie opiekowali się nami przy pomocy swoich wojsk, swojej floty i swojego lotnictwa. Chcemy tylko przyjaźni**“.

W samym Pakistanie wystąpiono bardzo silnie przeciw tym układom. Protestowały liczne osobistości i ugrupowania. Wielkie dzienniki, jak „Pakistan Times“, krytkowały politykę rządu. Inne, jak „Dawn“, który znany jest ze swych sympatii proamerykańskich i który na początku popierał projektowany układ wojskowy, musiał w ciągu jednego tygodnia — pod naciskiem opinii publicznej — wyrazić wątpliwości co do słuszności takiego układu.

Wszystkie dzienniki, czy to wychodzące w języku urdu, bengali, czy angielskim, zasypywane są pełnymi oburzenia listami. W obliczu

tego narodowego protestu, premier Mohammed Ali, który prowadził rozmowy z Amerykanami, oświadczył w dniu 16 grudnia 1953 r., że amerykański projekt wojskowy nie będzie „publicznie“ dyskutowany, że ani parlament, ani Liga Muzułmańska (największa partia pakistańska, której Mohammed Ali jest zresztą członkiem) nie będą obradowały nad tym projektem.

Dla podtrzymania tego despotycznego postanowienia Mohammed Ali oświadczył, że chodzi o tajemnice wojskowe. W istocie jednak premier obawia się popierać otwarcie politykę, którą jego rodacy w przeważającej większości potępiają.

Można zatem zaobserwować, że rozszerzenie atlantyckiego drzewa genealogicznego w kierunku Środkowego Wschodu jest operacją trudną. Narody Środkowego Wschodu nie chcą stać się ubogimi bratanekami starych wujów atlantyckich. Wiedzą one bowiem z własnej historii, że ubogim bratankom ofiarowuje się zawsze suchy chleb i wodę. Wolą one o wiele bardziej zabezpieczyć swoją niepodległość. Starzy wujowie wiedzą o tym i są z tego niezadowoleni.

Analizując w czasie ostatniej sesji Światowej Rady Pokoju w Wiedniu problem tworzenia amerykańskich baz wojskowych w Pakistanie, Sahib Singh Sokhey oświadczył: „Zakładanie baz militarnych w Pakistanie ma zadanie podwójnie destruktywne. W niespokojnej atmosferze

Organizacji Narodów Zjednoczonych narody arabskie i azjatyckie zdobyły się na odwagę i mądrość utworzenia niezależnego ugrupowania, które pracowało nad pokojowym rozwiązaniem przeciwności międzynarodowych. Zaczynały one odgrywać pewną rolę i sprowadzać Organizację Narodów Zjednoczonych ku jej istotnym zadaniom, zadaniom organizacji stworzonej dla pokojowego rozwiązywania sporów, mogących wyniknąć pomiędzy narodami. Ta rola, odgrywana przez narody arabskie i azjatyckie, złościła rządy, które chcą wykorzystywać Organizację Narodów Zjednoczonych jako narzędzie dla wprowadzania w życie ich destrukcyjnej polityki“. I dodał: „Musimy jasno wytłumaczyć narodom świata, że pokojowe rozwiązywanie sporów międzynarodowych w drodze rokowań zawarte jest implícite w Karcie Narodów Zjednoczonych“. Narody arabskie i azjatyckie chcą, aby szanowano Kartę Narodów Zjednoczonych. Chcą one, aby rozmaite problemy wynikające pomiędzy narodami pokojowo dyskutować przy okrągłym stole, a nie zaostriąć przez tworzenie baz wojskowych. Pragną one pokoju, gdyż wiedzą, że jedynie w świecie, w którym panuje pokój, będą mogły rozwinąć swą zafanowaną gospodarkę i odzyskać swą suwerenność narodową.

J. — L. H.

Korespondent „Pakistan Times“
wyłącznie dla „W Obronie Pokoju“



Jakkolwiek jakość zamieszczonych w tym artykule zdjęć pozostawia czasem nieco do życzenia — stanowią one JEDYNY AUTENTYCZNY reportaż fotograficzny, ilustrujący historię wydarzeń tych 108 dni w japońskiej wiosce Ucinada, o których mowa poniżej

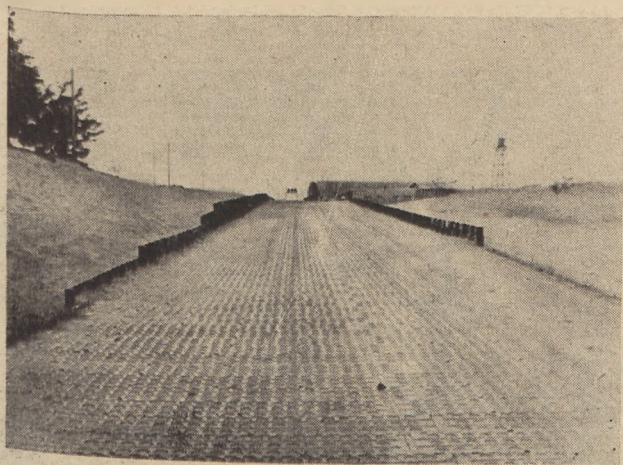
Historia UCZINADY

NAD brzegiem Morza Japońskiego leży mała wioska Uczinada. Mieszkańcy jej to przeważnie chłopci i rybacy. To spokojne miejsce armia amerykańska upatrzyła sobie pod budowę poligonu na użytek artylerii. Rząd japoński dał, jak należało, swoje zezwolenie i oznajmił, że każdemu usuniętemu z ziemi mieszkańcowi Uczinady przyznaje 40.000 jen tytułem odszkodowania. Pozostawało więc tylko przystąpić do roboty. Przywożeni w samochodach ciężarowych żołnierze amerykańscy ogrodzili teren przyszłego poligonu artyleryjskiego drutami kolczastymi.

Wówczas mieszkańcy Uczinady wpadli w gniew. Dla nich zapowiadane zmiany nie oznaczały tylko drobnej zmiany w rejestrach ziemskich... Zostali zranieni w samo serce i w żywe ciało. Zebrali się i postanowili, że nie przyjmą pieniędzy, których ilość była zresztą śmiesznie mała. Namalowali na chorągiewkach swoje hasło: „Pieniądz trwa jeden rok, ziemia trwa tysiąc lat“. Chłopi poprzecinali druty kolczaste i w dalszym ciągu uprawiali ziemię, jakby nic nie zaszło.

Oczywiście żołnierze wrócili i wypędzili chłopów z ich własnych pól, mówiąc im, że nie są już u siebie.

Niebawem poligon był gotów. Nie trudno urządzić poligon artyleryjski. Wystarczy pas drutu kolczastego, plac pod armaty, a reszta może już wyglądać byle jak. Ale mieszkańcy wioski rozumieli to inaczej. Zależało im na domach, na ziemi i nie pojmowali, dlaczego wszystko to ma być skazane na zniszczenie. Nie ugięli się i odważnie stanęli przeciw wielkiej maszynie wojennej.



Droga wiodąca do poligonu. Tę właśnie drogę w ciągu kilku tygodni blokowali chłopci i rybacy z Uczinady, z pomocą ochotników przybyłych z wszystkich stron Japonii



Wójt Ucinady zgodził się na decyzję w sprawie wywłaszczenia chłopów z ich ziemi. Chłopi protestują przeciw wyrządzonej im krzywdzie. U dołu: studenci wyrażają solidarność ze sprawiedliwą walką chłopów Ucinady

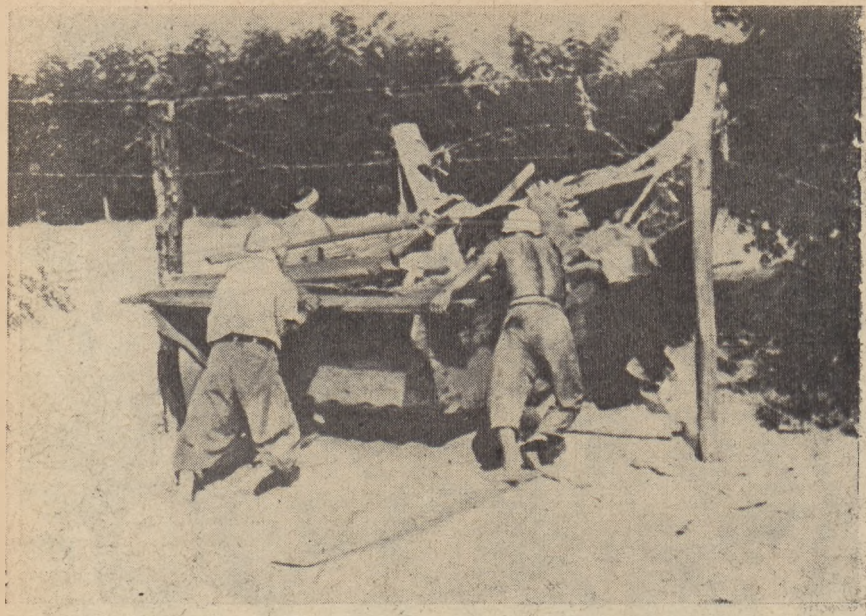




Opór trwał 108 dni. Kobiety wzięły aktywny udział w walce

Strzelanie rozpoczęło się na poligonie 15 czerwca 1953 r. Rybacy i chłopci zajęli miejsca wzdłuż poligonu w najbardziej niebezpiecznych punktach. Rybacy wypłynęli na morze naprzeciwko pola strzału, tam, gdzie połów był surowo wzbroniony. Miejscowi kolejarze odmówili transportowania pocisków. Armia japońska, ochrzczona, jak wiadomo, nazwą „korpusu bezpieczeństwa wewnętrznego” — otrzymała rozkaz przewiezienia ładunków. Cała ludność — wraz z kobietami, a nawet najstarszymi babkami zasiadła pośrodku drogi, zagradzając dojazd ciężarówkom. Samochody zmuszone były skutkiem tego robić długi objazd przez pola, by dotrzeć do poligonu.

Przez długi czas, dniami i nocami, kobiety z Ucinady uparcie siadały po obu stronach tej drogi. Z tego powodu Amerykanie nie mogli strzelać ani zbyt daleko, ani zbyt często. Z całej Japonii przybyli ochotnicy, by dodawać ducha manifestantom; w szczególności wielu było studentów, którzy mieli właśnie wakacje. Kiedy ludność okupowała drogi, studenci pilnowali dzieci, pracowali na polach, pielęgowali chorych. Przy drodze zbudowano baraki dla manifestantów.



Rybacy zabierają się do połowu ryb w strefie zakazanej

Wystąpiła policja. Najostrzej prześladowano studentów, których można było rozpoznać po ubiorze. Zniszczono baraki — ludność kilkakrotnie je odbudowywała.

Mała wioska Ucinada przez 108 dni stawiała opór wielkiej machinie wojennej. Na początku mieszkańcy widzieli tylko bezpośredni fakt — wypędzono ich z ziemi, z miejsc połowu, zabierano im źródła utrzymania. Takie postępowanie wydawało im się niesprawiedliwe i nieludzkie. Miłość chłopów do ziemi dała im natchnienie do wystąpienia przeciw przeważającej sile. Powoli, już w trakcie walki, zrozumieli, że przyczyną wszystkiego była remilitaryzacja.

Ale jeżeli mieszkańcy Ucinady wiele się nauczyli, stawiając opór machinie wojennej, to również cały naród japoński wiele nauczył się na tym przykła-



Chłopi przecinają druty kolczaste, by kontynuować uprawę swej ziemi

dzie oporu chłopów i rybaków Uczinady. W całym kraju rozwinął się wielki ruch na rzecz pomocy i solidarności z ludnością Uczinady. W Tokio i we wszystkich miastach przez trzy dni zbierano pieniądze dla mieszkańców Uczinady i podpisy na petycjach przeciw obcym bazom wojskowym.

To małe wydarzenie — czyż bowiem bunt małego miasteczka przeciw wielkiej armii może być czymkolwiek innym, jak skromnym wydarzeniem? — dodało silnego bodźca ruchowi oporu ludu japońskiego przeciw remilitaryzacji. I od tego czasu często usłyszeć można w odpowiedzi tym, którzy obawiają się trudności: „Bierzcie przykład z Uczinady!”

Zdarzają się czasem rzeczy, które dorównują najpiękniejszym legendom.

*Wyłączny reportaż
„W Obronie Pokoju”*

Układy hiszpańsko - amerykańskie

Dr JOSE GIRAL

były premier hiszpańskiego rządu republikańskiego

PODCZAS opracowywania Karty NZ w czerwcu 1945 r. w San Francisco mocarstwa uczestniczące potępiły reżim frankistowski. Potępiono go następnie w Układach Poczdamskich, zawartych w tym samym roku przez aliantów, jak również decyzją Zgromadzenia Ogólnego NZ w Londynie w lutym 1948 r., w Radzie Bezpieczeństwa i w Zgromadzeniu Ogólnym w maju i październiku tego roku.

We wszystkich tych postanowieniach reżim frankistowski potępiony został „za sposób w jaki doszedł do władzy (przy pomocy niemieckich i włoskich sił zbrojnych), za swój charakter (faszystowski), za swe metody (dyktatorskie) oraz za ścisłe więzy i stosunki z państwami napastniczymi“.

Wszystkie te rezolucje zostały podjęte za zgodą Stanów Zjednoczonych. Potępienie reżimu frankistowskiego

obowiązuje nadal, ponieważ ONZ nie anulowała tych decyzji. Rząd Stanów Zjednoczonych uchybił więc swoim zobowiązaniom, podpisując układy z hiszpańskim dyktatorem.

Powiedziano kiedyś i można temu wierzyć, że Stany Zjednoczone kierują się zawsze swymi interesami materialnymi, a nie swymi ideałami. Moralne skutki upadku tego, co nazywa się „wielką demokracją“, odbijają się na pojęciach słabych narodów i trwożliwych jednostek. Ten fatalny przykład ze strony tak potężnego państwa jest poniżeniem dla wszystkich demokratów, jest obrazą godności ludzkiej i przyznaniem, że strach góruje nad sumieniem.

Układy hiszpańsko - amerykańskie, zawarte w dniu 26 września 1953 r., zawierają trzy klauzule. Jedną z nich dotyczy pomocy gospodarczej, dwie inne — wzajemnej obrony i ustąpienia przez Hiszpanię baz lotniczych i morskich. W całości wysokość przyznanych sum wynosi 226 milionów dolarów, z tego większa część (141 milionów) przypada z tytułu ustąpienia baz z zastrzeżeniem,

ze przewidziane na ten cel kwoty będą przeznaczone na pomoc „obronną i gospodarczą“, co pozwala przypuszczać, że kredyty na pomoc gospodarczą będą bardzo małe.

Jeden z najwybitniejszych ekonomistów reżimu frankistowskiego Peris y Eguilaz zamieścił w czasopiśmie Falangi „**Arriba**“ (a wiadomo, że cała prasa hiszpańska podlega nie słychanie ostrej cenzurze) artykuł, z którego cytujemy poniższy ustęp:

„Wszelka współpraca, obejmująca ściśle dziedzinę wojskową, z pominięciem ogólnej pomocy dla gospodarki hiszpańskiej, będzie mogła przynieść pomyślnie rezultaty dla polityki niektórych krajów, ale tylko niewiele korzyści przyniesie Hiszpanii. Może się ona okazać jakby nową formą imperializmu, gdyż w ten sposób kwalifikować należy wszelkie istniejące między dwoma krajami stosunki, które przynoszą korzyści niemal wyłącznie tylko jednemu z nich“.

Tak o tej sprawie wyrażają się faszyci. Sytuacja gospodarcza Hiszpanii przedstawia się katastrofalnie, a zawarte ze Stanami Zjednoczonymi układy, nie przyczyniając się do jej polepszenia, mogą ją tylko pogorszyć, ponieważ podatnik hiszpański będzie musiał pokrywać wydatki na „modernizację i utrzymywanie odstąpionych baz ze środków, zaczerpniętych z pozycji budżetu obrony“. Trzeba będzie zatem poważnie zwiększyć tę pozycję; przewyższy ona znacznie 65 proc. ogólnego budżetu państwowego, które do tej pory szły na cele wojenne.

Równolegle z tym wzrosną ciężary podatkowe obywateli hiszpań-

skich, którzy już obecnie cierpią głód i nędzę. Franco sprzedaje się nawet nie za miskę soczewicy. Sprzedaje się za pusty talerz z plastiku.

Druga klauzula oznacza właściwie tyle, co sojusz na bazie „wzajemnej obrony“. Hiszpania obowiązuje się pomagać Stanom Zjednoczonym, dostarczając im „pełnego wkładu, na jaki pozwala jej potencjał ludzki, jej bogactwa, jej urządzenia i ogólne warunki gospodarcze“ — to znaczy nasza ziemia, nasze bogactwa i nasi ludzie.

Ponieważ ONZ nie przewidziała jeszcze, ani też nie określiła pojęcia agresji, można je zniekształcić, jak się to stało w Korei. W takim wypadku Hiszpania zostałaby wciągnięta do każdej wojny, w której interweniowałyby Stany Zjednoczone. U boku tego mocarstwa żołnierze hiszpańscy szliby w pierwszych szeregach, jako mięso armatnie.

Trzecia wreszcie klauzula wydaje się najważniejsza. To klauzula o „odstąpieniu baz powietrznych i morskich“. Jest ona zresztą „tajna“, co pozwala przypuszczać, że przedstawia się jeszcze gorzej, niż to, co o niej wiadomo. Ale w niczym nie obowiązuje ona narodu hiszpańskiego wbrew temu, co mówi o tym Franco, gdyż układy tajne są całkowicie zakazane i nieistniejące, zgodnie z artykułem 76 naszej Konstytucji, która nie została obalona.

W ten sposób dyktator hiszpański oddaje Hiszpanię (jej ziemię, jej wioski, jej miasta, jej morza, jej ludzi) na łaskę i niełaskę obcego mocarstwa w imię obcych interesów i nie pytając pokojowego z natury i z

rozsadku narodu hiszpańskiego. Jest to bardzo poważny problem, biorąc pod uwagę straszliwe bronie, które mogą być zastosowane w ewentualnym konflikcie.

Anglia i Francja nie zgodziły się, aby z ich terytoriów startowały samoloty z ładunkami bomb atomowych, ponieważ kraj, który ma być obrzucony tymi bombami, zmuszony będzie odpowiedzieć w ten sam sposób.

Tak więc Hiszpania, nieszczęśliwa Hiszpania, jest jedynym krajem, sprzedanym dla magazynowania i użycia straszliwych broni atomowych i narażona skutkiem tego na poważne konsekwencje ewentualnych środków odwetowych. Ale Franco wyznał cynicznie, że „ten historyczny układ wart jest zachodu, mimo niebezpieczeństwa, jakie może w sobie zawierać”.

Technicy wojskowi dobrze wiedzą, że radzieckie czteromotorowce TU4 mogłyby w razie potrzeby bombardować jakikolwiek punkt na Półwyspie Iberyjskim, startując ze swoich baz lotniczych w Europie wschodniej. Co do samolotu TYE 31 o sześciu motorach, to może on dosięgnąć całego Maroka i naszych Wysp Kanaryjskich. Te środki masowej zagłady mogłyby unicestwić na zawsze całą naszą ukochaną ojczyznę.

Ale... niechaj USA nie zapominają ze swojej strony, że i naród amerykański mógłby ponieść na skutek tych samych środków odwetowych straszliwe zniszczenia na swoim terytorium.

Nie znamy dokładnie ani ilości, ani rozmieszczenia przyznanych baz wojskowych, wynajętych czy od-

przedanych, ale układ mówi o „rozwoju, utrzymaniu i wykorzystaniu dla celów wojskowych stref i urządzeń, co do których zdecydowały kompetentne władze”.

Dalej mowa jest o „urządzeniach o zastrzeżonym charakterze”, to znaczy o tajnych bazach. Sekretarz sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych przebywa obecnie w Hiszpanii, gdzie wybiera miejsca, nadające się do ukrycia pierwszych składów bomb atomowych i to zgodnie z jego własnymi życzeniami.

Z drugiej strony oświadczył on, że „bazy hiszpańskie będą zarówno ofensywne i strategiczne, jak obronne i taktyczne”. Natomiast sam Franco oznajmił, że „pomoc narodu hiszpańskiego (Nie! Nie narodu hiszpańskiego, jedynie dyktatora!) pozwoli zmniejszyć w przyszłości poświęcenia narodu amerykańskiego”.

Doprowadzono zatem do całkowitego odstąpienia terytorium hiszpańskiego dla celów wojny i agresji; przekształca się Hiszpanię w kolonię jankesów, redukując jednocześnie do zera znaczenie strategiczne Gibraltaru i Maroka Francuskiego.

W ten sposób Stany Zjednoczone staną się absolutnymi panami kluczowych punktów wejścia do Cieśniny Gibraltarskiej, gdyż baterie umieszczone na śródziemnomorskich wybrzeżach Hiszpanii mogą krzyżować swój ogień z ogniem dział z Ceuty, podległego Hiszpanii miasta w północnym Maroku.

Amerykański pakt wojskowy z reżimem frankistowskim przynosi więc również poważny uszczerbek francuskiemu i angielskiemu interesom strategicznym w tym rejonie.

Georges Govy:

Wędrując po Londynie...



NA tle wyblakłego nieba porusza się łagodnie olbrzymi kar-mazynowy balon słoneczny, jakby trzymany na niewidzialnych linach. Raz po raz, przebijając delikatną powłokę małych chmur, głaszcze promieniami wodę starego uśpionego Kanału.

Trzydziestu Włochów, stojąc na przodzie statku pocztowego, radzą sobie wzajemnie i rozdają formularze do wypełnienia. Żaden z nich nie rozumie ani słowa po angielsku. To emigranci. Wielka Brytania postanowiła wreszcie otworzyć szeroko swe podwoje cudzoziemskiej sile roboczej (oczywiście tym, którzy otrzy-

mali umowy o pracę). Ci Włosi mają zastąpić angielskich robotników rolnych, którzy po zakończeniu wojny stawiają coraz większe „wymagania“, lub pełnić obowiązki służących za niższą płacą niż „tubyłcy“.

Milczące kobiety obnażają śniade piersi i karmią wrzeszczące niemowlęta. Inne dzieci, ubrane w podarte kurtki, lub poowijane w cienkie kołderki, drżą z zimna i dmuchają w zaczerwienione od zimna paluszki.

Mężczyźni pozostawiają wreszcie własnym losom formularze, których nie zdołali odcyfrować. Niech sobie władze brytyjskie same je wypełniają, jeżeli mają ochotę..., skoro nie

pomyślały o tym, by je wydrukować w dobrym włoskim języku.

Chwileczkę sir, przepraszam

Victoria Station (jeden z dworców londyńskich). Angielscy tragarze, złożwszy wasze walizy w żądanym miejscu, wstydliwie oddalają się. Nie jest się zmuszonym do płacenia napiwków. Ale jeżeli się go da, przyjmują nie patrząc na wysokość, jako że są prawdziwymi dżentelmenami.

Idę kupić papierosy i wyciągam funta. W chwili, gdy zaczynam wkładać drobne do kieszeni, olbrzymia ręka dotyka mojego ramienia. Podnoszę oczy. To ręka angielskiego policjanta, „bobby“, jednego z tych u przejmnych wielkoludów, którzy są dumą Londynu.

— Chwileczkę, sir, przepraszam — mówi do mnie.

I dokładnie zaczyna liczyć wszystkie szylingi, półkoronówki, pensy i półpensy, które mi wydano jako resztę z funta.

— Wszystko w porządku, dodaje.

Salutuje, szorstki i pełen godności. Doganiam go na drugim końcu hali dworcowej.

— Czy mogę zapytać po co zadawał sobie pan trud przeliczenia moich drobnych?

— Tak, odparł. Od wojny wielu kupców utraciło dawną nienaganną uczciwość. Zda sobie pan z tego sprawę, jeżeli przez dłuższy czas zastrzyma się pan w Londynie... Zastanowił się przez chwilę i dodał: — Tak, wojna, długi okres racjonowa-

nia, pobyt wojsk amerykańskich zwiększyły apetyty w godny ubolewania sposób...

Wiadomość o zniesieniu reglamentacji na większość dotąd surowo racjonowanych artykułów żywnościowych wypełniła serca Anglików tym większą radością, że czuli się jakby poníženi w swej narodowej dumie z powodu tak długiego po zakończeniu wojny okresu przedłużania karte-

Na fali strajków

Niebawem jednak radość ta miała ustąpić miejsca irytacji, a nawet żalowi. W ostatnich miesiącach cena artykułów żywnościowych na wolnym rynku nieustannie wzrasta.

A tymczasem rząd konserwatystów — za pośrednictwem paru uczynnych dziennikarzy — zapewnia, że wszędzie znajduje się w najlepszym porządku. Podobno na przykład kury angielskie, wruszone powrotem do zdrowia Winstona Churchilla, zabrały się do składania jajek w dotąd niespotykanym tempie, a niebawem stary przyjaciel Wysp Brytyjskich — łosoś pojawić się ma znowu na wszystkich stołach.

Potem któregoś dnia ci sami dziennikarze oznajmili triumfalnie, że dzięki połączonym wysiłkom Ministerstwa Wyżywienia i Izby Handlowej pasta do zębów i rolka papieru higienicznego kosztują o jednego pensa mniej niż dotąd.

Niestety, niewdzięczność klasy robotniczej nie ma granic. Po dokerach i pracownikach elektrowni, podwyżki płac zażądali kolejarze i o mały włos nie zastrajkowali w przeddzień Świąt Bożego Narodzenia. Wywo-



Ruch tu panuje jak w olbrzymim mrowisku...



*W Hyde Parku
każdy może prze-
mawiać*

łało to wielkie poruszenie w całej Anglii. A sir Walter Monckton, minister pracy, musiał, jakkolwiek chory na gripę, przez trzy dni przemierzać lodowate korytarze swojego ministerstwa. Udało mu się uregulować konflikt dopiero w ostatniej chwili po mozołnych pertraktacjach z przedstawicielami związków zawodowych.

Dzisiaj pięć milionów robotników przemysłowych ze swej strony domaga się zwiększenia płac. Prze-

ciętny Anglik zwiesza głowę i kiedy mówicie mu o sytuacji gospodarczej jego kraju, słyszycie w odpowiedzi:

— Zbliżamy się ku fali strajków...

Odłot łabędzicy

Miejscowość Barnes. Małe, bliźniacze, dwupiętrowe domki. Zielone jeszcze klomby, czysto wymyte perony. Cedars Road ze swymi eleganckimi lampami gazowymi i szerokimi,

czdoblonymi kwiatami krawężnika-
mi zdaje się należeć do przeszłej epo-
ki. Mały mostek prowadzi do sta-
wu, nad którym swawolą mewy.

Labeź smutno spogląda nierucho-
mym okiem na nisko zwisające gałę-
zie drzew. Nazywa się Bill. Niegdyś
wesoło przebiegał swoje włóści, ude-
rzając dziobem mewy i z apetytem
zjadając małe rybki, które chętnie
dawały się polykać. Ale teraz towa-
rzyszka, którą mu dano, odleciała z
jakimś obcym ptakiem. Odtąd Bill
stał się milczący i odmawia przyjmo-
wania okruszyn herbatników.

Dwanaście starych pańien z Bar-
nes, wzruszonych jego małżeńskimi
niepowodzeniami, zrobiło zbiórkę na
zakupienie Billowi na wiosnę nowej
towarzyszki.

Pies — uprzywilejowana istota w Anglii

Starych pańien jest zawsze w An-
glii cały legion. Ubierają się w suk-
nie w neutralnych kolorach i przy og-
niu kominka marzą zapewne o ma-
łych jasnych główkach dziecięcych.
Tymczasem zaś prowadzą na spacer
swoje psy: wszystkie psy znają się
między sobą, a one, stare panny, zna-
ją imiona i drobne nawyki czworo-
nożnych przyjaciół swoich psików.

Pies należy w Anglii do istot
uprzywilejowanych. Psy pieści się,
daje im się do jedzenia króliki, ob-
chodzi się z nimi jak z ludźmi. Są
domownikami w domach, gdzie nie
ma dzieci. Dziwię się, że nie ma do-
tąd psich klubów (istnieją już dosko-
nałe psie pensjonaty), jak istnieją
„kluby wazali“, „kluby zwolenników

ożywienia ubrań męskich“, których
członkowie noszą kolorowe kamizel-
ki, jak „kluby kobiet wysokich“ i
„kobiet niskich“, „kobiet tłustych“ i
„kobiet chudych“ itp.

Wydaje mi się, że wzrasta ilość
starych kawalerów. Chętnie rozma-
wiają oni o kobietach, mają w swo-
ich budżetach pozycję, przeznaczoną
na rozrywki w towarzystwie swoich
girl-friends (przyjaciółek). Ale bar-
dzo często do tego ograniczają się też
ich stosunki z kobietami. Niektórzy
nie decydują się na ożenek, poznają
kobiety dopiero bardzo późno, cza-
sem nawet wcale.

Ale obok tego widzimy jednocześ-
nie naszych wstydliwych Anglików
na murawie w Hyde Parku lub w in-
nych ogrodach publicznych, ściskają-
cych w ramionach swoje ukochane
tak namiętnie, że „szokuje“ to nawet
Francuzów. A w poniedziałek rano
trawą we wszystkich ogrodach Lon-
dynu jest bardzo pognieciona...

Co pan właściwie robi?

Wchodzę do małego **pubu** (baru),
położonego nad brzegiem Tamizy.
Gramofon gra jakiś płaczący refren.
Robotnicy portowi, kobiety palące
papierosa, lub czyszczące paznokcie.
Na przeciw mnie ostro pije wódkę ja-
kiś młody człowiek. Liczę — 12-ty
kieliszek. Ale Anglik jest doskonale
trzeźwy i pełen godności.

Nasze spojrzenia spotykają się. W
pięć minut potem rozmawiamy jak
przyjaciele. Dowiaduję się, że mój
rozmówca był zawodowym oficerem.
Kiedy wybuchła wojna, bił się w
Afryce, we Włoszech i w Norman-

dii. Był dwukrotnie odznaczony i kilka razy ranny.

Po zakończeniu wojny powrócił do Anglii. Przez pół roku patrzył i słuchał. Wkradają się pierwsze wątpliwości. Nic mu nie mówi ta nowa Anglia, zubożała i wyczerpana, gdzie żywność jest tak surowo racjonowana. Potem wysłano go na Malaje.

— Właśnie na Malajach — ciągnie dalej — zdałem sobie sprawę, że nie mam tu nic do roboty. Wydaje się, jakby ta wojna partyzancka nigdy nie miała się skończyć... I coś się we mnie załamało. Zrozumiałem, że w obecnym świecie Anglia nie może już nic zdobyć. Może tylko stracić. Armia stała się dla niej prawdziwym ciężarem. Podałem się więc do dymisji i powróciłem do kraju.

— A teraz co pan robi?

— Mój wuj jest właścicielem jednej z największych fabryk w Manchesterze.

Nalegam:

— Ale pan osobiście, co pan teraz robi?

— Ja, jak pan widzi, piję.

Ten młody Anglik jest niewątpliwie wyjątkiem. Ale jego uczucia osobiste odzwierciedlają uczucia tysięcy innych młodych Anglików w jego położeniu. Skrycie żalują oni pełnej chwały przeszłości Anglii, cierpią z powodu jej obecnej sytuacji w świecie i marzą o zrzuceniu amerykańskiej kurateli. Nie chcą się pogodzić z powojennym położeniem przeciętnego Anglika, które wydaje im się zbyt szare i przeciętne, a w ostateczności niegodne ich samych.

Kiedy znajdują zajęcie, nie zawsze zależy im na tym, by je utrzymać.

Dodajmy w nawiasie, że znalezienie dobrze płatnej pracy jest dzisiaj w Anglii rzeczą niełatwą. Aktywność gospodarza kurczy się, a ilość bezrobotnych w przemyśle, wbrew oficjalnym cyfrom, wzrasta z roku na rok...

Ci młodzi ludzie, którzy chętnie przybierają maski zbłazowanych i cyników, tworzą — według wypowiedzi dyrektorów banków lub domów handlowych, które korzystają z ich usług — szeregi niestałych i słabo wydajnych pracowników.

Śpieszę jednak dodać, że nie brak oczywiście w dzisiejszej Anglii milionów młodych ludzi, którzy odważnie stawiają czoła życiu, uczciwie zarabiają na swoje utrzymanie i mimo trudności, jakie przechodzi ich kraj, wierzą w lepszą przyszłość.

Kiedy sir Samuel B. bawi się balonikami

Skąd bierze się jednak ten rodzaj niepokoju, zniecierpliwienia a nawet rozdrażnienia, jakie okazują Anglicy, kiedy mówią o położeniu Wielkiej Brytanii i jej możliwościach w obecnym świecie? Rozmawiałem na ten temat z osobistością, której nie spodziewałem się spotkać i w miejscu, do którego nie zamierzałem się udać. Tą osobistością był sir Samuel B., który włada poważną częścią przemysłu hutniczego i jest wielkim mecenasem sztuki. Miejsce spotkania? Słynny Albert Hall w Londynie.

Wyciągnięty o 11 wieczorem przez przyjaciół na **Chelsea Art Ball** (do- roczny bal artystów), znalazłem się



Elżbiety przychodzą i odchodzą — białe peruki pozostają

nagle nos w nos z sir Samuelem B., przebranym w strój francuskiego marynarza. Inni, również bardzo szanowni panowie, przebrani byli w stroje Egipcjan, Hindusów, Eskimosów, Papuasów i Apollów. Kobiety przekształcili się na tę jedną noc w tancerki skaczące w rytm francuskiego kankana, w awanturnicze pieśniarki, w dziewczęta z Honolulu. Ta obfitość krótkich spódniczek z rafii tłumaczyła się być może tanią ceną kostiumu, jak również i możliwościami ukazania świata przez kobiety uczciwej Anglii tego, co zwykle kryje się z zazdrośną troskliwością.

Orkiestry wyły, światła zmieniały barwy, tancerze przydeptywali sobie palce u nóg. Kiedy Big Ben wybił godzinę dwunastą i wielobarwne baloniki zaczęły spadać na wirujące tłumy, sir Samuel B. chwycił mnie pod rękę i zawołał mi do ucha:

— **Happy New Year!** Szczęśliwego Nowego Roku!

Potem zaciągnął mnie do swojej łoży. Było to bardzo uprzejmie z jego strony. Piliśmy złą mieszaninę szampana i whisky.

— Widzi pan, powiedział, Anglicy nie są ani tacy zimni, ani tacy nudni jak się utrzymuje. Umieją się bawić.

Istotnie Anglicy umieją się bawić. W sposób dosyć spontaniczny, a nawet chłopięcy. Osoby w kanonicznym wieku nie obawiają się zachowywać czasem jak dzieci u nas we Francji.

W pięć minut potem, rzucając wreszcie balon, którym się bawił od dobrej chwili, sir Samuel B. zgodził się wyjaśnić mi swój punkt widzenia na obecną sytuację w Anglii.

— Jestem, jak pan przypuszcza, to-rysem. Ale mam już nieco dosyć starego Winstona i jego polityki. Można sobie okadzać naszego starego pana i balsamować go żywcem, zaczynam jednak wątpić w jego przenikliwość. Kręci się w kółko... kręci się w kółko, kiedy trzeba działać.

Sir Samuel B. zamilkł na chwilę, po czym tak ciągnął:

— Byliśmy niegdyś bankierami świata. Powodziło nam się doskonale. Nikt nie chce teraz powierzać nam swoich pieniędzy i biedniejemy. Nasze dominia — nawet one — zwracają się ku Ameryce. I nawet podróż przedsięwzięta przez naszą królewską parę nie potrafi wskrzesić umarłego — naszego imperium. Posłuży ona przede wszystkim, niech mi pan wierzy, do zasilenia kroniki w gazetach i zabawienia prostych ludzi...

— A więc — powiadam — jakież lekarstwo? Jak wyobraża pan sobie sposoby polepszenia obecnej sytuacji Anglii, skoro nie ocenia pan jej — rzecz zrozumiała — jako beznadziejnej?

— Nie, naturalnie, że nie.

Sir Samuel B. wziął w ręce drugi balon, i bawił się kręceniem sznurka.

— Jak poprawić obecną sytuację Anglii, podjął wreszcie. Zadaje mi pan kłopotliwe pytanie. Moi przyjaciele i ja myśleliśmy, że potrafimy napompować nieco świeżego powietrza w sklerotyczne płuca naszej starej Anglii przez zamówienia „off shore“ (amerykańskie zamówienia zbrojeniowe poza normalnymi umowami handlowymi). Ale to nie było serio. Nie więcej serio, niż idea stworzenia z Anglii kraju rolniczego, samowystarczalnego.

Jedyną rzeczą, jaką możemy zrobić, to wzmocnić jak najszybciej nasz przemysł i stać się znowu, że tak powiem, szerokim magazynem produktów dla Europy i Azji.

— A Niemcy? A Japonia? Nie mówiąc już o Ameryce...

— Dlatego, powiadam, że jak najprędzej. Zanim inni nie zagarną sobie kilku wolnych rynków, które jeszcze pozostały...

— To powoduje konieczność **prawdziwego** uznania Chin Ludowych i podjęcia na szeroką skalę stosunków handlowych z krajami Wschodu i ZSRR, prawda?

— Tak, tak, tak by trzeba...

I z małym grymasem rozczerwawia sir Samuel B. dorzuca:

— Niestety, bez tego nie ma rozwiązania.

Obłok młodych kobiet wtargnął do naszej łoży. Oplątały sir Samuela serpentynami. Wycofałem się dyskretnie.

Nazewnątrz rozbawione tłumy, wypełniające Picadilly Circus i sąsiadujące ulice, w dalszym ciągu śpiewały stare piosenki angielskie i szkockie na cześć Nowego Roku. Władze miejskie kazały wysmarować tłuszczem kolumnę pomnika Erosa i większość latarni. Ale przedsiębiorczy studenci mimo to zdołali wdrapać się na same wierzchołki, gdzie zatknęli małe **Union-Jack** (chorągiewki o narodowych barwach Anglii), silnie miotane zimnym nocnym wiatrem.



POWSTANIE Nowych Chin stanowi jedno z najbardziej znamienitych wydarzeń powojennych; jego znaczenie było i jest ogromne. Biegun przyciągania olbrzymiego kontynentu azjatyckiego — Chiny — nawiązują dzisiaj na nowo odwieczną więź przyjaźni z Indiami.

Kalelkar, wybitny uczeń Gandhiego, który uczestniczył w obradach Wszchindyjskiej Konferencji Stowarzyszeń Indie — Chiny w Delhi, szkicuje poniżej historię tej przyjaźni, której nie zdołały zdławić wieki „okcydentalizmu“ (podlegania wpływowi Zachodu). Rozwój Chin budzi obecnie w neutralistycznych kołach hinduskich silny prąd zainteresowania i przychylności. Z tego względu artykuł pana Kalelkar'a wydaje nam się szczególnie znamienity.

NOWA AZJA

M. K. KALELKAR

HISTORIA stosunków między Chinami a Indiami sięga tych samych najodleglejszych czasów, co odwieczna historia obu tych prastarych ziem. Od początku naszej wspólnej historii, więzy łączące Indie i Chiny były bardzo silne, Nigdy nie splamiła ich żadna stronnicza zazdrość, bądź też polityczna nieufność.

Nasza mitologia opowiada nam, że wielki architekt Maya, który zbudował cudowny Pałac Królów Panda-wa w mieście Delhi, znanym wówczas jako Hastinapur, był Chińczykiem, a poeci nasi niestrudzenie opisują nam błyskotliwy geniusz budowniczego pałacu, który umiał stworzyć złudzenie ziemi tam, gdzie była tylko woda i tak ukształtować ziemię, że wydaje się, jakby była prawdziwą wodą.

Do Indii przybywali wielcy chińscy erudyci, by studiować nie tylko buddaizm, ale także sztuki i rzemio-

stwa, które rozwinęły się w Indiach w epoce buddyjskiej. Z drugiej strony — w epoce buddyjskiej erudyci i mnisi hindusecy odwiedzali Chiny, zapraszani przez gościnny naród tego kraju. Hinduski folklor roi się wprost od historii, które opowiadają o chińskich księżniczках i hinduskich księżętach. I nie ma żadnego powodu przypuszczać, że te baśnie z dawnych czasów cechują stronnicość.

Ale nadeszła epoka, kiedy Azję oparowały ciemności i kiedy słońce Chwały przeniosło się na Zachód. Nasze oba kraje podporządkowane zostały panowaniu mocarstw zachodnich, a za wszystkie poniżenia, jakich doznaliśmy pod władaniem Zachodu, powinniśmy w sposób zupełnie naturalny zwrócić się jedni ku drugim. Dzisiaj słońce na nowo podniosło się na Wschodzie. Azja wre nowym życiem i nowymi dążeniami.

Nie ulega wątpliwości, że musie-

liśmy zrewidować nasze poglądy na nacjonalizm i politykę z okresu, kiedy siedzieliśmy u nóg Zachodu. Nie ulega również wątpliwości, że powinniśmy uczyć się od Zachodu różnych nauk i technologii, że również powinniśmy uczyć się rozumieć cudowne zdolności organizacyjne i subtelną dyplomację ludzi z Zachodu.

Ale nadeszła obecnie chwila, w której winniśmy odnaleźć naszą własną duszę i czerpać głęboko z dziedzictwa kulturalnego, które wykuły sobie oba nasze kraje w czasie swojej historii, dążąc po równoległych ścieżkach.

Przypominam sobie w szczególności podróż do Chin największego z naszych poetów Rabindranatha Tagore. Ta jego podróż wywarła głęboki wpływ na oba nasze kraje i można powiedzieć, że zapoczątkowała ona odrodzenie istniejących dawniej między nami stosunków. Prace dr. Radhakrishnana, naszego filozofa i męża stanu umocniły więzy, zacieśnione przez poetę, a nasz dyplomata i historyk Sardar Pannikar przysłużył się sprawie obu narodów w momencie, kiedy potrzeba było największego taktu, by te więzy scementować.

Od dzieciństwa i nadal jeszcze mam ochotę odwiedzić Chiny. Ale nigdyś mówiłem sobie, że nie mam prawa odwiedzać obcego kraju, dopóki moja ojczyzna nie jest wolna. Wszystkie moje pojęcia o Chinach czerpałem z dzieł historyków i pisarzy jak: Giles, Lin Ju-tang, Pearl Buck i innych. Niedawno niektórzy moi rodacy bawili w Chinach i opowiadali nam z entuzjazmem o postępie, dokonanym w ostatnich latach przez młode Chiny.

Ale największe wrażenie wywiera na mnie u Chińczyków ich pogarda śmierci. Tylko dzięki tej pogardzie śmierci mogli Chińczycy znieść wszystkie cierpienia i przezwyciężyć bóle poczucia, jakich doświadcza kraj, nim odzyska niepodległość i godność.

Jesteśmy dumni z przebudzenia Chin i z radością spoglądamy na naszego sąsiada, tak wielkiego, tak potężnego i kulturalnego, z którym możemy się sprzymierzyć.

Szczęśliwie się złożyło, że Chiny i Indie podniosły głowę w tym samym okresie. Bowiem gdyby jeden z tych krajów był silny, a drugi — słaby, nasze stosunki nie mogłyby być tak serdeczne, jak dzisiaj. Afrykańczycy są również naszymi sąsiadami. Gorąco pragniemy, aby również i oni stali się silni i przestali być narodami „zacofanymi“.

Był czas, kiedy rozmaite kraje mogły sobie pozwolić na to, by żyć w izolacji od innych. Pewien chiński filozof napisał nawet, że idealne warunki zostaną spełnione, kiedy mieszkańcy jednej wsi usłyszą szczerkanie psów w sąsiedniej wiosce i mimo to nie będą odczuwali ordynarnej ciekawości dowiedzenia się, jak żyją ich sąsiedzi. Dzisiaj nigdzie te „idealne“ warunki nie są do przyjęcia. Pragniemy się wzajemnie poznać. I mamy nadzieję — przy całej naszej skromności — że możemy się sobie przydać wzajemnie.

To jest możliwe zwłaszcza w dziedzinie wiecznych wartości, tworzących kulturę. Żaden naród nie może utracić głównych składników swojej kultury. Rewolucje polityczne, społeczne, czy nawet religijne nie mogą zniszczyć całkowicie kultury narodu,

bowiem kultura jest owocem wieków i wywiera swoje piętno na samej istocie tego narodu.

Niektórzy mówią o wielkich zmianach, zaszłych w Chinach i w Związku Radzieckim. Nie można zaprzeczyć faktowi, że w każdym z tych dwóch krajów olbrzymie obszary i miliony ludzi przeszły cudowne zmiany i całkowicie się przekształcili. A jednak Chiny pozostają niemniej Chinami, a Indie pozostaną Indiami mimo gwałtownego postępu, dokonującego się w naszym kraju. Nasze dobrosąsiedzkie stosunki przetrwają i będziemy mieli zupełną swobodę wzajemnej wymiany naszych osiągnięć.

Nasze oba kraje mają do wyżywienia niezliczone masy ludzi. Nasze oba kraje mają do ujarznienia olbrzymie rzeki. Jeden od drugiego winien nauczyć się kochać, wspólnie służyć ludzkości, tak, abyśmy mogli stworzyć rodzinę wielu ras, kultur i ideologii.

Mahatma Gandhi był bardzo wzruszony, kiedy naród chiński zaprosił go do swojego kraju. Postanowił udać się do Chin, ale był zbyt zajęty swoją pracą w Indiach. Wiem, że naród chiński stara się zrozumieć filozofię Mahatmy Gandhiego i wpływ, jaki wywarła ona na współczesne Indie.

Gandhi był symbolem nie tylko ducha Indii, ale ducha wszystkich narodów Wschodu, które nie zgadzały się na wznoszenie barier między narodami i przywiązywały największą wagę do spraw ducha, pragnąc osiągnąć filozofię harmonii i wzajemnej dobrej woli.

Indie są krajem syntezy. Indie zdolały do pewnego punktu rozwiązać

konflikt między religiami. W Indiach, jak i w Chinach, można było znaleźć uprawiane jedno obok drugich różne kulty w doskonałej harmonii, dopóki polityka zachodnia nie zniekształciła naszej postawy. Indie są krajem niezliczonych ideologii, ale wszystkie one przyjęły doktrynę, by „żyć i dać żyć”, co stanowi samą istotę ducha Indii.

Niezależnie od tego, jak wygląda historia walk wewnętrznych w Chinach i w Indiach, kraje te nigdy nie posiały wojny na obcej ziemi. I to, trzeba powiedzieć, jest ich wielką zasługą. Musimy zabrać się do dzieła w oparciu o ten duchowy kapitał i połączyć siły naszych kultur, aby umocnić godność i osobowość ludzką, aby ustanowić rodzinę różnych ras.

Chiny i Indie mogą razem stać się siłą kulturalną służącą dobru ludzkości. Cały świat szuka dzisiaj rozpaczliwie pokoju. Ale wielu ludzi nie rozumie, że pokój można wprowadzić jedynie metodami pokojowymi, a nie bombą czy to atomową, czy to wodową.

Zło dzieje się tylko wtedy, kiedy człowiek, bądź też grupa ludzi usiłuje narzucić swoją wolę wszystkim innym. Z chwilą, kiedy przestajemy szanować osobowość naszego sąsiada, sami tracimy zasadniczy składnik naszej własnej osobowości. Nasze serca i nasze umysły stopniowo twardnieją. Otóż nie można się spodziewać, aby pokój można było wprowadzić przy pomocy stwardniałych serc i brutalnych metod.

Oby Chiny i Indie mogły się zjednoczyć, a ich narody — spełnić swoje przeznaczenie na ziemi!

Bieg do Pekinu

MICHEL HINCKER

SLYCHAC dzisiaj często w „wyższych“ sferach zachodnich, że jednym z najważniejszych wydarzeń ostatnich lat była... Międzynarodowa Konferencja Gospodarcza w Moskwie.

W 1951 r., kiedy w Korei szalała wojna, kiedy mówiło się tylko o zbrojeniach na śmierć i życie, o naprężeniu międzynarodowym — ta podjęta pod wpływem ruchu w obronie pokoju inicjatywa wydawała się czymś bardzo ryzykownym. Nie ulega wątpliwości, że wielu przemysłowców europejskich rozumowało zbyt trzeźwo, aby przypuszczać, że łatwo przyjdzie rozpętać wojnę światową, jak twierdziły niektóre koła. Gdyby nie doszło do wybuchu wojny, trzeba by jednak mówić o „businessie“ z drugą połową świata, a w szczególności z kontynentem chińskim, który — wyzwolony spod władzy banków „Kühn und Loeb“, czy „Harriman“ — zasłużył teraz na tytuł wielkiego mocarstwa.

Istnieją jednak dwa sposoby prowadzenia handlu; można obradować przy wspólnym stole we wzajemnym poszanowaniu, można też jedną ręką podsuwać z góry przygotowaną umowę, a drugą — szablę, mającą służyć jako argument przekonywający. W 1951 r. przeważali jeszcze na Zachodzie zwolennicy tej drugiej formuły. Dlatego Międzynarodowa Konferencja Gospodarcza rozpoczęła swoje obrady dopiero wiosną następnego roku, witana często powtarzaniem z przyzwyczajenia drwinami.

Czasy bardzo się zmieniły. Pragnienie nawiązania wymiany handlowej ze Wschodem stawalo się powszechne w miarę, jak słabły perspektywy wojny, a obecnie jest ono poważnym przedmiotem zainteresowania rządów. Kto w 1954 r. odważyłby się wyśmiać lub oskarżyć o zdradę państwa takich ludzi jak lord Boyd Orr (Wielka Brytania), Bernard de Plas (Francja), Gunnar Myrdal (Szwecja), którzy od dwóch lat czynią wysiłki na rzecz podjęcia wymiany handlowej między Wschodem a Zachodem? Pierwszy z nich jest uczonym, drugi — przedstawicielem kół gospodar-

czych, trzeci — dyplomatą w ONZ, a wszyscy trzej są „burzujami“, którzy uważają, że praca w pokoju jest lepsza od awantur wojennych.

Nawet w Stanach Zjednoczonych dyrektor „Chryslera“, Thomas, oświadczył w dniu 12 listopada 1953 r. w związku ze spadkiem eksportu samochodów amerykańskich: „Istnieje obecnie jedna tylko możliwość — stwarzają ją Chiny komunistyczne. Prawdopodobnie potrzebują one więcej niż łącznie wszystkie inne środków transportowych; zawsze stanowiły one poważny rynek dla produktów fabryk Chryslera i samochodów ciężarowych Dodge“.

I nikt nie wysłał Thomasa do piekła za to, że wyraził życzenie, które przed dwoma laty wywołałoby atak apopleksji senatora Mac Carthy'ego. Wprost przeciwnie — czytaliśmy niedawno na łamach „New York Herald Tribune“ w artykule Roscoe Drummonda:

„Rząd amerykański winien zbadać z zimną krwią i przenikliwością problem, czy nie byłoby możliwe w jakiejś określonej przyszłości — dla dobra Stanów Zjednoczonych — zacieśnić stosunki polityczne i gospodarcze z Chinami komunistycznymi“.

Tak więc słuszność mieli uczestnicy Międzynarodowej Konferencji Gospodarczej w Moskwie. Ale problem handlu Wschód — Zachód, a bar-dziej jeszcze — wymiany handlowej z Chinami stał się tak poważnym czynnikiem życia międzynarodowego, wywołuje tyle sporów i komentarzy, że należy dokładnie rozpatrzyć wszystkie jego aspekty.

W 1947 r. w przededniu upadku Czang Kai-szeka, same Stany Zjednoczone eksportowały do Chin więcej towarów, niż wszystkie inne kraje zachodnie razem — przeciętnie za 20,5 miliona dolarów miesięcznie wobec 19,3 miliona dolarów wartości eksportu do Chin z innych krajów. Te ostatnie sprzedawały w owym czasie mniej więcej tyle, co w 1938 r., gdy tymczasem eksport amerykański wzrósł pięciokrotnie. O tym fakcie nie wolno w tym roku zapominać — amerykańscy businessmeni pielęgnują tkliwie o nim wspomnienia.

Kiedy wybuchła wojna w Korei, rząd Stanów Zjednoczonych uzyskał w ONZ decyzję w sprawie embarga na handel z Chinami, embarga, narzuconego z równą stanowczością co i dyskrecją europejskim sygnatariuszom paktu atlantyckiego przez C.O.C.O.M., ów tajemniczy organ, skąd płynąć miały odtąd zakazy, paraliżujące handel między Wschodem a Zachodem.

Dając przykład, który ich zresztą nic nie kosztował (pamiętajmy, że pomyślny okres gospodarczy skończył się w USA dopiero w lecie 1953 r.), Stany Zjednoczone w latach 1952 i 1953 nic nie eksportowały do Chin, ale pozostałe kraje świata zachodniego, rozdzierane pomiędzy swoimi pretensjami politycznymi a wymogami sytuacji gospodarczej, między głośno rzucanymi pogrozkami a głosami narodów spragnionych dobrobytu i spokoju, kierowały pełne wahania spojrzenia w stronę rynków wschodnich.

Dlaczegoż Francja miałaby poświęcać swoje szczupłe zapasy dolarów na

zakup herbaty od usadowionych na Tajwanie towarzystw amerykańskich, kiedy można by otrzymywać herbatę z Chin Ludowych w zamian za blachę albo maszyny elektryczne? A bezpośredni handel Francji z Chinami zwiększył się w ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy roku z 549 milionów franków w 1952 r. do 4.177 milionów franków w 1953 r. w eksporcie i z 1.582 milionów franków do 3.294 milionów w imporcie.

To samo zjawisko rozwijało się w innych krajach zachodnich, które w ciągu jednego roku zwiększyły eksport do Chin o 50 proc., a import — o około 35 proc. Oto procentowe wskaźniki wzrostu handlu kilku krajów z Chinami w ciągu trzech pierwszych kwartałów 1953 r.:

kraje	eksport do Chin	import z Chin
Niemcy zachodnie .	18	2,4
Wielka Brytania .	2	3
Włochy	1,8	5
Szwajcaria	1,8	2
Francja	10	2
Australia	6	
Belgia	4	3
Cejlon	35	15

Cyfry te są zachęcające, ale ich wymowa zmieni się, kiedy porównamy dwa następujące fakty:

1) Przeciętna miesięczna eksportu z krajów zachodnich do Chin wyniosła 32 miliony dolarów w ciągu pierwszych pięciu miesięcy 1953 r. (według Bernarda de Plas);

2) Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę dziewięć pierwszych miesięcy, wyniosła ona tylko 20 milionów dolarów (według „Financial Times“).

Cóż się wydarzyło? Skądże ten spadek po okresie wyraźnego rozwoju wymiany handlowej z Chinami? Wydarzyło się mianowicie to, że w 1953 r. rządy — w szczególności francuski i brytyjski — zwiększyły nagle swoje systemy zakazów. W Wielkiej Brytanii, na skutek anulowania zezwoleń wywozowych, nie wykonano zamówień chińskich na sumę ponad 20 milionów funtów szterlingów. We Francji rząd zawiesił — począwszy od 23 maja 1953 r. — wszystkie licencje na dostarczanie Chinom produktów hutniczych, gdy tymczasem eksport tych samych produktów (blacha tomasówka i lutowane rury) do innych krajów wschodnich poza Chinami był i jest nadal dozwolony. Wynikła stąd dla przemysłu francuskiego strata, obliczana na 4 miliardy franków.

* * *

Wszystkie te fakty są mniej sprzeczne, aniżeli się wydaje. Dają one wyraz nowej sytuacji, opartej na ścisłej konieczności, ale skomplikowanej w wyniku sprzeczności politycznych i gospodarczych, które nieustannie wstrząsają obozem krajów zachodnich.

Korespondent agencji France Presse telegrafował w dniu 27 października w związku z podróżą wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych do południowo - wschodniej Azji: „To, co pan Richard Nixon usłyszy w Dżakarcie, w Singapur i w Kuala-Lumpur, to co usłyszy w Bangkoku i w Rangunie — będzie to pełne udręki powtarzanie żądania stabilizacji cen surowców i zniesienia ograniczeń w handlu z czerwonymi Chinami i krajami komunistycznymi.



...Kampania Przewozów Okrętowych, która oczywiście interesuje się wymianą handlową z Chinami, nie otrzymując — mimo swych ścisłych więzów z rządem francuskim — od lata ub. roku produktów francuskich na wywóz do portów chińskich, jest obecnie skazana na ladowanie w portach Morza Północnego tych samych, ale niemieckich produktów, dostarczanych Chinom z błogosławieństwem COCOM.

produktów przemysłowych — również na rynku chińskim.

Stany Zjednoczone nie stanowią tutaj wyjątku, o czym wiedzą również dobrze ich koła gospodarcze, jak i polityczne. „Spadek“ aktywności gospodarczej z jednej strony (produkcja przemysłowa spadła w ciągu roku o 5 proc., eksport się kurczy, rośnie bezrobocie itp.), a trudności realizacji polityki „wypierania“ wobec krajów socjalizmu z drugiej — doprowadzają do tego, że przemysłowcy, jak na przykład wspomniany wyżej Thomas, poważnie rozważają zagadnienie podjęcia handlu z krajami demokracji na Wschodzie.

W Stanach Zjednoczonych nacisk jest tak silny, że Departament Stanu przeprowadził na ten temat oficjalną ankietę. Zresztą pan Stassen, dyrektor Biura Pomocy Amerykańskiej dla Zagranicy, robiąc dobrą minę do złej gry, wyznał w dniu 10 stycznia, że rząd Stanów Zjednoczonych będzie odtąd spoglądał przychylnie na podjęcie w pewnej mierze handlu krajów europejskich ze Związkiem Radzieckim i z krajami demokracji ludowej...

... Ale nie z Chinami.

Chiny pozostają nadal wielką nadzieją amerykańskich businessmenów. Dotąd był to kraj legendarny z niemniej bajecznymi zyskami, które banki amerykańskie spodziewały się odzyskać przy użyciu siły zbrojnej. Ten projekt rozwiął się w Korei za cenę milionów poległych, a wielu innych poległych przeszkadza mu odrodzić się w Indochinach.

Ale czas nagli. Według przewidywań najlepszego ekonomisty zachod-

Dotychczas Stany Zjednoczone odpowiadały na to żądanie, datujące się faktycznie już od dwóch lat, że wszystkie operacje handlowe muszą być posłuszne prawu podaży i popytu. Ale kraje południowo-wschodniej Azji protestują dzisiaj energicznie przeciw temu fałszywemu od podstaw prawu, gdzie sztucznie ogranicza się podaż restrykcjami w handlu z krajami komunistycznymi.“

Nixon byłby usłyszał te same skargi, gdyby przybył do Londynu, Rzymu, Paryża i Brukseli, czy do Bonn. Większość krajów świata zachodniego odczuwa dzisiaj potrzebę prowadzenia handlu ze Wschodem i sprzedawania — w szczególności

niego Colina Clarka i najlepszego ekonomisty radzieckiego — Vargi w Stanach Zjednoczonych obawiają się przeszło pięciu milionów bezrobotnych w nadchodzących miesiącach letnich. Zanim będzie się marzyć o łatwych zyskach, trzeba móc przeżyć. Otóż rynek chiński mógłby jeszcze przez długi czas umożliwić pracę amerykańskim fabrykom, na nowo przedstawionym na produkcję pokojową.

Ale nie jest się na darmo amerykańskim businessmenem. Nie chciałoby się napotkać w Chinach zbyt wielkiej konkurencji ze strony innych krajów europejskich. Stąd ta radzycielska mała wojna konkurencyjna, do jakiej przystępuje Zachód wobec obecnych i przyszłych zamówień chińskich.

Podczas gdy COCOM zmusza Quai d'Orsay (francuskie MSZ) do wstrzymania wszystkich wysylek francuskich produktów hutniczych do portów chińskich, dla nikogo nie jest tajemnicą, że towary amerykańskie gromadzi się w Hongkongu; każdej chwili można zaproponować ich dostawę Chinom.

A tymczasem Biały Dom stara się sparaliżować swoich ewentualnych konkurentów, lub skierować ich ku innemu rynkowi zachodnim.

Tymczasem amerykański dziennik „New York Herald Tribune” z dnia 2 grudnia 1953 r. oburzał się na krytykę brytyjską pod adresem „nielojalnej konkurencji” amerykańskiej w Chinach, na taką samą krytykę, jak ta, którą pan Bernard de Plas z siłą i gorąco sformułował w parę tygodni potem.



„Niewielu tylko wiadomo, że Stany Zjednoczone osiągnęły w 1952 r. większe obroty w handlu z Chinami czerwonymi, niż Wielka Brytania. Cyfry Departamentu Handlu wskazują, że handel Stanów Zjednoczonych z Chinami wyniósł 28 milionów dolarów, gdy tymczasem Wielkiej Brytanii — tylko 23 miliony. Sytuacja jest o tyle odmienna, że handel amerykański polegał wyłącznie na imporcie, co przyniosło Pekinowi sporo dolarów, gdy tymczasem handel brytyjski równoważył się po stronie importu i eksportu“.

(Amerykański tygodnik „Newsweek” z 21 grudnia 1953 r.)

Tak, czasy bardzo się zmieniły, a wraz z nimi najnowsze projekty. W każdym razie, lepiej patrzeć, jak członkowie koalicji atlantyckiej sprzecząją się o przywilej przybycia na pierwszym miejscu w handlowym wyścigu do Pekinu, niż asystować przy wzmaganiu ich przygotowań do wojny, która zdaniem niektórych jeszcze kół miałaby umożliwić im podporządkowanie sobie Chin, narodu i bogactw tego wielkiego kraju.

Kłopoty przemysłowców angielskich

GORDON SCHAFFER

NA konferencji ministrów finansów Wspólnoty Brytyjskiej w Sydney angielski minister skarbu R. A. Butler, ze szczególnym naciskiem podkreślił konieczność przedsięwzięcia wspólnych kroków w kierunku uchronienia wszystkich krajów Commonwealth'u przed zgubnymi konsekwencjami, jakie może pociągnąć za sobą kryzys ekonomiczny w Stanach Zjednoczonych. W toku dyskusji oświadczył on, że ciężar wydatków na zbrojenia przytłacza Anglię i kruszy podstawę jej stosunków ekonomicznych i tak już zbyt napiętych.

W tym samym czasie w Londynie kupcy i przemysłowcy defilują nieprzerwanymi procesjami w Ministerstwie Handlu (Board of Trade), gdzie wydawane są licencje eksportowe. Domagają się oni zniesienia embargo pozbawiającego handel brytyjski poważnych zamówień ze strony Chin, Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. Mimo to Eden, minister spraw zagranicznych, robi wrażenie niewzruszonego i posunął się nawet aż do oświadczenia, jakoby „**Angielski Komitet Handlu Międzynarodowego**” pod przewodnic-

twem lorda Boyd Orr pozostawał pod wpływem „inspiracji komunistycznej”.

Nazajutrz po rzuceniu tej kłątwy kupcy i przemysłowcy angielscy nie omieszkali pojawić się w ilości większej niż kiedykolwiek w sprawie uzyskania informacji odnośnie możliwości wyjazdu do Moskwy. Pewien zwolennik rządu powiedział nam: „**Musieliśmy wypowiedzieć się negatywnie o organizacji powstałej na konferencji ekonomicznej w Moskwie celem uspokojenia Amerykanów, niemniej jednak pragniemy wznowienia handlu**”.

Protesty przeciwko embargo dotyczącego eksportu na Wschód rozległy się w środowiskach najróżnorodniejszych oraz z miejsc najbardziej nieoczekiwanych. A więc „**Birmingham Post**”, dziennik ultra-konserwatywny, wyrażający niewątpliwie zdanie przemysłowców tego miasta, z oburzeniem skrytykował komitet o dziwnej nazwie „COCOM”.

Komitet ten ustanowiony przez NATO (Organizację Paktu Północno-Atlantyckiego), który poza partnerami NATO obejmuje bońską Republikę Federalną oraz Japonię, ma za-

anie decydowania, jakie zamówienia ze strony krajów socjalistycznych mają być odrzucone na mocy amerykańskiej ustawy „Battle Act” i innych ustaw dotyczących embargo.

„Birmingham Post” po skrytykowaniu owego komitetu stwierdza bardzo wyraźnie, co następuje: Pewni konkurenci na rynku międzynarodowym, a zwłaszcza Niemcy i Japończycy, uczestniczyli w posiedzeniach Komitetu i wspólnie z przedstawicielami innych krajów uchwalili zakaz realizowania zamówień uzyskanych przez przemysłowców angielskich. Następnie zaś za pomocą ciemnych machinacji nie omieszkali przywłaszczyć sobie tych zamówień.

Zrozumiałe jest oburzenie przemysłowców angielskich wobec tego rodzaju metod.

Inny przykład:

W październiku duńska firma „Buxmeister et Wain” podpisała ze Związkiem Radzieckim umowę w sprawie budowy pięciu statków-chłodni przeznaczonych do transportu ryb.

„Manchester Guardian” przypominał przy tej okazji, że w lipcu amerykańskie czynniki oficjalnie zagroziły Danii wstrzymaniem wszelkiej pomocy ekonomicznej i wojskowej, gdyby dostarczyła ona ZSRR statek-cysternę, będący podówczas w stoczni. Dania, jak wiadomo, wydała statek klientowi i każdy czekał na to, jak Ameryka zareaguje na to „wyzwanie”.

Nic się nie stało, a właściciele stoczni angielskich, którym przeszkodzono w przyjęciu podobnych za-

mówień ze strony Związku Radzieckiego, byli wściekli jak nigdy.

Po kampanii przemysłowców przeprowadzonej na łamach pisma „Economist” celem wywarcia presji na rząd, embargo dotyczące eksportu samochodów do Chin zostało zniesione.

Wciąż jednakże jest w mocy embargo na: przetwory farmaceutyczne, auta ciężarowe, kompresory, kabiny kina wędrownego, aparaty elektryczne, narzędzia maszynowe, instrumenty naukowe itd.

Pod koniec roku 1953 zamówienia chińskie na te wszystkie kategorie towarów zostały zawieszono.

Powszechnie zaczęto żądać zniesienia embargo. Ale rząd nie śmie przeciwstawić się Stanom Zjednoczonym, a ekonomiczne konsekwencje zakazów handlowych nie są jeszcze dostatecznie przykre, by zmusić rząd do radykalnej zmiany polityki.

* * *

Polityka zimnej wojny załamuje się również i na innych odcinkach. Przed kilkoma dniami komisja Izby Gmin ogłosiła sprawozdanie z olbrzymiego programu obrony biernej, opracowanego w r. 1948.

260 milionów funtów miało być wydane na obronę bierną w latach 1948 — 52. Otóż ani jedno z zainteresowanych ministerstw nie było zdolne do wydania chociażby części kredytów przyznanych przez parlament.

W istocie rzeczy rozchodowano zaledwie 33 miliony funtów, a komisja doszła do przekonania, że projekt nie został wykonany, ponieważ nikt naprawdę nie wierzył w niebezpieczeństwo zaatakowania Anglii.

Ponieważ sprawozdanie stwierdza na wstępie, że jedyna bomba „typu Hiroszima“, padając na Londyn zabiłaby 40.000 osób, zraniła tysiące ludzi oraz pozbawiła 100.000 mieszkańców dachu nad głową, jasne jest przeto, że gdyby społeczeństwo wierzyło w niebezpieczeństwo agresji na Anglię, rząd ponoszący winę za tego rodzaju zaniedbanie zostałby znieciony przez gniew wyborców.

* * *

Również polityka wojen kolonialnych ulega surowej krytyce. Debata Sądu Wojennego Kenii ujawniły wszystkie okropności wojny prowadzonej przeciwko ludności Kikuyu, budząc uczucie wstydu wśród milionów uczciwych mężczyzn i kobiet. Ostatnie komunikaty z Kenii i Malajów donoszą, że dopóty nie skończy się rzeź ludzi i trwonienie pieniędzy, dopóki będą trwały walki.

Niedawno kilku deputowanych Partii Pracy, duchownych oraz działaczy związkowych opublikowało broszurę silnie nacechowaną wstrętem do wojen kolonialnych, w której oświadczają, że Anglia musi stanąć po stronie ludu i nie wolno jej barykadować drogi do rewolucji socjalnej wszczętej już przez dwie trzecie ludzkości.

Broszura posuwa się jeszcze dalej. Anglia — czytamy w broszurze — nie powinna stawiać po stronie rządu oraz zgrupowań przeciwstawiających się rewolucji biedoty: musi pomagać upośledzonym strefom globu ziemskiego, przygotować się do rezygnacji z pomocy amerykańskiej i redukować wydatki na zbrojenia.

Zwolennicy tego poglądu politycznego powszechnie popierają politykę „sprawiedliwego środka“ i, jak wiadać, znacznie zbliżyli się do rezolucji Ruchu Pokoju.

* * *

Indie zareagowały w sposób wybitnie zdecydowany na amerykański plan uzbrojenia Pakistanu; reakcja ta wysoce zaalarmowała koła polityczne. Nie jest to tajemnicą, „Economist“ z dnia 9 stycznia oświadczył otwarcie: Stany Zjednoczone zamierzają stworzyć alians między Pakistanem, Iranem i Turcją celem zastąpienia paktu śródziemnomorskiego, który nie zdał egzaminu. Anglia nie ma odwagi poprzeć takiego projektu, który równa się utracie poparcia ze strony Indii. Zwłaszcza angielska Partia Pracy, żywiąca kult dla Nehru, z pewnością poprze Indie.

Jednakże najważniejszym może symptomem jest strach ogarniający rząd i City przed groźbą kryzysu ekonomicznego w Stanach Zjednoczonych. Ekspersi ekonomiczni rządu ostrzegli, że nawet nieznaczna „recesja“ w Stanach Zjednoczonych oznaczałaby katastrofę dla ekonomii brytyjskiej ze względu na jej ścisły związek z dolarem. Tak starannie opracowany plan wolnej wymiany funta na dolara trzeba było zarzucić.

* * *

Wszystko to streszcza się w jednym punkcie: Anglia powinna zrezygnować z zimnej wojny. Z tej też przyczyny ujawnia się tu tyle zainteresowania właściwym rozwiązaniem problemu koreańskiego oraz

żywi się nadzieję, że konferencja ministrów spraw zagranicznych w Berlinie osłabi napięcie w Europie.

Ale nadzieja jest jedną rzeczą, a działanie drugą. Gorzką prawdę stanowi fakt, że dotąd rząd angielski niczego nie uczynił celem rozwiązania dylematu. Uda je, że nie widzi poważnego niebezpieczeństwa, udaje, że Li Syn-man nie roznieca nowej wojny w Azji.

„Manchester Guardian“ zdał sprawę z przemówienia prezydenta Eisenhowera z dnia 29 grudnia, w którym była mowa o nowej broni atomowej w Korei oraz przypomnienie 16 narodom o ich przyrzeczeniu wznowienia wojny. Odtąd dzienniki pisały otwarcie, że okręty amerykańskie były gotowe do wywiezienia jeńców chińskich na Formozę. Mimo tych faktów nie notuje się żadnego oświadczenia rządu angielskiego, który by protestował przeciwko powtórnemu wciągnięciu go do wojny.

Nic również nie wskazuje na to, żeby rząd miał zamiar wysunąć na konferencji berlińskiej inny program aniżeli popieranie takiego planu zjednoczenia Niemiec, który za dość uczyniłby żądaniom dra Adenauera. Obaj panowie — Churchill i Attlee oświadczyli w przeszłości, że żądania te są nierealne, jednakże nie

odnosi się wrażenia, że próbują oni zaproponować inną alternatywę.

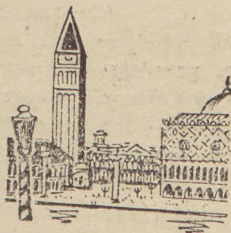
Są niewątpliwie w Londynie i Wąszyngtonie środowiska, w których żywi się nadzieję, że w Berlinie uda się na koniec posunięcie mające na celu zmuszenie Francji do ratyfikowania traktatu bońskiego oraz do udziału w remilitaryzacji hitlerowców.

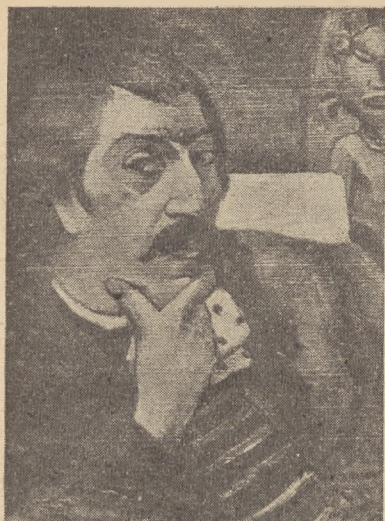
Jednakże bardzo liczni Anglicy, bez różnicy przynależności partyjnej, nie chcą tej polityki, jak również nie chcą ponownego wszczęcia wojny w Korei.

Gdy plan remilitaryzacji Niemiec był lansowany po raz pierwszy, rozległe masy społeczeństwa akceptowały mit propagandowy o niebezpieczeństwie agresji radzieckiej. Dziś nikt już w to nie wierzy.

W początkach wojny koreańskiej miliony uczciwych ludzi widziały w Li Syn-manie niewinną ofiarę agresji. Dziś wszyscy potępiają jego postępowanie.

Anglia chce uniknąć tych niebezpieczeństw. Chce ona uchronić się przed bankructwem. Naród angielski w ogromnej większości akceptuje na ogół ideę współżycia z krajami socjalistycznymi. By ją jednak zrealizować, nie umiał dotąd zmobilizować swych sił, ani dodać choć trochę odwagi swym przywódcom.





Duilio Morosini jest autorem bardzo interesującego studium o życiu i dziele Gauguina: „Noa Noa i inne opowiadania“. Praca ta ukazała się nakładem wydawnictwa „Bompiani“ w 1942 r. W poszukiwaniu autentycznego materiału i anegdot Duilio Morosini udał się do Pont Aven, gdzie Gauguin malował. Wśród ludzi, znających artystę, Morosini spotkał Marię, która w czasie tego „bretońskiego okresu“ była jednym z ulubionych modeli malarza.

Dzień dobry, Panie Gauguin!

DUILIO MOROSINI

W OKRESIE, gdy Gauguin i jego przyjaciele malowali krajobrazy z Finistere — Maria była pokojówką w pensjonacie Cloanec, w miejscowości Pont Aven. Dziś Maria dźwiga na swych barkach prawie 90 lat życia, lecz pomimo to zachowała zdumiewającą świeżość pamięci.

— Czy przypomina pan sobie — mówi do mnie — obraz, przedstawiający pana Gauguin w śmiesznym berecie przesłaniającym mu jedno oko i w krótkiej pelerynie zarzuconej na ramiona?

(To było w 1888 r. Od tego czasu Maria nie widziała więcej ani ory-

ginału, ani jakiegokolwiek jego reprodukcji).

— Czy pamięta pan — ciągnie dalej Maria — że na tym obrazie pan Gauguin stoi za płotem i że obok znajduje się kobieta odwrócona plecami do widza. Z daleka widać zagrodę wiejską... Otóż to był dom moich rodziców, a ta kobieta — to ja sama, w chwili gdy wracałam z pracy... Nie wiem nawet, jak ten obraz się nazywa i gdzie się teraz znajduje.

— W Danii jest kilka obrazów z serii tych, które były malowane w Bretanii; lecz tego właśnie tam nie ma. Obraz ów znajduje się w Mu-



„Chrystus Żółty“ (1889 r. — Kolekcja Paula Rosenberga — Paryż)

zeum w Pradze, a nazywa się „Bonjour, Monsieur Gauguin“.

Słyszając moją odpowiedź Maria pada w zadumę i powtarza szeptem, jak gdyby mówiła sama do siebie: „Bonjour, Monsieur Gauguin“.

Maria jest typem pięknej, starej kobiety. Oczy jej patrzą spokojnie i surowo. Szeroka, porwana głębokimi zmarszczkami twarz zachowała czyśćć linii i zdumiewającą białosć cery. Godzinę temu krewna Marii pokazała mi jej fotografię, z okresu gdy miała 23 lata. Jakże wspaniała była wówczas dziewczyną! Silna i smukła, pełna szlachetności i czegoś surowego zarazem, o szarych oczach i czarnych, jak krucze pióra włosach.

— **Mój Boże, jak ten czas leci** — mówi Maria — **a wydaje się, jakby to było dzisiaj...**

Siedzimy z Marią pod oknem. Widzimy z daleka kobiety, które kłęczą, pochylone nad praniem. W swoich szerokich, czarnych sukniach i białych, koronkowych czepkach sztywno nakrochmalonych — te „kobiety o długich uszach“ są nieodrodnymi siostrami tych, które otaczają „Chrystusa Żółtego“, które pasą swoje bydło na wybrzeżu Tremalo w „Pejzażu bretońskim“ (Muzeum w Kopenhadze), które biorą udział w „rycie“ przedstawiającym „Walkę z aniołem“, lub się tej walce przyglądają. Krajobraz też się nie zmienił. Ożywiają go po dawnemu jaskrawe plamy żarnowca i różowy janowiec. Nieurodzajna ziemia poprzecinana małą zielenią krzaków, mizerne drzewka zmęczone od ciągłego szamotania się z wiatrem, domki kryte dachówką obok starych chat o słomianych dachach... Ten sam pejzaż,

który 65 lat temu malowali Gauguin i jego przyjaciele.

Zanim przyszedłem tutaj, by odwiedzić starą Marię, błędziłem po uliczkach Pont Aven, napotykając rozrzucone wszędzie ślady pozostawione przez Gauguina i „tamtych“.

Na małym placu, obok mostu przerzuconego nad rzeką, marmurowa tablica wisząca nad szyldeem obecnej księgarni mówi nam o tym, iż tu właśnie był ongiś pensjonat Cloanec. Tablica ta przypomina, iż tutaj w 1888 r. Gauguin, Bernard, Serusier i inni „założyli szkołę Pont Aven“.

— **Może pan chce zwiedzić pracownię Gauguina** — zaproponował mi stary chłop, widząc jak odcyfruwuję napis na tablicy.

Pracownia Gauguina znajduje się na pierwszym piętrze starego wiejskiego domu, położonego w pięknym sadzie. Prowadzi do niej mała ścieżynka, a potem drewniane schodki... W tej wielkiej izbie, do której wpada światło przez szklaną ścianę, będącą czymś zgola nieoczekiwanym w Pont Aven (szklana ściana o powierzchni 20 m kwadratowych, której mogliby pozazdrościć malarze z Montparnasse), Gauguin miał tylko żelazne łóżko i malutki stolik. Malarz X, który zajmuje teraz pracownię, objaśnił mnie, iż tu właśnie Gauguin namalował „Chrystusa Żółtego“, narysowawszy go uprzednio „na miejscu“.

Omawianym „miejszem“ jest kaplica w Tremalo wznosząca się na niewielkim wzgórzu, odległym o kilkaset metrów od fermy. Na zmurszałych drzwiach kaplicy ktoś napisał ołówkiem: „Tutaj znajduje się Chry



„Walka z Aniołem” (1889 r. — Galeria Narodowa w Edynburgu)

stus Żółty” namalowany przez p. Gauguin”. Krucyfiks umieszczony przez Gauguina na tle krajobrazu, jest drewnianą rzeźbą pomalowaną na kolor żółty. Postać Chrystusa — surowa, grubo ciosana i niezmiernie wyrazista — taka jak wszystkie ludowe rzeźby w drzewie z XVII w., często spotykane w kościołach bretońskich. Chrystus jest tu „zawieszony” na poprzecznej belce, pod sufitem o kolorze błękitnym. Ściany kaplicy zbudowane z ciosanego kamienia. Umieszczone między belkami smoki wyrzeźbione w drzewie — o łuskach koloru szmaragdowego — — „gryzą” belki. Jeśli ten widok

przypomni słowa z artykułu Mirbeau — często cytowane przez biografów Gauguina — „Chrystus przedstawiony jako bóstwo Papuasów, Chrystus bolesny i jakiś „barbarzyński”... uśmiechniecie się mimo woli. Drewniane rzeźby Bretanii i bretońskie Kalwarie musiały wywrzeć głęboki wpływ na umysł Gauguina w tym czasie.

Koło kaplicy spotkałem wieśniaczkę; ofiarowała się zaprowadzić mnie do starej Marii.

Ileż to obrazów „Pana” Gauguin odkryliśmy po drodze... „Żółty Chrystus”? — Maria zna tylko jeden wizerunek, ten z kaplicy Tremalo.

Przypomina sobie jednakże inny obraz, na którym przedstawione są cztery kobiety bretońskie w białych czepcach, zgrupowane na ścieżce prowadzącej do kaplicy. Przypomina sobie „Swinarczyka z Bretanii“ (1889) i kilka innych płócien, lecz nie wie o „Chrystusie Żółtym“.

— Cóż pan chce — dodaje — to był człowiek, który pracował całą parą, nikt nie mógł mu nadążyć.. Ach, i niech pan nie robi tak jak niektórzy z jego tak zwanych przyjaciół paryskich. Niech pan powie w swej „książce“, że pan Gauguin pracował z całą zaciekleścią: że wychodził rano obladowany płótnami i stalugą i że wracał dopiero wieczorem upadający ze znużenia. Czasami gdy nie miał ani grosza na wynajęcie wozu z koniem — włókł się ze swym ciężarem piechotą aż do Concarneau całe czternaście kilometrów... Jednakże skoro po powrocie do pensjonatu w Cloanec rozstawił swe obrazy wzdłuż ścian jadalni, to zmęczenie nie przeszkadzało mu na prowadzenie niekończących się dyskusji, podczas których zapominał o stygnącym na stole obiedzie...

Odpowiadając na moje pytanie Maria zapewnia, iż to przede wszystkim Serusier (subtelny teoretyk grupy) dawał Gauguinowi różne łamigłówki do rozwiązania przekomarzając się z nim żartobliwie.

— Tak — mówi Maria z naciskiem — to byli ludzie pracy, ludzie poważni. Złym przykładem dla wszystkich był tylko ten malarz holenderski z Arles, ten malarz - alkoholik; przyjaźni z nim pan Gauguin o mało nie przypłacił życiem.

Maria zdaje się nie zna epizodu z obciętym uchem, lecz wie o tym, iż

„Holender i pan Gauguin przeżyli razem ciężkie chwile i że chociaż p. Gauguin ustąpił wreszcie i przyjął zaproszenie, uczynił to jednak po długich wahaniach przewidując coś złego“.

— W czasie nieobecności Gauguina — mówiła Maria — w grupie więcej było dyskusji niż malowania.

Korzystam ze sposobności, by zaznaczyć, że przyjaciele z Pont Aven byli w gruncie rzeczy raczej „takimi co się mądrzą“ i że ten „Holender-alkoholik“ był prawdziwym malarzem.

Maria odpowiada, iż nie zna się na tym, lecz że w każdym razie nie było to dobre dla pana Gauguina.

Z tym się zgadzam. Być może, że słuszność jest po jej stronie.

A jego projekt wyjazdu na Tahiti? Maria twierdzi, że przypłacił to życiem i myśli, że gdyby był został w Bretanii, toteż by pewnie malował piękne obrazy.

Jej przypuszczenie jest niepokojące. Spróbujmy je przyjąć. Wszystko jest dozwolone w dziedzinie wyobraźni. Mielibyśmy wówczas innego Gauguina. Czyż byłby lepszy od Gauguina z Tahiti? Być może! I snując dalej te myśli — czyż to samo nie mogłoby spotkać Van Gogha? Czemuż by nie? Gdyby Van Gogh nie poznał symbolistów i rycin japońskich i gdyby ze swoim niezwykłym temperamentem i całą swą pasją do „realizmu“ poszedł drogą realistów holenderskich i flamandzkich... I jeden i drugi byli „wygnancami“, czyż obaj nie opłacili bardzo drogo swego powołania malarskiego żyjąc wśród społeczeństwa, które nie uznawało ich roli? W słowach Marii jest może ukryta głęboka mądrość.



„Dzień dobry, Panie Gauguin!” (1889 r. — Muzeum w Pradze)

— Czy nie widziała go pani po powrocie z Tahiti w 1893 roku?

— Tak — odpowiada Maria — widziałam go w sześć miesięcy po powrocie. W chwili gdy wracał tu z Paryża z Hawajką Annah i ze swą małpką — był już chory.

Z początku ludzie się tego trochę nastraszyli, lecz potem wszyscy się przyzwyczaili. Annah — zapewnia Maria — była dobrą dziewczyną. J nie rozumiem, dlaczego marynarze z Concarneau mogli pozwolić sobie na niewłaściwą poufałość w stosunku do niej.

Przyjaciele z Concarneau — powiedziała mi Maria — wyjaśnili jej, jak się odbył „wypadek“.

— Marynarzy — mówiła — było więcej niż dwunastu, w chwili gdy zaczęła się bijatyka. Pan Gauguin bił się jak lew. Czterech marynarzy padło pod jego razami. Pan Gauguin zmusił wszystkich do ucieczki. Tylko jeden, który zresztą był na pół pijany, zawrócił i atakując pana Gauguin od tyłu, kopnął go swym sabotem w kostkę. Pan Gauguin długo potem leżał w szpitalu i nie mógł już nigdy całkowicie wyleczyć nogi.

— Jak wyglądała mała Hawajka Annah?

— Była piękną dziewczyną — odpowiedziała Maria — Małego wzrostu, pulchniutka, o długich włosach opadających na plecy. Miło było na nią patrzeć. Ubierała się mniej więcej jak my wszystkie (pamiętam ją w czarnej sukience i białym kołnierzyku, jak zwykły nosić uczennice). Była dobra dla pana Gauguin i dla nas wszystkich. Pomagała nam nawet przy sprzątanu w pensjonacie Cloanec. Naprawdę była dobrą dziewczyną...

W tym wypadku Maria przez naiwność lub przez zbytnią wyrozumiałość myli się. Nie mogę się oprzeć pokusie, by nie powiedzieć, że według zdania „samego pana Gauguin, mała nie była wcale tak święta, jak o niej mówiono, ponieważ podczas choroby Gauguina w Pont Aven nie zaważała się okraść jego pracowni na Montparnasse...”

Maria nie chce temu wierzyć. „Już jej mówiono o tej „historii“, lecz z pewnością jest to oszczerstwo wymyślone całkowicie przez tak zwanych przyjaciół pana Gauguin w Paryżu“.

Nie opieram się dłużej. Zadaję jej pytania w sprawie obrazów Gauguina pozostałych w okolicy. W Pont Aven Gauguin miał jedynego nabywcę: ojca właścicielki Hotelu Pocztowego.

Maria opowiada mi, iż jeśli chodzi o nią samą, to nie chciała, by „pan Gauguin robił jej prezenty“; lecz inne dziewczęta z Pont Aven, które mu pozowały — przyjmowały je. Nie podejrzewając wartości tych płócien, robiły z nich różne rzeczy, czasem nawet podeszwy do pantofli.

— Z drugiej strony p. Gauguin lubił malować na byle czym: na sabotach, garnkach, na drzwiach swego pokoju, na suficie. Skoro dowiedziało się kim on jest — było już za późno. Handlarze wywieźli: saboty, garnki, drzwi i sufity, a dziewczęta, które z jego płócien zrobiły podeszwy do pantofli, wprost szalały z wściekłości.

Maria ma wrażenie, że to wszystko miało miejsce wkrótce po śmierci Gauguina.

Przypuszczam, że myli się o kilka lat. Jeszcze w 1905 roku, projekt zrobienia wystawy pośmiertnej Gauguina

na w Galerii Sztuk Pięknych — został odrzucony. Sam Vollard zaczął się interesować Gauguinem dopiero w ostatnich latach życia malarza.

Gdy żegnam się z Marią, mówi mi jeszcze raz z naciskiem: „Trzeba obalić legendę głoszącą, że Gauguin i jego przyjaciele nie byli „porządnymi“ ludźmi. To byli ludzie pracy, ludzie poważni....“

A więc, jeśli chodzi o ludzi „poważnych“ — miałem nazajutrz oka-

zję zobaczenia w Quimper „dokumentu“, którego widok sprawiłby Marii wielką przyjemność. Był to stary szyld „Pension Cloanec“. Ręka nieznanego malarza przedstawiła na nim „panów“ Gauguin, Bernard, Serusier i innych, jak — ubrani w białe, płócienne spodnie i nieskazitelne kurtki alpagowe, malują na plaży w Concarneau, chroniąc się od żaru słońca w cieniu olbrzymich parasoli...





NA ŚLADACH MARCO POLO

PAWEŁ ŁUKNICKI

W WYSOKICH górach czas płynie powoli; gubi się w płątaninie głębokich przesmyków skalistych. Karawana posuwa się długim szeregiem po wąskiej ścieżynie zawieszanej nad bezdennymi przepaściami. Co chwila trzeba zdejmować juki z koni, brać ładunki na plecy i, wiążąc się długimi, wełnianymi lasso, przedostawać się jakoś na skały zawieszone nad spienioną

rzeką; potem przy pomocy tych samych lasso, pomagać koniom, przestraszonym wysokością, drżącym, kaleczonym przez ostre kamienie w przebyciu niebezpiecznego przejścia. Potem trzeba znowu ładować juki i ruszać dalej długą karawaną, która przechodzić będzie przez olbrzymie usypiska skał opadające w głąb przepaści.

Chwilami mam wrażenie, że trzej jeźdźcy jadący przede mną to Metteo, Nicolo i Marco Polo, że jestem Rojjaninem, który przyłączył się gdzieś w górach do karawany Wenecjan i że dzielę teraz z nimi uroki i niebezpieczeństwa tej powolnej podróży. Odnoszę to wrażenie, gdyż siedem wieków niewiele waży w krainie Wysokich Gór; czas ma tu inne wymiary i trudno jest określić początek roku czy wieku w tej odwiecznej skali, którą mierzy się byt w tych tysiąc razy tysiącletnich górach.

I rzeczywiście, czym mogły się różnić moje wrażenia z podróży od wrażeń tego młodego zahartowanego trzyletnią wędrówką Wenecjanina. którego szlaki zbiegały się z moimi, gdy przed dwudziestu laty brałem trzykrotnie udział w wyprawach naukowych w góry Pamiru, gdy przebyłem konno około dziesięć tysięcy kilometrów, zapuszczając się w trudne i zawile szlaki, przebywając miejsca mało znane, a nieraz nawet zupełnie nie oznaczone na mapach? Widziałem znowu to, co Marco Polo oglądał przed siedmioma wiekami. Góry pozostały podobne, nietknięte: potworne usypiska głazów, moreny i lodowe łańcuchów Hindukuszu, Czachdaia i Wachanu błyszczały zawsze równie tajemniczo w promieniach księżyca; lodowe stoki i zwapniałe kamienie lśniły oślepiająco w słońcu; masywy ich zagradzały jak niegdyś drogę koniom karawany, ludziom o twarzach opalonych gorącym słońcem wyżyn; istniały tu nadal starożytne fortece czcicieli ognia, Siachpuszi, zamykające wyjścia z ciasnych przesmyków, nad spienionymi rzeka-

mi, których brzegów aż do ostatnich czasów nie połączył żaden most.

Granity, marmury, gnejsy — starte, skryształizowane, zmiażdżone, pokruszone przez tytaniczne siły przyrody, przybrały zdumiewające kształty. Fantastyczne i nieporównane w swym ogromie i piękności, wznoszą się ku liliowemu niebu.

Takimi, jakie ukazały się niegdyś słynnym Wenecjanom, takimi i dziś widzą je podróżnicy. Zresztą w życiu ludzi, zamieszkujących te wąskie doliny, mało zmian zaszło aż do ostatnich lat dwudziestu. W ciągu tysiącleci nic, chyba tylko następstwo pokoleń, nie zmieniało ich nędznego, ciężkiego, samotnego i pod wielu względami prymitywnego bytu.

Reformy przeprowadzone w latach trzydziestych przez władze radzieckie stały się jak gdyby promieniem światła, który rozproszył ciemności feudalizmu w górach Badachschanu i Pamiru w granicach ZSRR. Te potworne moce zacofania, ciągle jeszcze żywotne, panowały w codziennym życiu i umysłach górali. Jak odwieczna pajęczyna, podarta przez Rewolucję, lecz której resztki wisiały jeszcze w odległych zakątkach niedostępnych przesmyków, drapieżny wyzysk ciążył na mieszkańcach Pamiru, którzy dostrzegli już pierwsze brzaski zorzy, i nie pozwalał im żyć swobodnie.

DROGA MARCO POLO

Historycy dyskutują dziś jeszcze nad drogą, którą przebył Marco Polo. Dla mnie jest ona jasna. Marco Polo kończy swój rozdział o Kaszmirze następującymi słowami:

„Pozostawimy te okolice, ten kraj; w przeciwnym razie dostalibyśmy się do Indii, a nie chcę tego. Po powrocie będę mówił szczegółowo o Indiach. Teraz powracajmy do Badasjanu, gdyż nie ma innego wyjścia“.

Następny rozdział, zatytułowany: „Gdzie opisuje się wielką rzekę Badasjan“ (obecnie Piandź) Marco Polo zaczyna w ten sposób:

„Począwszy od Badasjanu jedzie się wzdłuż rzeki w ciągu dwunastu dni ku wschodowi i północnemu wschodowi; należy ona do brata władcy Badasjanu; jest tu wiele twierdz i osad. Ludzie są dzielni i czczą Mahometa. Po dwunastu dniach rozpoczyna się inne terytorium, niezbyt wielkie: trzy dni marszu w każdym kierunku; zwię się Wachan...“

Innymi słowy, po swym powrocie z Czesmur (Kaszmiru) do Badachschanu, miasta z którego nie pozostały nawet ruiny, Marco Polo skierował się ku Piandź. Ponieważ twierdzi, że przybył nad Piandź dwanaście dni przed wjazdem do Wachanu, widoczne jest, że jego droga wiodła wzdłuż jeziora Chiwa w kierunku na Kala-i-bar Piandź. Inny szlak karawan przez Zebak i Iszkaszim doprowadziłby Wenecjan do Piandżu u samych granic Wachanu, a nie wzdłuż Piandżu („wielka rzeka Badasjan“).

W obu wypadkach Marco Polo mógł dotrzeć do Wachanu tylko w kierunku południowym, a nie północno-wschodnim. W tym ostatnim kierunku podróżnik powracał w granice Wachanu. Widocznie, po słusznym oznaczeniu swej drogi Marco Polo

nie wziął pod uwagę gwałtownego zakrętu rzeki.

Nakreśliwszy w ten sposób drogę Wenecjan na przestrzeni obecnego terytorium radzieckiego Badachschanu w górach, zastanówmy się co by na niej napotkał Marco Polo, gdyby, wracając z zaświatów, odbył swą podróż w naszych czasach...

Prawie naprzeciwko miasteczka afgańskiego Kala-ir bar Piandź (niegdyś twierdzy) znajduje się Chorog — dziś ośrodek administracyjny autonomicznego górskiego okręgu Badachschan (ZSRR).

Chorog zaczął się rozwijać dopiero od roku 1924 — 25, gdy, przybywając z Och przez Pamir Wschodni, nadeszła pierwsza karawana wielbłądów przywożąc towary, lekarstwa radzieckie, narzędzia rolnicze, nasiona przysyłane w darze biednym chłopom Pamiru. Karawanie towarzyszyli pierwsi lekarze cywilni, architekci, nauczyciele i specjaliści w sprawach nawadniania.

W 1929 r., po raz pierwszy w historii Pamiru, w Chorog wylądował samolot, pionier linii lotniczej łączącej dziś regularnie Badachschan ze stolicą Tadżykistanu, Stalinabadem. Dwa lata później przybył do Chorog jeden z pierwszych dwóch samochodów, którym udało się przebyć wyżyny Pamiru! Dziś tysiące samochodów przebywa je codziennie we wszystkich kierunkach i na Pamirze nie ma okolic zamieszkałych, które nie posiadałyby dróg nadających się do jazdy kołowej. Podczas gdy dawniej karawany z Chorogu używały półtora miesiąca na dotarcie do Stalabadu albo Och, samochody odbywają dziś tę drogę w ciągu dwóch dni. W



Badachschan jest dziś podzielony na dwie części przez rzekę Piandż (górny bieg Amu-Darii): Badachschan afgański, na lewym brzegu, i autonomiczne terytorium Badachszanu (górskiego) na prawym brzegu. Terytorium to składa się z następujących powiatów zamieszkałych przez górali-Tadżyków: Wancz, Ruszan, Bartang, Szunian, Roszt-kala (nad rzeką Szanch Dara), Iszkażim i Wachan. Marco Polo, jego ojciec i wuj przechodzili właśnie przez te trzy chanaty, gdy szli z Seksemu (Kiszmy) ku „szczytom Pamiru“, ku jezioru Zor Kul, a potem z Wielkiego Pamiru do Kaszgaru. „Szczyty Pamiru“ to masyw górski obecnego wschodniego Pamiru radzieckiego, tworzącego okręg Murgabu, ostatni na terytorium Badachszanu (górskiego) zamieszkały przez Kirgizów.

1934 r. rozpoczęto w Chorogu na rzece Gunt budowę pierwszej elektrowni wodnej na Pamirze. W 1935 r. powstało 20 pierwszych kołchozów...

Chorog, stolica radzieckiego Badachszanu jest dziś pięknie zabudowanym miastem w pełnym rozwoju z setkami porządnie urządzonych domów; nie brak tu wody; jest wyższy zakład naukowy (Instytut Pedagogiczny), kilka szkół średnich. Miejski ośrodek teatralny wystawia sztuki współczesne i klasyczne literatury światowej. Cóż jeszcze? Kina, park kultury i wypoczynku, sztuczne jezioro: Jezioro Komsomołu, stadiony sportowe, kilka bibliotek posiadających łącznie ponad 100 tysięcy dzieł, dwie gazety regionalne w języku rosyjskim i tadżyckim, hotel, kilka klinik i szpitali: dziesiątki sklepów, drugi na świecie (po Dardjeeling) — jeśli chodzi o wysokość położenia — ogród botaniczny, który stał się dla mieszkańców Badachszanu szkołą drzew owocowych i jarzyn, nie uprawianych dotąd na Pamirze; mnóstwo organizacji troszczących się o rozwój wszystkich gałęzi gospodarki i kultury narodowej; wykształcone społeczeństwo, z którego dziesiątki osób odebrało wyższe wykształcenie w Stalinabadzie, Samarkandzie, Taszkencie i Moskwie: oto dzisiejszy Chorog. Lecz nie o tym miście chcę tu mówić; chciałbym opisać te głębokie doliny, skaliste przesmyki, wąskie wąwozy, które przebywał niegdyś Marco Polo i które i dziś jeszcze są najbardziej odludnymi i najtrudniej

dostępnymi miejscami radzieckiej Azji Środkowej. Dlatego też opuścimy Chorog, by udać się w górę rzeki Piandż.

DRÓGIE KAMIEŃ I CENNE ŹRÓDŁA

„W okolicach tych wydobywa się drogic kamienie malachity; są to kamienie piękne i kosztowne; pojawiają się w skałach górskich. Jak nam powiedziano, ludzie drążą głębokie jaskinie i wchodzą w nie, jak się to robi dla wydobywania minerału srebra; drążą się jaskinie w górze Siginan (Szunian) i wydobywa się to malachity na rozkaz króla i dla króla. Pod grozą kary śmierci nikt nie odważa się iść do tej góry i wydobywać kamieni dla siebie; ten zaś, kto próbuje wywieźć kamienie z kraju, ryzykuje utratę głowy i konfiskatę mienia...”
(Marco Polo).

Miałem sposobność być w tym kiszłaku Kugui-Lal, słynnym od czasów Marco Polo, gdzie wydobywano dawniej rubiny — a właściwie spinele.

Kiszlak leży na wysokości 200 metrów nad Piandżem; jeśli chodzi o stare sztolnie, to leżą one jeszcze wyżej na scianach przesmyku; Afganowie używali tu w ubiegłym wieku niewolników jako siły roboczej i wydobywali spinele z prymitywnych sztolni, jednakże na początku naszego wieku sztolnie wyczerpały się i porzucono je; dziś, zasypane kamieniami, nie są już eksploatowane. Mieszkańcy kiszłaku Kugui-Lal sieją zboże, uprawiają ogrody i pędzą spokojne życie kołchoźników.

„...Wiedźcie o tym, że w kraju tym są inne góry, a w nich znajdują się kamienie, z których wydobywa się błękit; jest to bardzo piękny kamień, najlepszy na świecie, a skały, z których się go wydobywa znajdują się w kopalniach, tak jak i inne kamienie...” (Marco Polo).

W Badachszanie afgańskim znajdują się słynne złoża lapis lazuli, które zwiedził w 1839 r. Anglik Wood; obecnie stanowią one monopol emira Afganistanu. Czy to o tych złożach wspomina Marco Polo? Czy też o tych, które znajdują się na terytorium radzieckim w łańcuchu górskim Szach-Dara? Znane od najdawniejszej starożytności, popadły w zapomnienie i w ciągu ostatnich stuleci nikt nie wiedział dokładnie, gdzie się znajdują. W 1930 r. dwóm geologom radzieckim i autorowi niniejszego artykułu udało się znaleźć te legendarne złoża. Wśród straszliwych obrywów skalnych, otoczeni pionowymi ścianami ze zwisającymi nad głową lodowcami, trzej członkowie wyprawy spostrzegli na wysokości 5 tysięcy metrów nad poziomem morza, warstwy zabarwione błękitem cennego minerału. Przed drugą wojną światową, w 1937 r. paryżanie mogli oglądać w pawilonie radzieckim ogromną mapę ZSRR zrobioną z różnobarwnych kamieni. Morza, jeziora i rzeki — jasno lub ciemno-niebieskie były odtworzone z lapis lazuli wydobytego ze złóż, które odkryliśmy.

W dziele Benedetta, jednym z wa-

riantów „Podróży Marco Polo“ znajdujemy następujące zdanie:

„...Znajdują się tu również trzy góry, bogate w siarkę, a źródła siarczanę sączą się nieustannie...”

Jedno ze źródeł znajduje się w Goran, nad dopływem Piandżu; rzeka Garm-Czaszasma. Może Marco Polo kąpał się w tym źródle... W 1931 i 1932 r. badając „białe plamy“ znajdujące się jeszcze na mapach Pamiru, udało mi się odkryć i nanieść na mapę najwyższy szczyt i centralną oś łańcucha Szach — Dara; iglicę wysokości 6500 m. Iglicy tej, która jest prawie o kilometr wyższa od najwyższego szczytu Europy, Elbrusu, nadałem imię Majakowskiego. Znajduje się ona obecnie na wszystkich mapach Pamiru. Wznosi się nad źródłami rzeki Garm-Czaszasma. Schodząc nad rzekę Piandż odkryłem gorące źródła. Całość tych wspaniałych kąpieli naturalnych o różnych temperaturach tworzy wzgórek oświetlającej białości, wznoszący się pośrodku wąskiej kotliny. Tuż obok znajduje się mały kiszłak. Ten zagubiony zakątek, odcięty od świata, był jeszcze przed jakimiś dwudziestu laty pełen legend o „cudownych uzdrowieniach“. Tubylcy z Badachszanu przybywali tu z niezmiernym trudem, po przejściu wąskiej ścieżyny, zawieszonej nad przepaściami, by odczuć uzdrawiający wpływ tego źródła, „które wytrysło pod uderzeniem różdżki syna proroka, gdy zabił on tu smoka“. Mieszkańcy kiszłaku Garm-Czaszasma byli ludźmi ubogimi, stale



U góry: Wyjazd Marco Polo i jego braci

U dołu: Polowanie na jeżozwierze w Badachszenie
(Wg. *Livres des Merveilles*)





U góry: Poszukiwanie rubinów

U dołu: Obóz mieszkańców Samarkandy

(Manuskrypt 2810 Biblioteki Narodowej w Paryżu)



głodnymi, zacofanymi i nie mającymi pojęcia o tym, co dziać się mogło za Wysokimi Górami.

POŁA WYDARTE SKAŁOM

Miałem szczęście kąpać się ponownie w 1952 r. w gorących źródłach Garm-Czszaszma. Dowiedziałem się, że Komitet Okręgowy KPZR przewidział utworzenie tu stacji balneologicznej w ramach planu pięcioletniego, wykonywanego obecnie w górskim okręgu Badachschanu. Będzie ona ukończona za dwa lub trzy lata. Co się dotyczy kiszłaku Garm-Czszaszma, złożonego z 30 gospodarstw, to należy on od 1937 r. do kołchozu im. Andrejewa wraz z sąsiednimi kiszłakami Dewloch, Sist, Chas — Charoch i Anderol nad Piandżem; kołchoz posiada 7 szkół, z czego jedną siedmioletnią z ośmioma nauczycielami i położoną właśnie w kiszłaku Garm-Czszaszma. Mieszkaniec Sistu, Muzafer Eulmadedow, zwyczajny kołchoźnik, jest obecnie uczniem Instytutu Rolniczego w Stalinabadzie. Inny znowu, Kerwanow z Garm-Czszaszma jest zapisany na Uniwersytet Państwowy Tadżykistanu. W kołchozie tym wykopano nowy kanał nawadniający, który użyźnił 20 hektarów ziemi i to na takich skalach, że ostatnio człowiek mógł tu zaledwie przejść, ryzykując w każdej chwili spadnięcie w przepaść.

Na ziemi tej, dosłownie wydartej skałom, założono nowe sady z tysiącami drzew morwowych i innych drzew owocowych.

Masyw z marmuru i gnejsu, który stanowi góry Goran, zdaje się być rozcięty mieczem olbrzymia. Piandż

spada, jak oszalały drapieżnik w wąski „kanion“. Niedawno jeszcze w górze nad Piandżem wiodła ścieżka tak wąska, że tylko istota o silnych nerwach mogła ośmielić się jej użyć. Karawana Marco Polo musiała wspiąć się na nią, gdyż nie istnieje inna droga wzdłuż Piandżu prowadząca z Badachschanu do Wachanu.

Dziś samochód przewozi mnie przez Goran, nad ryczącym Piandżem. Góry rozchylają się lekko, lecz zachowują swój groźny wygląd. Wjeżdżamy do miasteczka powiatowego Iszkaszim. Małe kiszłaki stały się prawdziwym miastem. Dolina Piandżu rozszerza się tu nagle do szerokości 2 kilometrów. Jest ona obecnie uprawna. Nad grzbietami prawego brzegu widzi się nowe, białe domki i piękne ogrody. Odnajdujemy ten sam widok: restauracje, szkoły, szpital, klub z kinem itd.; a w domach dawnych górali, zagubionych na końcu świata: aparaty radiowe, meble „jak w mieście“, półki z książkami.

Młodzież Iszkaszimu — zdrowa, wesola, dobrze odżywiona — uczy się, organizuje przedstawienia amatorskie, jeździ na wycieczki do Chorogu lub Stalinabadu, uprawia sporty i znowu uczy się, z zapalem, niestrudzenie. Dziesiątki samochodów osobowych i ciężarowych jeżdżą między Pamirem a Chorogiem, przywożąc towary spożywcze, meble, prefabrykowane domy... Śpiewy, pieśni ludowe rozlegają się wieczorami na ulicach Iszkaszimu. Dziewczęta tańczą w klubach, przed domami, wśród kwiatów.

O dwa kilometry stąd znajduje się mały kiszlak Ryn, którego mieszkańcy mówią nigdzie nie używanym

starożytnym dialektem. Lingwiści z Leningradu przybyli specjalnie, by go studiować. Łącznie znajdują się tu 84 gospodarstwa; wszystkie należą do kolchozu im. Żdanowa. Lecz jeden z chłopów z Ryn, Jusufbekow, po ukończeniu szkół w Iszkaszmie i Chorogu i Instytutu Pedagogicznego w Stalinabadzie, studiuje teraz w Moskwie, na Akademii Nauk Społecznych. Inny mieszkaniec Ryn — elektrotechnik z kolchozu — Iszmatow, przedstawiciel narodowości zamieszkującej w ZSRR tylko jedną wieś, został wybrany deputowanym do Rady Narodowości przy Radzie Najwyższej ZSRR. Co się tyczy kolchoźnika Kiabekowa, to ma on inny tytuł do sławy: jako pierwszemu we wsi udało mu się wyhodować w 1948 r. pomidory i brzoskwinie w tym górskim zakątku.

Poza Iszkaszmie dolina jeszcze się rozszerza; dotąd sięgał dawnymi czasy olbrzymi lodowiec, który przeorał tę dolinę, zmełł na kawałki, zasypał piaskiem skały gnejsu i marmuru i pozostawił ślady swych moren. Lody stopniały pozostawiając głębokie jeziora, których resztki otaczają jeszcze, na znacznej wysokości, zbocza gór Hindukusz. Im dalej jedzie się w górę biegu Piandżu, tym ostrzejszy staje się klimat, brutalniejsze wiatry, nędzniejsza roślinność, bardziej szalone wlatujące z wydm tumany piasku.

NIEDOSTĘPNE PRZESMYKI

I oto przybyliśmy do serca Wachu. Promienie słońca nie przenikają do niedostępnych przesmyków Darszaju i Dar-i-Sziteharwa, które

wpadają do Piandżu. Szerokość przesmyków nie przekracza metra lub dwóch, a wysokość zdaje się niezwykła; można by powiedzieć, że sięgają nieba. Pionowe skały zdają się być uformowane z błyszczących czaszek połączonych ze sobą, w których woda wydrążyła tysiące oczodołów. Piandź rozlewa się tu szeroko, otaczając swymi ramionami trawiaste wyspy. Stoki gór rozkładają się szerszej, lecz pozostają równie strome. Olbrzymie usypiska spełzają w dolinę, tworząc pagórki rozłożyste jak wachlarze. Wiatr jest coraz bardziej u-



porczywy, coraz ostrzejszy; około porudnia dmie gwałtownie otaczając krajobraz mgłą kurzawy, jak dał niegdyś w plecy przechodzących tu z karawaną Wenecjan...

Jeszcze małe „kiszlaki”: Ptup, Tuchgoss, Jamczin, kołchoz im. Lenina. Na lewo, na wysokiej skale, Marco Polo widział zapewne wielką twierdzę, z mnóstwem kwadratowych wież, murami na półtora metra grubymi, które opasywały w kilku pierścieniach zbocza góry. Można być tego pewnym, gdyż wielu archeologów twierdzi, że została ona zbudowana na długo przed podróżą Wenecjan. Władcy tej twierdzy zatrzymywali karawany i ściągali z nich opłatę za przejście, co dawało im środki do życia. A więc i karawana Marco Polo została tu również zatrzymana. Wąskie prostokątne strzelnice spoglądały na karawanę, a za nimi ukazywały się, być może, twarze czcicieli ognia, którzy żyli tu prawdopodobnie w tych czasach. Wenecjanie ujrzeli łuki napięte przeciwko sobie, wojowników gotowych do stoczenia olbrzymich głazów... Matteo i Nicolo Polo zatrzymali karawanę. Marco Polo podbiegł, zaczął rozmowę z wojownikami, zakrywającymi się wielkimi tarczami ze skóry. Ludzie z fortecy spoglądali ciekawie na gesty kupca, który rozkładał przed nimi zakurzone toboły, wyjmował korzenie, cienkie haftowane tkaniny, sztaby błyszczącego metalu.

Otrzymawszy okup, władcy twierdzy dali znak straży: mogła przepuścić karawanę. Wojownicy, uzbrojeni w olbrzymie łuki, usunęły się ze ścieżki. Marco Polo wsiadł na konia i powołał karawaną rozpoczęła pochód

wzdłuż zarośniętej cierniem doliny. Spoglądając z rozlętnieniem na suche krzewy „oblepichy“, kępy dzikiej róży i wiciokrzewu, młody kupiec myślał z żalem o wszystkich podobnych twierdzach, które już napotykał na swej drodze, o wszystkich, które jeszcze napotka. Nie dało się inaczej! Jest to jedyna droga prowadząca z Badakszanu do Chin. I na prawo, i na lewo wznoszą się niedostępne ściany gór.

SZKOŁA W SERCU WACHANU

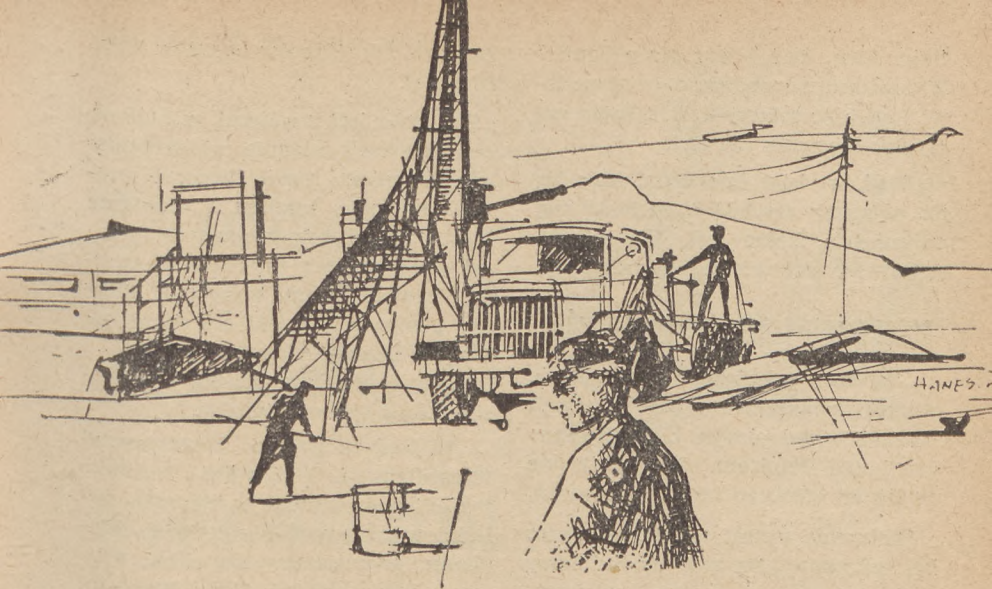
Następnego dnia karawana zbliża się do olbrzymiej moreny, która przegradza dolinę i tworzy rodzaj przyładka wchodzącego głęboko w łożysko rzeki. Ileż wieków upłynęło, zanim Piandź zdołał wyrwać się z jeziora utworzonego przez morenę i popłynąć leniwie dalej, zakreślając piękny, szeroki łuk.

Marco Polo, przed zbliżeniem się do przyładka, nie zauważył zapewne kiszłaku znajdującego się na lewym brzegu rzeki. Nie różnił on się niczym od wielu innych.

Ja jednak zatrzymałem się w kiszłaku Wrang, zdziwiony widokiem wielkiego, białego budynku, wznoszącego się na stoku góry. Dowiedziałem się wkrótce, że jest to 10-letnia szkoła w kołchozie im. Stalina.

Co takiego? Szkoła 10-letnia w sercu Wachanu, w kołchozie zagubionym wśród prawie nieprzebytych gór?!

To jednak prawda... Szkoła otoczona jest wokół ogrodem nawadnianym przez kanał czerpiący swą wodę ze strumienia. Wchodzę do ogrodu i spotykam jednego z nauczycieli, Gulbeka Asadbekowa. Zapoznajemy się i o-



Przyjmuję zaproszenie, by pozostać tu cały dzień... I oto czego dowiedziałem się podczas rozmów z dyrektorem i wesółymi, porządnie ubranymi uczniami.

Szkołę otwarto w 1933 r. Liczyła wówczas czterech nauczycieli i około 50 uczniów. W 1949 r. przemieniono tę podstawową szkołę na szkołę 7-letnią — z dziewięcioma nauczycielami i setką uczniów. Wreszcie, w 1949 r. jest to już szkoła 10-letnia, do której uczęszcza obecnie 360 uczniów. Spośród dawnych uczennic tej małej, górskiej szkółki cztery studiuje dziś w Wyższej Szkole dla Dziewcząt w Leninabadzie (dawnym Chodżencie). Inne wyszły za mąż, pracują w bibliotekach, szkołach lub rodzinnych kołchozach. Spośród chłopców część studiuje w Stalínabadzie, Samarkandzie, Chorogu...

W szkole uczy dziś 17 nauczycieli, w tym dwóch Rosjan, wykładających

język rosyjski. Inni pochodzą z ludności miejscowej. Jest tu biblioteka licząca — oprócz podręczników szkolnych — 2 tysiące tomów oraz laboratorium chemiczne i fizyczne.

Wreszcie wylania się przede mną grzbiet Wachanu, zagubiony w chmurach, przedzielający na dwa ramiona rzekę Piandź. Na prawo, u stóp Hindukuszu, płynie Wakchan - Daria. Nad jej wąską doliną rysuje się trójkątny szczyt jak gdyby z białej laki. Gdzieś w tym kierunku znajdują się przełęcze Jon i Barogil prowadzące do stolicy Kaszmiru. Na lewo, spadając z Wielkiego Pamiru, z jeziora Zorkul, przeskakując stopnie wysokich teras, płynie rzeka Pamir, wzdłuż której przebiega na południowy wschód granica ZSRR... Tu właśnie, u spływu tych dwu rzek, tam gdzie zaczyna się Piandź, musieli się zatrzymać Wenecjanie zanim wybrali drogę, która doprowadziłaby ich do

Chin. Przez Wielki czy Mały Pamir? Wybrali prawdopodobnie drogę na lewo i mijając ostatni kiszlak Ratm ruszyli w kierunku Zor-kul.

„Stąd, w ciągu trzech dni idzie się na północny wschód i dochodzi się do miejsca, które jest, jak mówią, najwyższe na świecie...” (Marco Polo).

OGRODY NA WYSOKOŚCI 3.000 METRÓW

...Zanim zakończę opowiadanie chciałbym powiedzieć o tych ostatnich kiszlakach nad górnym biegiem Piana-dżu i nad Pamirem. Wszystkie one należą do kolchozu im. Kaganowicza.

Olbrzymia praca wykonana przez kolchoźników przy pomocy żołnierzy wojsk pogranicza w tych opuszczonych okręgach jest po prostu zdumiewająca. Przed kolektywizacją było w kiszlaku Zigwand trzy gospodarstwa, dziś jest ich 23. Trzeba było oczyścić ziemię z kamieni: kolchoźnicy posia-

dają dziś 36 hektarów ogrodów i ziemni ornej.

Podobnie jest z sadami, w których rosną morele i jabłonie, ze szkółkami pełnymi morw i topoli. Będą one ocieniać pobliskie kiszlaki i okoliczne drogi. Dwudziesto-kilometrowy kanał nawadniający zapewnia urodzajność tym okolicom, które były niegdyś pustynią, jak jest nią dotąd, na drugim brzegu, Afganistan.

Cudów tych dokonano na wysokości około 3 tysięcy metrów.

...W ślad za trzema Wenecjanami wyszedłem aż do Zor-kul. Podobnie jak oni podziwiałem, w kierunku południowym, wspaniałe łańcuch Wachanu, poprzecinany szerokimi dolinami lodowcowymi. Trzej Wenecjanie, po opuszczeniu Pamiru, udali się na wschód — ku winnicom i polom bawełny Kaszgaru. Ja zaś, kierując się na zachód, poszedłem ku winnicom i polom bawełny Tadżykistanu.



rys. Hanesse

Zawód zawodowi nierówny!



Vittorio de Sica kręci obecnie w Neapolu film, osnuty na tle zbioru nowel pt.: „ZŁOTO NEAPOLU“ pióra Giuseppe Marotta, którego całość tworzy żywą kronikę ulicy. Zamieszczamy dzisiaj jedną z tych nowel w przeświadczeniu, że czytelnicy nasi ocenią jej subtelny humor.

W KWIETNIU 1920 r. don Raffael Caserta był woznicą. Przywiózł parę cudzoziemców do Vome-
ro. Mężczyzna mógł być w rzeczywistości adwokatem z Piacenza (niasła w północnych Włoszech), ale w podróży poślubnej udawał cudzoziemca. Weszli do jednego z pałaców przy Via Aniello Falcone.

Adwokat, lub ten, który na adwokata wyglądał, pomógł swojej mał-

żonce wysiąść — okazując jej przy tym wiele czułości — i rzucił z roztargnieniem: „Proszę poczekać pół godziny.. Potem pojedziemy do Riviera di Chiaia..“ Don Raffael odpowiedział: „Dobrze, ekscelencjo“ — i zeszedł z koźła.

W dwadzieścia minut potem, nadszedłszy znienacka, cudzoziemiec złapał go jak „nakęcał taryfę“. Don Raffael usiadł spokojnie na chodniku i podłożył lewar pod oś po-

jazdu w ten sposób, że koło, do którego przymocowane były tryby taksometru, nie dotykało ziemi; nie dbałym ruchem ręki wprawiał je w ruch, obserwując jednocześnie chmury i wypuszczając cienkie kłęby dymu z ogryzka papierosa. Podskoczył, kiedy spostrzegł, że został przyłapany, ale oświadczył, że działa dla wspólnego dobra. Stwierdził, że przed rozpoczęciem długiej „podróży“ z Vomero do Chiaia, chciał sprawdzić, czy nic nie przeszkodzi biegowi pojazdu.



Zakończył pojednawczo: „Co za piękny dzień, panie hrabio“, co ostatecznie doprowadziło „cudzoziemca“ do rozpacz. Podróżny postanowił opowiedzieć wszystkim w Piacenza, czy gdziekolwiek indziej, jak na południu zdemaskował i ukarał oszusta. Nadszedł policjant, który aż nadto łatwo poznał w don Raffaelu recydywistę w uprawianiu proceduru „pomagania taksometrowi“ To też mimo wezwań do pobjaźniania, rzucanych niestrudzenie przez nieszkanców z Via Aniello Falcone, których liściowe słońce wiosenne skłaniało do dobroci, tegoż samego wieczora don Raffael przestał być woźnicą.

Oczywiście, ani koń, ani powóz nie należały do niego. Oddał je właścicielowi, pocałował konia za uchem, po raz ostatni odetchnął cierpkim zapachem stajni, wypełniającym podwórze i powoli powrócił do domu przy Port-Alba. Żony nie było, skorzystał więc z tego, by się zastanowić.

Don Raffael był pomysłowy. Zaledwie utracił jedno zajęcie, wyniósł sobie następne. Wyjął z „cassapanca“ (1) zwitek papieru do rysowania i kilka tubek z farbą. Potem wyciął nożem z kawałka drewna małe rękojeście. Wreszcie wydobył z kieszeni połowę końskiej grzywy — z konia, którego właśnie niedawno pocałował za uchem (można sobie wyobrazić, że w ten sposób podziękował mu za podsuniecie mu tak obiecującego pomysłu) — i po sfabrykowaniu kilku pędzelków zabrał się do malowania „wotów“.

Nawy kościołów neapolitańskich pełne są tych pomyslowych małowi-
del, przedstawiających nieszczęścia,
którym w cudowny sposób zapotie-
gła interwencja świętego. Widzimy
na nich murarzy, spadających z ru-
szowania, ustawionego na zawrot-
nej wysokości, robotników w chwili,
gdy grozi im wciągnięcie w skompli-
kowane tryby maszyn, dzieci wpada-
jące do wrzasku...

W kącie obrazu święty Ksawery,
albo święty Wincenty, siedzący na
chmurze, objaśniają znawcom, że
tym razem przedstawiany fakt nie
zakończył się tragicznie.

Don Raffael przykładał właśnie
rękę do drugiego obrazu, poświęco-
nego pogryzieniu kogoś przez wście-
kłego psa, kiedy weszła donna As-
sunta i powiedziała:

— Raffael, już wiem! Znowu stra-
ciłeś pracę!

Przerwał swój twórczy wysiłek
artystyczny, by spojrzeć, jak zwykle
nieruchomo i z ekstazą swymi lę-
kitnymi oczami podobnymi do oczu
z wotów, którym ruch nieostrożnego
pędzla dawał wyraz zdziwienia i
wdzięczności za sprawiony cud.

Assunta Cutolo była zbyt piękna
dla byle kogo i trzeba uznać za coś
rzeczywiście nadzwyczajnego fakt, że
ten pechowy don Raffael mógł się
z nią ożenić, on, który w chwili,
kiedy ją poznał, był wędrownym
sprzedawcą wody. W tym czasie, we-
soły i biedny, przemierzał uliczki
Monte Calvario, wykrzykując śpiew-
nie zachętę do kupienia kawałka lo-
du z ciekącego drewnianego wia-
dra, lub napęczniałych cytryn.



Miał na sobie całkiem białe ma-
rynarskie ubranie i zniszczone pod-
winięte aż do kolan spodnie. Za u-
chem trzymał papierosa. Postawił
przed nią pełną szklankę z uroczy-
stym uszanowaniem, które ją roz-
śmieszyło. Pobrali się w trzy mie-
siące potem, kiedy don Raffael pra-
cował jako dozorca nocny w fabryce
kapeluszy.

Tam małżeństwo Caserta spędziło
noc poślubną aż do rana, kiedy za-
skoczono ich śpiących jak susły na
posłaniu z najlepszego filcu; natural-
nie wypędzono ich. Zresztą domek
poślubny czekał na nich przy Port-
Alba. Tam to rozkwitła pani Caser-
ta w całkowitym spokoju ducha zda-
jąc się zapominać za jednym zama-
chem o wiadrze z ciekącego dREW-
na, o kwaśnej kropli cytryny w nie-
przezroczystej szklance, o włocha-



tych, zabłoconych nogach, o tym wszystkim, co któregoś pięknego dnia tak samo nieoczekiwanie zaśpiewało w jej krwi.

Donna Assunta spędzała dni na małym balkoniku z kotem na kolanach. Wieczorem kominek był zimny, ale nowe naszyjniki ze sztucznych pereł, wstążki, połyskliwe grzebyki zdobiły piękną, szorstką i milczącą małżonkę don Raffaela, którego uważała za zapraszającego i do którego mówiła:

— Chodźmy do **pizzeria** (2)!

W małej salce słynnej pizzeria przy Port-Alba światła elektryczne lśniły na dekolcie donny Assunty. Przy sąsiednich stolikach nieznane oczy oświadczały, że donna Assunta jest piękna i przebiegały ją, nie licząc się z gburowatym don Raffae-

lem, który wydawał się przy niej przedmiotem nie więcej ważnym, niż woreczek, który położyła obok siebie na krześle.

Wychodząc, mijali z bliska rozpalony piec. W tym nagłym wybuchu żaru, w tym wzruszającym zapachu chleba, don Raffael pragnął jej tak bardzo, lzy napływały mu do oczu i znajdował w niej, nie zdając sobie z tego sprawy, swą matkę i pierwszą komunię.

Toteż nie było zajęcia, którego by Raffael nie umiał się dla niej podjąć. Mówię o tych latach, gdy był hodowcą psów i ptaków, gdy uczył gry na gitarze w siedmiu lekcjach, gdy był szlifierzem, sprzedawcą ryb, wywiadowcą, przeprowadzającym ankiety, kiedy ofiarowywał się jako zegarmistrz, lub fachowiec od napra-

wy parasoli, kiedy najmował się do ubierania i fotografowania zmarłych.

Jako woźnica don Raffael nie miał szczęścia, ale w produkcji i zbycie wotów przeszedł sam siebie. Jego zdaniem należało w porę dodawać bodźca dla wdzięczności tych, którzy winni byli zdrowie lub życie interwencji któregoś świętego.

Zwykle właściciele przedsiębiorstw pogrzebowych, nie dając tego po sobie poznać, pilnują przebiegu chorób, o których są zawiadomieni; stąd don Raffael czerpał wiadomości równie pewne jak rozsądne. Kiedy przedstawiciel przedsiębiorstwa pogrzebowego opuszczał rozczarowany mieszkanie ciężko chorego, obecnie będącego już poza niebezpieczeństwem, widziano wchodzącego tam don Raffaela, uśmiechniętego, tajemniczego i bezwstydnego zarazem. Można przypuszczać, że między marlarzem wotów i przedsiębiorcami pogrzebowymi istniało tajne porozumienie, bowiem klient, stracony dla jednego, był nieuchronnie zdobyty przez drugiego.

Don Raffael wślizgiwał się między krewnych, wreszcie uwolnionych od czuwania, wymachiwał obrazkiem i namawiał ich, aby nie okazywali się niewdzięczni.

— Kto wie, czy to naprawdę święty Pascal, a nie święty Ksawery? — zauważano czasem. Zadowalał się wtedy udzieleniem odpowiedzi, że przechodząc tędy przypadkiem; odkurzając obrazek tego właśnie świętego, uczuł niewytłumaczoną potrzebę wejścia do tego domu. Wtedy kobiety ścisnęły się, płacząc, i sprawa była załatwiona.

Zresztą udawało mu się sprzedawać swe obrazki rodzinom, których nie dotknęła ani śmierć, ani niepowodzenie. Któregoś dnia na ulicze przy Porta Nolana pewna pani powiedziała doń z wahaniem:

— Mój mąż fabrykuje sztuczne ognie, tak jak na pana obrazku, ale nigdy nie zdarzyło się, aby jakaś rakietą wybuchła mu w rękach.

Don Raffael namówił ją, aby również zaopatrzyła się w obrazek. Wyraził pogląd, że cudotwórca łatwiej zażegnaje możliwości nieszczęścia, niż jego ostateczne konsekwencje. Dał jej wreszcie do zrozumienia, że nabycie obrazka zobowiąże w pewien sposób świętego Ksawerego.

Proszę was o wyrozumiałość dla tego biednego, chudego, wynędzniałego, intryganckiego, nie mniej przywiązanego niż kto inny do świętych mojego kraju, którzy tak wiele zachowali ze swego odległego ludzkiego pochodzenia, że z tego względu może mu wybaczyć.

I oto nieszczęście weszło do domu samego don Raffaela. Jeżeli się nie mylę, upewnił się o tym pewnej letniej nocy, kiedy zbudziła go wściekła ulewa.

Albo też nagle otworzył oczy, gdyż nie czuł już przy sobie, w wielkim miedzianym łożu, obecności donny Assunty. Kiedy wyszedł na korytarz, ujrzał niknący na schodach cień, wziął swoją żonę za rękę i wrócił do pokoju.

Stojący na komodzie zegar uderzył trzy razy.

Muszę bezstronnie powiedzieć, że aż do świtu don Raffael płakał niepowstrzymanie siedząc na łóżku. Donna Assunta nie powiedziała ani

tak, ani nie. Czekala spokojnie, ufna w siłę swojej wspanialej urody.

Wreszcie don Raffael wstał i ubrał się. Zapakował walizkę z sukniami i fałszywą biżuterią swojej żony, mówiąc do niej jakby z głębi otchłani:

— To jedyny zawód, do którego nie mam skłonności.

Potem poczuł się gorzej. Kłaniał się donnie Assuncie, robił grymasy mistrza ceremonii, chodził tam i z powrotem, jak tancerz w balecie, od szafy do walizki, podrzucając do góry lśniącego szmatki donny Assunty. Powiedział do niej:

— Któż to był szliferzem i sprzedawcą ryb? Któż to ubierał umarłych i ogalał żyjących? Ale zawód zawodowi nierówny, moja droga!

Wziął walizkę na plecy i poszedł szukać taksówki. Kiedy umieścił w niej donnę Assuntę, powiedział kierowcy: „Dokąd pani rozkaże...” i za wrócił do domu.

Rozpacz włożyła mu pędzel do ręki. Do tego właśnie chciałem dopro-

wadzić — do wota, namalowanego przez don Raffaela w chwili, gdy poczuł się wdowcem i sierotą po donnie Assuncie, pozostawiony sam w środku świata z pędzelkami w rękę.

Przez całe lata mówiono od Port-Alba po Capodimonte o tym dziwnym obrazku, przedstawiającym świętego Wincentego, jak odsuwa od głowy don Raffaela, w potokach przejmującego deszczu lutowego, olbrzymią parę rogów. Przytłoczony do ziemi swym bólem, don Raffael przyklęknął u stóp proboszcza, jęcząc:

— To cud jak każdy inny, mój ojcze, czemuż nie mógłbym podziękować zań publicznie?

Ostatecznie powiesił obrazek na ścianie swojego pokoju i zapalił przed nim małą świeczkę. Starzejąc się, stawał się coraz bardziej łossepny. Przypominam sobie, jak często zdarzało mi się widywać go w pizzerii przy Port-Alba. Siadał przy najdalej stojącym stoliku i z wybuchu żaru, ze wzruszającego zapachu chleba, biły do niego kłębami, jakby z kadzielnicy, wspomnienia młodości.

1) Drewniana skrzynka służąca również do siedzenia.

2) Restauracja.



Secundino



Trzy opowiadania z życia górników

LUIS CARLOS FALLAS

ilustr. Mentor

Jenaro

WSZYSTKIE galerie przebiega-
jące pod górę San-Antonio
zostały już ukończone, a tam
głęboko, sztolnia poprzeczna stała się
ważną składnicą straszliwych mate-
riałów wybuchowych. Całymi dnia-
mi górnicy są w ustawicznym ruchu
w górę i na dół, ciągną sznurem je-
den za drugim, niby w jakimś pod-
ekscytowanym mrowisku, przeno-
sząc materiały wybuchowe: ciężka
skrzynia dynamitu, naboje krótkie i
grube, beczki czarnego prochu o
wielkich ziarnach, płaskich i lśnią-

cych. Praca ta była powodem licznych zmartwień Jeronima.

Trzeba było utrzymywać równowagę z tym niebezpiecznym ładunkiem na plecach, ryzykując życie własne i innych. Upuszczenie skrzyni dynamitu pociągnęłoby za sobą masakrę ludzi na dole. Po przybyciu do galerii trzeba było przenieść skrzynię w głąb, otworzyć ją, ułożyć naboje w sztolni poprzecznej. W pewnych miejscach lokowano naboje, w innych beczki czarnego prochu aż do całkowitego zamknięcia bariery T. Po ukończeniu tej pracy przychodził jakający się Ponce z przewodem elektrycznym. Ciągnął go od wejścia, a następnie łączył z jednym ze zbiorników prochu po uprzednim umieszczeniu petardy na obu końcach.

Galerię główną, prowadzącą do windy, trzeba zabezpieczyć kamieniami i ziemią, ponadto należy uważać, aby przewód nie został uszkodzony. Tą właśnie pracą jest obecnie zajęty Jeronimo i to samo robi się we wszystkich galeriach.

Jest to praca wymagająca znacznej cierpliwości; dla górników uciążliwa i wyczerpująca. Muszą oni drążyć skalę z zewnątrz, następnie wypełniać galerię ziemią, rozpoczynając w głąbi. Nie można pozostawiać wolnej przestrzeni. Dwóch, najwyżej trzech robotników pomaga górnikom.

Brak jednego z pomocników Jeronima. Jest to Jenaro, młody sanpedreńczyk ¹⁾ o zielonych oczach i kędzierzawych włosach blond z polyskiem złota. Przybył on do szybu 48, aby zarobić pieniądze, które by mu pozwoliły na założenie rodziny. Mówią, że jest obecnie w szpitalu.

Mniej więcej przed dwoma tygodniami Jenaro czując się źle powrócił do obozu. Po śniadaniu Jeronimo zbliżył się do barłogu, na którym leżał Jenaro. Widok chorego wzbudzał serdeczne współczucie. Jenaro rzucał się na posłaniu, nieprzytomny, cały zlany potem, ciężko dysząc. Był zielony jak śliwka, usta jego stanowiły siną plamę. Z barłogu z łodyg i liści, z jego odzieży, a nawet ze złocistej czupryny biła zabójcza woń potu i torsji. Ludzie zajmujący sąsiednie sienniki zabrali swe rzeczy i usunęli się z obrzydzeniem. Jeronimo dotknął jego czoła, biedny Jenaro był trawiony gorączką.

— Hm, oby to tylko nie „aguas negras“ ²⁾ — mawiano. Jego narzeczona daremnie by na niego czekała.

Jeronimo długo patrzył na niego, nie wiedząc co czynić, by mu pomóc, wzruszony jego przeciągłymi jękami i trwożliwą maligną.

Wkrótce potem, wychodząc z obozu, spotkał byłego kontrabandzistę ³⁾. Powiedział mu o stanie, w jakim pozostawił młodego człowieka.

— Ach, caramba, biedaczysko, A gdzież on jest? — zapytał Secundino.

Jeronimo wskazał mu barłóg chorego.

— Może będę mógł coś dla niego zrobić; może kompresy, — rzekł Secundino. Wiesz, że jesteśmy rodacy. Pochodzi on z San Pedro, a ja z El Llano, ale obie wioski należą do Ahajnela... A więc...

I szlachetny Secundino pospieszył z pomocą sanpedreńczykowi.

Późną nocą, gdy wszyscy spali, dały się słyszeć rozpaczliwe jęki Jenara. Od czasu do czasu powtarzał śla-

bym głosem, uporczywie jak dziecko, to samo wołanie:

— Mamo, mamo.

Jeronimo drżał w odpowiedzi na każde z tych bezowocnych wezwań; myślał o matce chłopca, o narzeczonej. One na niego czekały, bardzo daleko stąd, a mimo to, w tej chwili, w jego rozgorączkowanej wyobraźni, cienie ich poruszały się tuż przy nim. Grubiański głos Fierabrosa podrzucił Jeronima na posłaniu:

— Co za pech! Dajcież temu niemowlęciu piersi! Może pozwoli nam spać!

Tu i ówdzie po kątach, rozległy się tłumione śmiechy. Paru innych również zaczęło utyskiwać pod wpływem zdenerwowania na skutek ustawicznych jęków chorego.

Jeronimo zdecydował się stracić pół dnia pracy celem odtransportowania chorego do szpitala dla ubogich w Las Lomas. Nie chciał, by Jenaro umierał jak pies w obozie. O świcie rozmawiał z Panchuą, jego pomoenikiem i Chompiponem. Sporzadzili wspólnie nosze z lian oraz trzciny i po godzinie byli już w drodze niosąc młodego człowieka. Towarzystwili im Secundino, aczkolwiek w niczym nie mógł pomóc; będąc niskiego wzrostu, niezdolny był do pomocy czterem innym dźwigającym nosze. Po powrocie oświadczył, że uważał za swój obowiązek towarzyszenie swemu rodakowi.

Szpital dla ubogich był zamknięty. Urzędnik chiński znikł bez śladu, nie znaleziono również nigdzie policjanta. Padał drobny deszcz, a od rzeki Revantazon, niosąc głuchy szum jej wód, wiał zimny, ostry wiatr. Chodząc to tu, to tam, stracili przeszło

godzinę, przemoczeni do suchej nitki, nie znalazłszy miejsca na ulokowanie niewygodnych noszy. W końcu Chińczyk zlitował się nad chorym:

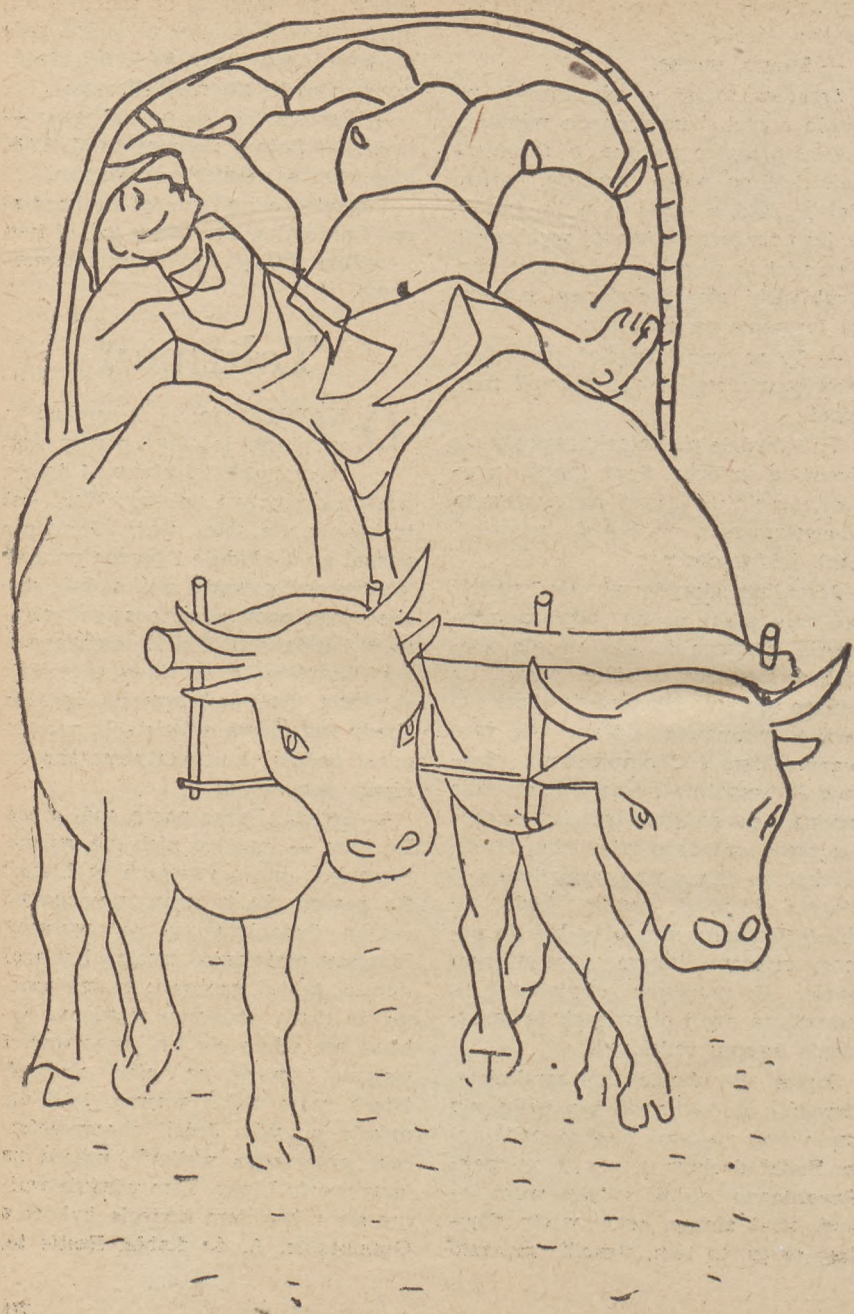
— Pozostawcie go na kolitarzu — rzekł. — Zajmę się nim tutaj. Później polozmawiam z policjantem.

I sanpedreńczyk został na korytarzu Chińczyka, skurczony wśród lian i rzeżący. Odtąd nic o nim nie wiadomo.

Talizman

O KAZAŁO się, że Secundino to przyjaciel lojalny i pewny. Jest to człowiek szlachetny i dobry, wieśniak prosty i naiwny. Wart jest tyle złota, ile sam waży. Jeronimo poznał go dokładnie i bardzo polubił. Wieczorami gawędzi z nim; lubi słuchać jego opowiadań o swych stronach i rodakach. Dla „kontrabandyści“ wszystko to, co się wiąże z jego stronami, jest najlepsze na świecie. Kiedy jest mowa o świętach, natychmiast padają autorytatywne zapewnienia Secundina:

— Święta. Tylko nasze, mój stary Bo inne — lepiej o nich nie mówić. Słyszałeś już o świętach w Llano? Na pewno. Są to prawdziwe bareraz⁴⁾. Organizujemy je wszyscy. Wszyscy przynoszą trzcinę i wiązki lian, o, takich grubych; są tak mocne, że nigdy żadnemu młodemu bykowi nie udało się ich przerwać. I wszyscy mogą na nich siedzieć. Niech mnie diabli wezmą, jeśli nie mówię prawdy. Jeżeli chcesz zobaczyć prawdziwą walkę⁵⁾, pojedź na igrzyska do Llano. Tam właśnie walczy się z kwiatem kwiecica byków z Guanacaste. A, do diabła. Bestie te,



gdy się dobrze rozhuśtają, przerzucają kupę narodu chrześcijańskiego przez palisadę. A jeśli mówisz o ujeżdżaniu byków, to możesz tam pojechać. Moi rodacy ujeżdżają wszelkie zwierzęta, „maizole“⁶⁾ czy inne, dosiadają je z przodu czy z tyłu, jak tylko zechcesz.

Kiedyś wieczorem, komentując fanfaronady Fierabrasa, zaczęto mówić o ludziach odważnych. Oczywiście, kontrabandzista znów zaczął wychwalać zalety swych rodaków.

— Nie sugeruj się, przyjacielu, moim niskim wzrostem. Jestem mały, to prawda, ale w moich stronach są wielkoludy budzący przerażenie. Na przykład Herreras. Te draby mogłyby tu wejść tylko na czworakach.

Moi rodacy są pieruńsko krzepcy i mężni. Z żadnym z nich nie dacie sobie rady: na cios odpowiadają ciosem. Następnie dodał skromnie:

„Mówię ci o swoich. Co do mnie, to Bóg nie pozwolił mi urosnąć. A szkoda, wierzą mi. Z tej to właśnie przyczyny, kiedy jest ze mną kłopsko, muszę pomagać sobie odrobiną crućeta“⁷⁾.

Lecz największy podziw wzbudzała w Jeronimie ślepa wiara, jaką Secundino otaczał swój talizman. W ubiegły piątek po południu skała stercząca na stoku wzgórza odłamała się i runęła na kilku robotników znajdujących się na dole. Dwaj spośród nich zostali bardzo ciężko ranni, a liczni cierpią na skutek dość poważnych kontuzji. Jeronimo, bardzo zajęty pracą w swej jamie, z niczego nie zdawał sobie sprawy. Najpierw Manzanita opowiedział mu o tym, co się stało, a wieczorem kontrabandzista dostarczył mu

wszelkich szczegółów. Był on tam, na dole, całkiem blisko, i cudem uniknął wypadku.

— Czy wiesz, dlaczego nic mi się nie stało? Oto dzięki temu—oświadczył triumfalnie, obnażając pierś, by znowu pokazać swój szkaplerz.

— Jest to najcudowniejsza rzecz na świecie — rzekł. — Z tym nigdy i nikomu nie może się stać nic złego. Na nikogo nie można rzucić uroku. Żadna czarownica ani cadejo⁸⁾, ani zły duch nie ma do nikogo dostępu. Nie śmieć się przyjacielu; szkaplerz ten podarował mojemu dziadkowi — nie kto inny jak tylko sam Ojciec Chico. Czyż nigdy nie słyszałeś o Ojcu Chico? Najlepszy spośród Ojców; jedyny prawdziwy Ojciec wśród tych, którzy kiedykolwiek żyli w Abajuda. Święty, który ostatni kęs od ust sobie odejmował, by go oddać biednemu. Dziadek pozostawił mi ten szkaplerz, jako jedyną spuściznę, która warta jest dla mnie więcej niż wszystkie hacjendy Montenegrończyków, najbogatszych ludzi w kraju. Słuchaj, opowiem ci, co się kiedyś zdarzyło mojemu dziadkowi. Przekonasz się, że mówię prawdę, poznasz wartość tych relikwii, słuchaj.

Secundino wziął w usta trochę tytoniu, usiadł na sienniku i głosem bardzo przyciszonym, jak gdyby nie chciał, aby go inni usłyszeli, zaczął opowiadać o przegrodzie swego dziadka.

„Dziadek był pełen wigoru. Był z niego wtedy jeszcze czupurny kogut. Miał nierozłącznego przyjaciela; niejakiego Arystotelesa Santamaria, chłopca do wypitki i do wybitki, pra-

cowitego, ale bardzo kochliwego; czuł on słabość do kiecek. Obaj pracowali wołami. Co tydzień jeździli do San José z drzewem i powracali z innymi towarami. I oto, co im się zdarzyło.

Pewnego razu musieli jechać do San José o zmierzchu. Dla rozgrzewki dobrze sobie podpiłi, a Arystoteles miał jeszcze pół butelki „guaro“⁹⁾ do dalszego popijania w drodze. Kiedy dojechali do Virilla, zapadła już ciemna noc; było mroź-

no. Dziadek siedział na workach i dobrze otulony kocami spał snem sprawiedliwego. Miał parę wołków, takich bydlatek, na których zawsze można polegać. Spisz człowieku, a one cię dowożą aż do bramy twojego domu.

No, stary, który w swym czasie bynajmniej nie był jeszcze starcem, chrapał aż się rozlegało. Nagle słyszy wybuchy śmiechu i hałasy. Budzi się nieco zaniepokojony. Co się dzieje?... Była to uczta. Na niewielkim wzgórzu widzi dom, bardzo ładny, cały oświetlony. Słyszy muzykę i widzi kobiety. Takie przyjęcie, rozumiesz. Jedna z kobiet, bardzo do-



brze ubrana, bardzo dobrze umalowana, wychyla się oknem i woła do nich: „Hej, chłopcy! Chodźcie na filiżankę czekolady i dotrzymajcie nam towarzystwa“. Na to Arystoteles, który tracił głowę na widok kobiety, zatrzymuje woły, podchodzi do swojego dziadka i mówi:

„Dobrze się zapowiada, Vincento. Tak czy owak jesteśmy spóźnieni; a przysłowie powiada, że kto wzywa, ten nie zawodzi, mój stary“.

„Hm. Kto wie? — rzecze mój dziadek, który nie był zbyt zadowolony z obrotu rzeczy. — Wszystko to wydaje mi się dziwne, naprawdę dziwne. Nie przypominam sobie, abym tu kiedykolwiek przedtem widział ten dom“.

Ale Arystoteles, który nie mógł dłużej oprzeć się chęci wejścia do owego domu, mówi mu:

„Naprawdę, można by powiedzieć, że jesteś zupełnie pijany. Czyż nie widzisz, że ten dom jest całkiem nowy, niedawno ukończony? Założę się, że na tej uczcie oblewają nowe mieszkanie. Podobna okazja nam się więcej nie nadarzy“.

Kobieta. wołała ich ciągle, więc dziadek mój, aby nie uchodzić za grubianina i niewdzięcznika, zdecydował się wreszcie. Kobieta powiedziała im: „Możecie tu zostawić wozy i zdjąć z wołów jarzma, aby biedne zwierzęta nieco sobie wypoczęły”. Tak też się i stało. Weszli.

Wewnątrz wszystko było piękne. Cały salon był wspaniale udekorowany urucasami¹⁰), kwiatami i kolorowymi lampionami. Pośrodku stał duży stół nakryty pięknym obrusem, na stole wielki wazon z kwiatami. Gdy tylko weszli, kobieta natychmiast usadowiła ich przy stole. Częstowała czekoladą, herbatnikami i ciastem. Arystoteles, który nie gardził żadnym jadalnym, zaczął wszystko pochłaniać, pił czekoladę, połykał herbatniki i ciasto, jak gdyby od dawna nic nie jadł. Następnie zaczął się zalecać do kobiety: „Wie pani, to jest dobre. Chciałbym mieć taką żonę jak pani”. I tak dalej, i tak dalej, nie przerywając obżerania się. Korzystając z chwili, kiedy kobieta odwróciła się do nich plecami, szybko napełnił sobie kieszenie i

rzekł do dziadka: „Korzystaj z okazji, nie bądź idiotą. To się nie zdarza codziennie”.

Ale dziadek miał stracha i nie chciał niczego dotknąć. Mogły nadejść kobiety i zobaczyć, co się dzieje, kobiety pełne ekstrawagancji i ciągle śmiejące się. Ach! To wszystko wcale mu się nie podobało. Słyszał muzykę, a nigdzie nie widział muzykantów. Zaczynał odczuwać dreszcze, przebiegające mu po plecach i coś, — coś, co nie było rzeczą naturalną, — dostawał gęsiej skórki. Aj, aj, aj!



Nagle przypomniał sobie o relikwiach, które zawsze miał w kieszeni. „Nadeszła chwila”, powiedział sobie. „Zobaczmy: tak czy nie”... Wsuwa powolutku rękę do kieszeni, wyciąga ją raptownie i kładzie na stole. Ładna historia, przyjacielu. W tym samym momencie słysząc głośny trzask, wszystko znika. I, jak myślisz, gdzie znaleźli się? Na pastwisku dla koni, mój stary, siedząc na pniach itaboli¹¹). Arystoteles trzyma w jednej ręce swój gualcall¹²) pełen uryny i nawozu końskie-

go, a w drugiej suche ciastko z krowiego łajna. Słyszą śmiechy przekleństwów ukrytych wśród liści higuernu¹³⁾.

Ha, ha, ha. Pękały ze śmiechu czarownice. Tak, przyjacielu. Dziadek powiedział, że w życiu nie widział człowieka tak rozwścieczonego, jakim był Arystoteles w onym dniu.

Ave Maria Purissima. Chwycił za swą crucetę i rzucił się w stronę higuernu, krzycząc: „Prostytutki, szlaję. Chodźcie tu, albo ja was sam sprowadzę, aby wam natrzeć mordy tym łajnem!“ Tu usłyszeli głośniejszym ulatujących czarownic, nie przerywających sztydzenia z nich.

Obaj wściekli, założyli wołom jarzma, a słońce ujrzało ich gdy zastanawiali się nad sposobem zdjęcia wozów z szerokiego muru, na który wtaszczyły je czarownice“.

Śmierć Secundina

WYPLATĘ zapowiedziano na godzinę drugą po południu.

Panchuca, Chompipon, Jeronimo i liczni inni górnicy opuścili pracę w czasie śniadania, aby pobrać pieniądze w obozie. Wszyscy tam się zgromadzili, czysto ubrani i wesoło gawędzący. Panchuca, który postanowił udać się wieczorem do Las Lomas, aby tam, jak zwykle, przegrać swoją pensję, szuka Jeronima już od dłuższego czasu. Chce go skłonić do pójścia z sobą, celem ponownego spróbowania szczęścia w grze w kości. Przetrząsnął już wszystkie kąty i zakamarki, ale Jeronima nie znalazł.

Jeronimo siedzi na kamieniu nad brzegiem rzeki ze wzrokiem utkwio-

nym w wodę. W tej samej pozycji siedzi już prawie od godziny. Myśli o „kontrabandziście“. Dokładnie w ubiegłą niedzielę byli tu obaj i prali bieliznę. Potem kapali się, a następnie, podczas gdy bielizna schła, siedzieli czas dłuższy w cieniu ogromnego drzewa. Wieśniak długo opowiadał mu o swym kraju, o swej ziemi, z tym samym zapalem i żarliwością jak zawsze. Zwierzył mu się ze swego pragnienia powrotu do Llano, przebycia pełnych kurzu dróg w swym wozie, pokazania z dumą pięknej uprząży swych wołów, które zamierzał kupić za projektowane oszczędności. Takie były marzenia „kontrabandyzisty“, lecz los zadecydował inaczej.

Mieszkańcy Llano nigdy już nie ujrzą jego powrotu; zginął w najstraszliwszym wypadku, zarejestrowanym w szybie 48. Zginął również Mojica, ten, który zawsze podawał się za chorego, żeby uniknąć niebezpiecznej galerii nr 1, w której Jeronimo nieomal nie zginął zmiążdżony.

Był to górnik przybyły do Puerto Limon wkrótce po wypadku. Kontynuował on pracę w galeriach aż do dnia, w którym rozpoczęto transportowanie materiałów wybuchowych. Nie chciał, jak mówił, narażać się głupio na żadne niebezpieczeństwo. Starał się o przeniesienie gdzie indziej. Udało mu się to z łatwością; starszy górnik Ponce szukał właśnie górnika zainteresowanego zmianą pracy. Skierował Mojicę do końcowych prac minierskich, przeniesionych w kierunku innego odcinka linii kolejowej. Mojica musiał rozsadzać bloki skalne, twarde jak stal. Była to trudna praca: cały

dzien trzeba było kuć skałę bez możliwości chronienia się przed słońcem czy deszczem. Lecz zdawało się, że Mojica był zadowolony; czuł się nareszcie uwolnionym od niebezpiecznej jazdy windą w górę i na dół z ciężkimi skrzyniami materiałów wybuchowych na plecach. I oto gdy pocił się z młotem w dłoniach, nieszczęście spadło na niego i na biednego Secundina.

Stało się to wczoraj po południu.

Przez niedbalstwo minierzy pozostawili ładunek, który nie eksplodował. I straszliwy ładunek dynamitu drzemał ukryty wewnątrz kamiennego bloku. Nikt nie mógł tego przypuszczać. Mojica chciał zakończyć dzień pracy przeborowaniem bloku. Na nieszczęście jego i innych świder trafił na zapalnik i spowodował wybuch. Odłamek skały urwał mu głowę. Nie można było odnaleźć jego lewej ręki, a świder wbił mu się w pierś i wyszedł plecami.

Secundino znajdował się w odległości kilku kroków od Mojici. Kawał skały trafił go w samą pierś obalając go na plecy. Cios był śmiertelny, ale llaneńczykowi¹⁴⁾ udało się powstać. Podniósł ręce do piersi; z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma zbliżał się do kamiennego bloku, który leżał przy drodze. Podszedłszy do niego, usiłował przeżegnać się:

„Dziewico Przenajświętsza“, mruknął. Pochylał się zwolna nad wielkim kamieniem, jak gdyby chciał go objąć. Strumień spieczonej krwi poczerwienił kamień. Secundino zniechęcony, jak gdyby się modląc, wyciągniętymi rękami ściskając skałę,

na której leżał połową ciała. Zmarł bez hipokryzji, jak święty.

Czterech innych robotników wśród tych, którzy byli w pobliżu, zostało ciężko rannych, dwóch odniosło kontuzje mniej niebezpieczne.

Na polecenie Mr. Nortona pośpiesznie narzucono koce na oba ciała oraz sporządzono prowizoryczne nosze. W chwilę później grupa robotników wyruszyła do Las Lomas, niosąc zabitych i rannych. Nikt z górników nie mógł zobaczyć zwłok.

Jeronimo chylił się w swej galerii ubijając ziemię. Cały był zlany potem, więc odetchnął z ulgą usłyszawszy głos Manzanity:

— Woda, macie wodę, chłopcy.

Wyszedł, aby się nieco orzeźwić, a malec opowiedział mu, co się stało. Przeląkł się bardzo, ponieważ był na brzegu rzeki napelniając swe wiadro, gdy nastąpił wybuch. Ten zawsze miał czas na myszkowanie po wszystkich kątach.

— Chyba to mógł być tylko Secundino, jak myślisz? — rzekł Jeronimo zaniepokojony.

— Nie wiem, czy on tak się nazywa — odpowiedział roznosiiciel wody. Jak panu powiedziałem, jest to człowiek bardzo drobny, o, z takimi dużymi wąsami. Powiedzieli mi, że pochodzi z Alajuela.

— To on!

Jeronimo długo milczał, nie zważając na objawy gniewu swych towarzyszy. Myślał o rodzinie Secundina, o jego córce, o liście, który trzeba by do nich napisać. Podążał za swymi myślami i nagle rzekł głośno, jak gdyby innym znane były jego rozważania.

— Był to człowiek naprawdę dobry, ten Secundino. Przybył tu, aby uniknąć Reguardo¹⁵⁾ i pozostanie na zawsze. Co za pech! Co za nieszczęście!

I odwracając się w stronę swej czarnej jamy, dodał głuchym głosem:

— Carajo! Faktem jest, że zdycha się tu jak bydłę, czy nie? Biedna rodzina może nigdy nie dowie się, co spotkało tego człowieka.

1) Człowiek pochodzący z San Pedro de Poas, małej wioski prowincji Alajuela.

2) Gorączka bardzo niebezpieczna i prawie zawsze śmiertelna.

3) Gorzełnik nielegalny. W Costa-Rica wyrób likierów stanowi monopol państwowy.

4) Palisady improwizowane na placach publicznych dla walki byków.

5) Walka byków.

6) Wynik skrzyżowania zebu i bydła kreolskiego.

7) Broń biała w kształcie szpady, lecz szersza, z brązową rękojeścią i pochwą skórzaną. Jest to broń luksusowa chłopów w Costa-Rica.

8) Fantastyczne zwierzę o fosforyzujących oczach oraz sierści gęstej i czarnej.

9) Alkohol trzcinowy.

10) Krzew o pięknych liściach powszechnie hodowany jako roślina pokojowa.

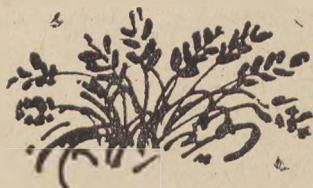
11) Drzewo, którego podstawa pnia ma kształt nogi słonia.

12) Naczynie zrobione z łupiny owocu jicaro.

13) Piękne drzewo, gęsto ulistwione, rosnące w Costa-Rica.

14) Człowiek pochodzący z Llanos.

15) Policja o specjalnym zadaniu ścigania nielegalnych gorzełników.



Na kilka miesięcy przed śmiercią Pudowkina ukazał się w Moskwie zbiór szkiców na temat problemów „zawodowych” filmu radzieckiego. Wśród autorów reprezentowana była większość wielkich radzieckich reżyserów jak Gierasimow, Czisaurelli, Roszał i inni.

Pudowkin zajął się omówieniem spadku, pozostawionego przez Stanisławskiego. Stanisławski uczył aktorów słynnego Teatru Artystycznego w Moskwie (MCHAT) całkowitego powiązania głębokiej jedności uczuć i myśli, tego czym „są” istotnie z ich gestami i dykcją. Uciekając się do pomocy swoich wspomnień, zebranych z własnego doświadczenia jako filmowca, Pudowkin pokazuje, że te same zasady obowiązują również w filmie. Ale zastosowanie ich w filmie niemy, a następnie w filmie dźwiękowym następczo trudności, które geniusz Pudowkina umiał szczęśliwie przezwyciężyć.

GRA AKTORA W TEATRZE I W FILMIE

SŁUSZNOŚĆ miał Stanisławski, kiedy stwierdzał w swoich wykładach, że aktor winien wytyczyć sobie jednocześnie jako punkt wyjścia i jako cel ostateczny nie prostą grę pamięci, ale głębokie przyswojenie sobie całego świata myśli i uczuć, ukrytego w postaci, którą ma odtworzyć. Inaczej mówiąc, te myśli i te uczucia mają stać się jego własnymi myślami i uczuciami.

Cała, związana z zewnętrznym wyrazem gry praca aktora nad rolą musi być taka, aby, droga idąca od zewnętrznego procesu myśli i uczuć do akcji, do gestu zewnętrznego, była w każdej chwili ciągła i nieprzerwana.

Cel, samą istotę pracy pedagogicznej Stanisławskiego cechowała właśnie głęboka i nieustanna troska o utrzymanie integralności tej więzi.

...Aktor, który naprawdę opanował swoją rolę, czuje, jak nieuchronnie każdy z jego gestów, każde słowo rodzą i pociągają za sobą jakby nie-

zależnie od jego własnej woli następujące potem gesty i słowa.

Spostrzega on, że jego myśli, że jego uczuć nie dyktuje mu jedynie pamięć, ale że rodzą się one spontanicznie w nim samym, zmuszając go w pewien sposób do zapomnienia o własnym ciecie, które — swobodnie ale ściśle — poddaje się każdemu z wewnętrznych poruszeń aktora.

Oznacza to, że stał się całkowicie, w dosłownym tego słowa znaczeniu osobą niegdyś wymyśloną, a obecnie istniejącą w rzeczywistości.

Pierwszymi aktorami Teatru Artystycznego w Moskwie, z którymi pracowałem w czasie nakręcania mojego filmu „Matka“, byli W. Baranowska i N. Bałatow, uczniowie i wielbiciel Stanisławskiego.

Z początku szło nam bardzo ciężko. Trzeba było najpierw dobrze się poznać wzajemnie, zdobyć to wzajemne zaufanie, bez którego aktor i reżyser po prostu nie mogą współpracować.

Ale na czymże mogliśmy zbudować to wzajemne zaufanie? Nie dysponowałem jeszcze wówczas najmniejszym doświadczeniem w dziedzinie arkanów reżyserii. Co więcej, wiadomości uzyskane przedtem w filmie, związane były z formalnym, całkowicie zewnętrznym pojęciem gry aktora...

...Jak więc znaleźć drogę do serca i umysłu tych ludzi, którymi miałem kierować, których miałem doprowadzić do odtwarzania osób, istniejących dotąd wyłącznie w mojej wyobraźni? Jak znaleźć wspólny z nimi język? Piętrzyły się przede mną tego rodzaju trudności.

Przed aktorami Teatru powstawały inne. Byli to dojrzały artyści, dysponujący pełną techniką gry teatralnej, mieli wypracowane wszystkie metody w ścisłym powiązaniu z wymaganiami sceny. A znów ja jako reżyser, nie mogłem zgodzić się wewnętrznym na wiele z tych wypracowanych na scenie metod. Nie dlatego, aby miała mnie krępować „fałszywa“, „teatralna“ gra tych aktorów, o której tyle — i niesłusznie zresztą — mówiono w tych czasach. Chodziło po prostu o całkowicie zewnętrzne, techniczne cechy ich gry, zupełnie w filmie niepotrzebne.

Na przykład, w teatrze aktor musi szeptać w ten sposób, aby go słyszano mimo wszystko w ostatnim rzędzie. W filmie, gdzie aparat i mikrofon znajdują się w bliskości aktora, ten nie odczuwa zupełnie potrzeby wychodzenia poza stan rzeczywisty człowieka, który mówi tak cicho, aby go słyszał wyłącznie jego rozmówca.

Na tym przykładzie można porównywać wszystkie momenty zachowania się aktora na scenie i na ekranie. Gra najbardziej realistyczna, nawet gra aktorów Teatru Artystycznego nie może w żadnym wypadku całkowicie odrzucać teatralnego sposobu mówienia, teatralnego gestu, teatralnego charakteru całej postawy aktora, który musi być „podniesiony na koturny“, aby ją dojrzeli nawet widzowie, oddaleni od sceny o całą długość sali.

Ta „teatralna postawa“ doświadczonych aktorów, która na scenie nie wygląda ani trochę fałszywie, wydała mi się natychmiast nie do przyjęcia w filmie. Ekran nie wysuwa bo-

wiem wobec aktora takich samych wymagań, jak sala widowiskowa.

Czułem, że im bardziej gra aktora zbliża się do prostej, rzeczywistej postawy człowieka w codziennym życiu, tym bardziej zbliża się ona do tego, czego żąda film, tym ściślej jest ona związana z tym prawdziwym, wyzwolonym z konwencji otoczenia środowiskiem, w którym działa i mówi aktor na ekranie.

Pierwszym wymaganiem, jakie sformułowałem zarówno wobec aktorów jak i wobec siebie, było poszukiwanie maksymalnej prostoty i bezpośredniości w grze.

Jest rzeczą oczywistą, że film zarówno jak teatr i wszelka inna sztuka nie może zadowalać się powierzchownym, naturalistycznym odbiciem życia. Myśl i temperament artysty muszą uczynić przejrzystym każde zjawisko i dostatecznie je uwypuklić, aby zmusić widza do skoncentrowania całej jego uwagi na najważniejszym, na tym, co zamyka treść wewnętrzną w formie dostatecznie wyrazistej.

Innymi słowami często zadaniem artysty jest uczynić realne zjawisko bardziej wyrazistym, niż bywa ono w zwykłym życiu. Ta zwiększona, spotęgowana wyrazistość — oto na pewno jedno z zadań artysty. Otóż z tego punktu widzenia film rozporządza szczególnymi możliwościami, odróżniającymi go od teatru.

Jeżeli aktor teatralny, chcąc doprowadzić gest do tego stopnia wyrazistości i jasności, jakiego pragnie, musi ten gest spotęgować, to — przeciwnie — w filmie można uczynić dostatecznie wymowne niemal

nieznaczne drżenie ręki, zbliżając aparat do postaci aktora, to znaczy stosując — jak się to nazywa — pierwszy plan.

W kinie widz może natychmiast dostrzec jądro nieuchwytności i głębokiej intymności tego, co człowiek zwykł ukrywać. Wraz z filmem pojawiły się nowe możliwości, które pozwalają grze aktora podnieść się na ten wysoki stopień niezbędnej dla sztuki wyrazistości.

Technika związana z ekspresyjnością teatralną okaże się zatem niepotrzebna w niektórych swoich aspektach na terenie filmu, ponieważ w filmie można zbliżać aktora do widza i pozwolić temu ostatniemu czytać najdrobniejsze odcienie myśli i uczucia przedstawianej postaci...

Matka

...A oto jedna z pierwszych scen, nakręczanych przeze mnie z Baranowską: matka znajduje pod podłogą broń schowaną tam przez syna. To nieoczekiwane odkrycie podkreśla wagę niebezpieczeństwa, zagrażającego jej synowi. Trzymając broń w rękach, matka klęczy dalej na podłodze.

Hałas. Podnosi głowę. Drzwi otwierają się i pierwszą rzeczą, jaką matka widzi, są zwrócone w jej stronę podeszwy niesionego człowieka. Nie rozumiejąc jeszcze tego co się stało, przeczuwa ona straszliwe nieszczęście.

Jak zawsze w filmie, ta scena ukazana została tylko z jednego punktu widzenia. Technika, odróżniając sztukę filmową od teatralnej, pozwala zwracać uwagę przeciętnego widza

na tę czy tamtą postać, za każdym razem zatrzymując na ekranie tylko tę osobę, której postawa określa w danym momencie treść sceny.

Zaplanowałem scenę z matką w chwili, gdy spogląda na otwierające się drzwi, skąd wchodzi ludzie, wlokący do pokoju ciało, w którym stopniowo poznaje ona zwłoki swojego męża.

Aktorka i młody a niedoświadczony reżyser mieli przed sobą trudne zadanie. Bałem się i nie chciałem wskazywać aktorce takiego sposobu gry, jaki sobie z góry obmyśliłem, lub wyobrażałem. Chciałem, abyśmy razem doszli do tej formy zewnętrzniego wyrazu, o którym miałem mgliste zresztą pojęcie, a który miał pokazać straszliwe przygnębienie człowieka, zmiażdżonego nieoczekiwanym ciosem.

W czasie tych poszukiwań miałem sposobność przekonać się jeszcze lepiej o wysokiej wartości tego wszystkiego, co dał każdemu artyście Stanisławski.

Sądziłem, że aktorka w poszukiwaniu słusznego sposobu odegrania tej sceny, nawet gdyby nie znalazła natychmiast potrzebnej mi formy, zagra w każdym razie z tą wewnętrzną prawdą, z tą głęboką szczerością rzeczy przeżytej, bez których uczniowie Stanisławskiego nie mogli nawet przystąpić do pracy. To przeświadczenie okazało się złudne.

Przede wszystkim pozostawiłem aktorce pełną i całkowitą swobodę odegrania tej sceny, tak, jak ją rozumiała. Oczywiście spróbowała wtedy odegrać ją tak, jakby ją grała w teatrze.

Widzę we wspomnieniu tę kobietę, usiłującą wzbudzić w sobie realne, wiarygodne, blisko z jej prawdziwym życiem związane uczucie i która wyraża je wyłącznie zewnętrznymi gestami. Jak cofa się, chwytą za głowę, robi wiele ruchów, z których każdy przeraża mnie przesadą form.

Wszystko to oceniałem jako teatralny brak umiaru, na co nie mogłem się zgodzić. Trzeba pamiętać, że stałem tuż przy niej, że nie byłem jednym z tych odległych widzów z ostatnich rzędów i że cała zbędność specyficznie teatralnej ekspresyjności dosłownie działała mi na nerwy. Było rzeczą oczywistą, że wszystko to było nieużyteczne, ale nie wiedziałem jeszcze, co może być pożyteczne. Wszystko co czułem, w co wierzyłem — to to, że pod powierzchnią tej niezliczonej ilości gestów, jak mi się wydawało — niepotrzebnych, kryje się mimo wszystko szczere uczucie, które powoli rodziło się, rozwijało i umacniało.

Wówczas zacząłem eliminować wszystko, co wydawało mi się zbędne, przesadne i postanowiłem ostatecznie uczynić coś, co dzisiaj jeszcze zadziwia mnie zuchwałstwem. Szczególnie, jeżeli biorą pod uwagę, że byłem młodszy od aktorki i że miałem znacznie uboższe od niej doświadczenie w dziedzinie pracy artystycznej.

Zaproponowałem jej odegranie tej sceny bez żadnego ruchu, bez jednego choćby gestu, ale z zachowaniem tego wewnętrznego stanu uczuć, jaki w sobie wytworzyła.

Rzecz zrozumiała, że tylko dlatego można było sobie pozwolić na do-

konanie takiego doświadczenia, że jedno z nas — reżyser miał właściwe młodości rozpaczliwe zuchwalstwo, a drugie — aktorka głęboko przyswoiła sobie naukę Stanisławskiego.

Artystka starała się zrobić to, o co ją poprosiłem i byłem świadkiem przedstawienia, którego najdrobniejsze szczegóły dzisiaj jeszcze sobie przypominam. Ta istota powstrzymując w sobie poryw prawdziwego uczucia, cierpiała tak straszliwie, że ból zdawał się przenikać ją niemal fizycznie. Wtedy postanowiłem postąpić krok naprzód i pozwoliłem jej zrobić jeden gest, jeden jedyny, który zauważyłem w natłoku ruchów, towarzyszących jej próbie odegrania tej sceny w teatralny sposób — ruchu ręki takiego jakim posłużyłby się ktoś, kto naiwnie usiłowałby odepchnąć od siebie coś ohydneho i groźnego.

Uderzyła mnie wielka prawda tego gestu w połączeniu z dziecięcą niemal naiwnością, z jaką zachowuje się często człowiek, przygwożdżony groźnym a nieoczekiwanym wydarzeniem. Ta ręka zdawała się mówić: „To nieprawda, to nie może być, to nie powinno się zdarzyć“.

W tym słabym ruchu wyrażało się to olbrzymie wewnętrzne przygnębienie, które towarzyszy pierwszej fazie dramatu, kiedy rozsądek nie zdał sobie jeszcze sprawy z tego, co się wydarzyło i kiedy uczucia starała się cios odeprzeć.

Byłem tak bardzo przeświadczony, że wewnętrzna prawda tego wrażenia znalazła właściwy wyraz w tym geście, że zaryzykowałem natychmiastowe sfilmowanie powyższej sceny

bez uprzedniego powtórzenia, aby nie utracić świeżości pomysłu.

Miałem rację. Ta scena, oglądana na ekranie, upewniła nas — aktorkę i mnie samego — o słuszności drogi, jaką poszliśmy w naszej wspólnej twórczej pracy.

Anna Karenina

...Film dźwiękowy nasunął nowe trudności. Zagroził zerwaniem wewnętrznej pełni, jaką osiągnął aktor w interpretacji swojej roli.

Toteż właśnie dlatego dobrze jest raz jeszcze powiedzieć o olbrzymim znaczeniu systemu Stanisławskiego dla filmu dźwiękowego. Postawa psychiczna aktora, związana z jego wewnętrznym przeżywaniem, rodzi wiarygodną i prawdziwą intonację. Musi ona być kluczem, który otwiera zasadniczą drogę do wspólnej pracy aktora i reżysera na scenie w dziedzinie filmu dźwiękowego.

Przypominam sobie jedno z naszych pierwszych doświadczeń w takiej pracy z aktorem, który miał przemawiać na ekranie.

Zacząłem pracować nad realizacją „Anny Kareniny“, filmem, którego ostatecznie nie ukończyliśmy z wielu obiektywnych przyczyn. Pracowałem właśnie z aktorką, przygotowującą rolę Dolly.

Tytułem próby chciałem nakręcić długi monolog Dolly, kiedy spotyka Karenina i stara się namówić go, by wybaczył Annie.

W scenie tej, praktycznie biorąc nieruchomej, statycznej Dolly usiłuję jedynie słowami wzruszyć tego zimnego urzędnika, zakrzepłego całą

swą istotą w tradycyjnych przesądach swojego społeczeństwa.

Ani ja, ani aktorka nie widzieliśmy jak przystąpić do tej sceny, tym bardziej, że nie mieliśmy możliwości przyswojenia sobie całej postaci Dolly, jakbyśmy to mogli uczynić, pracując nad całą sztuką i wybierając na początek najłatwiejsze sceny.

Słuszną drogą ukazała mi się w sposób całkowicie nieoczekiwany i właśnie praktyka filmu niemego oddała mi w tym względzie wielkie usługi.

Staralem się wyobrazić sobie Dolly jako kobietę, która używa gestów naturalnych i charakterystycznych zarazem. Ostatnie lata Dolly praktycznie biorąc spędziła w pokoju dzieciennym. Dzieci były jej codziennymi rozmówcami. Jak podkreśla Tolstoj, Dolly utraciła kontakt ze „światem“ i nie widuje niemal nikogo poza swoimi dziećmi.

Jej uczucia są więc naturalnie takie, jak człowieka, który przede wszystkim żyje w świecie małych dzieci, którym daje burę, które musi chwalić, kierować nimi w tym czy w innym kierunku, i to dzień po dniu. Trzeba zatem znaleźć w niej tę bezpośrednią serdeczność, tę pieśczośliwą prostotę, bez której nie można sobie po prostu wyobrazić żadnych stosunków z dziećmi.

Miałem więc przed sobą Dolly, działającą pod wpływem szczerej, głębokiej potrzeby wstrząśnięcia zimnym przeświadczeniem tego mężczyzny, który jej stawia czoła i wkraczającą zupełnie naturalnie w dziedzinę tych poufanych gestów, którymi pomaga sobie zazwyczaj w roz-

mowach ze swoimi własnymi dziećmi: pragnienie przyciągnięcia ich do siebie, do wzbudzenia ich zaufania, pogłaskania ich po włosach, a może uściskania ich.

Takie są zwykłe gesty Dolly, niezbędne w jej obcowaniu z dziećmi. I w miarę, jak do jej słów przenika serdeczne uczucie, muszą wystąpić te zwykłe gesty, jako spontaniczny wyraz jej uczuć i pragnień.

Opowiedziałem o tym wszystkim aktorce i zapronowałem jej, aby zachowała się wobec Karenina zupełnie tak samo, jakby był jej własnym dzieckiem, aby zapomniiała o jego wieku, o wszystkim, co mogło go od niej oddalać, o wszystkim co go różniło od Griszki czy od Soni i aby zdała się na spontaniczne gesty, odpowiadające jej potrzebie pieśczośliwej tkiwości, troskliwej czułości.

Przystąpiliśmy zatem do tego dziwnego doświadczenia: Dolly rozmawiała z Kareninem bez skrępowania i odnosiła się do niego tak pieśczośliwie, jakby to był mały Griszka, aby dać mu do zrozumienia, jakie głupstwo zamierza popełnić.

I oto wystąpiły te ciepłe tony, spontaniczne i naiwne, które dały aktorce i mnie pierwsze wrażenia życia, mimo nieco dziwacznej strony tego widowiska.

Potem praca przeszła do następnego etapu. Przy całej swojej skłonności do wzruszeń, Dolly nie mogła nie pozostać mimo wszystko kobietą światową, wychowaną w środowisku, które nakłada bardzo surowe przepisy w sprawie zewnętrznego zachowania. I z tego powodu Dolly nie mogła, rzecz rozumiała, ani głaskać

włosów Karenina, ani też go całować.

Zrodzony spontanicznie przez uczucie gest musiał napotkać na trudności, które go wzbraniały. Zewnętrzne zachowanie aktorki musiało przybrać formy o wiele bardziej złożone, zrodzone z walki między spontaniczną potrzebą a niemożliwością jej zrealizowania.

Zaproponowałem aktorce, aby zachowała to połączenie „uczucia — gesty“, które opanowała, ale zakazałem jej zachowywać się ze swobodą, zakazałem gestu zewnętrznego, przekształcając go w ten sposób niejako w gest wewnętrzny, przekształcając go w pragnienie wykonania go i jednocześnie w świadomość niemożliwości uczynienia tego.

Ta droga okazała się dobra. Ręce Dolly wyciągnięte do Karenina jakby dla pieszczoty, napotkały na wewnętrzny zakaz. Wynikł z tego ciekawy ruch. Dolly ścisnęła jedną swoją rękę w drugiej, jakby mieszała w

tym geście pragnienie podania ręki Kareninowi i chęć powstrzymania tego pragnienia.

Więź między wiarygodnymi tonami i wewnętrznym biegiem uczuć aktorki została zachowana dzięki temu autentycznemu gestowi. Wyrażenie uczucia z łatwością przechodziło do tego prawdziwego gestu i cieniało słowa.

Kiedy po powtórzeniu sceny rzuciłem ckiem do powieści, odczytałem w zupełnie nowy sposób ten ustęp, którego uprzednio naprawdę sobie jeszcze nie przyswoilem. A oto krótki cytat, który przekonał mnie raz jeszcze o precyzyjności opisu wielkiego realisty i jednocześnie o słuszności metody reżyserowania, jakiej użyłem w pracy z aktorką filmu dźwiękowego.

„Nie wierzę temu, nie mogę uwieżyć — powiedziała Dolly, wyciągając wychudłe ręce, które ścisnęła energicznym ruchem. Nagle podniosła się i położyła rękę na rękawie Aleksego Aleksandrowicza“...





MIHAIL SADOVEANU O c z y

Mihail Sadoveanu, wiceprzewodniczący Rumuńskiego Zgromadzenia Narodowego i członek Akademii, jest jednym z największych prozaików współczesnej Rumunii. Jest on autorem słynnej powieści chłopskiej „Mitrea Cocor“, nagrodzonej w 1952 r. Złotym Medalem Pokoju.

KONIEC końców nie jest wykluczone, że padłem raczej ofiarą literatury wigilijnej niż rzeczywistości; tym niemniej prawdą jest, że padłem ofiarą i że cierpię z tego powodu. Co do tego nie ma żadnej wątpliwości i to właśnie skłania mnie by opowiedzieć wam przygodę, której wspomnienie tkwi we mnie głęboko. Nie umiem zresztą sobie wyjaśnić, dlaczego aż dotychczas nie opowiadałem wam o tym. Ale cóż, dziś jest właśnie rocznica, pierwszy dzień świąt, a zima jest równie ostra i wroga jak wtedy...

—Dzień gaśnie bardzo wcześnie. O pół do piątej zapada wieczór, o piątej jest już zupełna noc. A północny wicher hula, przesywając wygwizdując swe mroźne fale.

Byłem wtedy — a było to w zimie 1916 r., podczas wojny, w czasie odwrotu z Mołdawii — w Podul - Iloaiei, niedaleko Jass, w pewnego rodzaju biurze zbiorczym, które usiłowałem jako tako zorganizować razem z mym przełożonym majorem Satanet. Co chwilę, o każdej porze dnia i nocy napływali do nas zewsząd ludzie zablakani i przerażeni. W ciągu długich tygodni wyężdżających marszów po drogach zatopionych w jesiennym błocie, pogubili, utracili swe oddziały i teraz dopiero zaczęli powoli wracać do równowagi. Zbierało się ich w grupy i kierowało do różnych punktów Mołdawii.

Zresztą ani ja, który byłem wtedy tylko młodym podporucznikiem, ani mój zwierzchnik, dobrze już posiwiały, major rezerwy, jeszcze nie otrząsnęliśmy się z tej ciężkiej próby. Byliśmy wciąż pod wrażeniem strasznych wydarzeń. Głównym zajęciem majora Satanet — nie potrzebuję dodawać, że było to jego przezwisko — było dowodzenie każdemu, kto tylko chciał go słuchać, jak łatwo było naszą klęskę zmienić we wspaniałe zwycięstwo. Posługiwał się w tym celu strzępami mocno sfatygowanej mapy, po której przesuwiał sękaty palec o źle przyciętych paznokciach. W dziesięć minut odnosił zwycięstwo i rozbijał wroga w puch w punkcie, w który dumnie stukał palcem wskazującym. Prostował wtedy swą karłowatą postać i w daremnym wysiłku, by nadać jej wygląd marsowy, groźnie marszczył brwi i poruszał bródką. Potem, zwracając się do gromadki ponurych, obdartych żołnierzy, których tylko co wyrzucił jakiś pociąg:

— Cóż to za pogrzebowe miny, koledzy? wołał piskliwym, ostrym głosem. „Naprzód, śmiało! I niech każdy wyciągnie mi swoje dokumenty! Zwróćcie baczną uwagę podporuczniku, by ściśle przestrzegano paragrafu pierwszego mojej instrukcji“.

Pierwsza operacja, która miała na celu podnieść stan ducha tych biedaków i odrodzić armię narodową, nie była zbyt skomplikowanej natury: polegała na tym, że powierzało się ich staremu milicjantowi, którego zadaniem było ostrzyć wszystkie włosy od głowy aż do stóp każdego przybysza, przy pomocy amerykańskiej maszynki do strzyżenia. Ale nie przyczyniała się w najmniejszym stopniu do tego, by ci ludzie przestali być przybici, wygłodzeni, źle odziani, nie biorąc już pod uwagę, że miałem niesłychane trudności, by dać

im coś do zjedzenia pierwszego dnia, gdy nie byli jeszcze wciągnięci na stan wyżywienia. Mój przełożony okazywał najgłębszą pogardę dla wszystkiego co było podobne do ciepłej bielizny, rękawiczek albo pożywnej strawy. To wszystko, twierdził, przyczynia się tylko do tego, by uczynić zniewieściałymi zahartowane dusze żołnierskie...

Dalsze paragrafy instrukcji majora Satanet, odnoszące się do podniesienia stanu ducha w armii, harmonizowały najzupełniej z § 1. Wśród nędzy i nieszczęść tych grudniowych dni ponuro brzmiała jego czeza gadanina, sentencjonalna i naszpikowana zwrotami biurokratycznymi, pozbawionymi wszelkiego poczucia rzeczywistości. Toteż gdy wieczór zapadał w naszym ciasnym biurze, zadymionym i źle oświetlonym nędznymi naftowymi lampami, jego pocieszna figurka, jego nieskładna paplanina nie mająca nic wspólnego z istotnymi wydarzeniami naszego dnia codziennego — robiły na mnie dziwne wrażenie szaleństwa.

Zresztą i ja sam daleki byłem od tego, by odzyskać równowagę ducha. Nie mogło wtedy być inaczej.

Słuchajcie dalej:

Otóż w tamten dzień wigilijny, wśród nieustannej zamieci, mój major nie miał nic lepszego do roboty, jak czym prędzej prysnąć do Jass. Zaprosił go tam jakiś znajomy na bibkę, przy czym zapowiedział, że będą zraziki z kapustą, indyk faszerowany, no i kilka butelek starego wina. Wyjeżdżając major zaczął z uporem nucić melodię „Panny Nitusz“. Okręcał się na obcasach podśpiewując falsetem:

**„Bo przecież, bo przecież,
Bo przecież był z łowiu...”**

A sposób w jaki trzasnął drzwiami dawał do zrozumienia, że postawił kropkę i zerwał ostatecznie nie tylko z całą działalnością w Podul - Iloaiei, ale także ze wszystkimi możliwymi czynnościami na tym całym padole. Doleciał mnie jeszcze nikły głos nuconego refrenu, kiedy, przechodził przed oknami, na co uniosłem oczy znad swych rejestrów i uśmiechnąłem się z lekka, nadśledzając. To wtedy spostrzegłem tuż przy drzwiach jakieś dziecko. Zdawało się, że wyrosło spod ziemi. Chwilę przedtem nie było tam nikogo.

— Czego tu szukasz, braciszku?

— Na rozkaz, panie oficerze, wyjąkał.

— Czego chcesz ode mnie? Kiedy tu wszedłeś?

— Wszedłem, gdy ten „stary generał“ otworzył drzwi... Wie pan który, ten co tak śpiewał...

— Rozumiem. A czego chcesz?

Podrapał się w głowę pokrytą obfitym gąszczem czupryny, upuścił na środek podłogi pognieciony kapeluszyk i zaczął grzebać w wewnętrznej kieszeni poszarpanego i o wiele za obszernego ubrania,

— Czego szukasz?

— Szukam „bileta“, odpowiedział z westchnieniem.



Czekałem aż znajdzie swój bilet, obserwując go w milczeniu. Pod czymś, co przypominało wypożyczony na maskaradę surdut, miał białe odzienie chłopskie. Na nogach ogromne sznurowane buty i łydki owinięte aż po kostki w szerokie zielone owijacze. Był to dzieciak szczupły i blade, mógł mieć dwanaście — trzynaście lat. Z lekka zadarty nos zaczerwieniony był od mrozu. Duże, czarne oczy o długich rzęsach błyszczały jakimś niezwykłym blaskiem. Tymi kobiecymi oczami popatrzył na mnie z ufnością, podszedł i wręczył mi papier, po czym cofnął się, wytarł nos rękawem i czekał.

Rozprostowałem dokument i przeczytałem:

„Nekulai Korban, szeregowy z poboru 1910, 15 pułk Razboeni, komisja poborowa Bako“.

Podniosłem głowę.

— Co to za szeregowy?

— Ten żołnierz to mój ojciec — odpowiedziało dziecko.

— Czego więc chcesz ode mnie? W tym powołaniu mowa jest o mieście Bako.

--- To prawda, panie oficerze, „bileta“ mówi o Bako — rzekło dziecko i naraz znikło całe jego onieśmienie — ale ja panu powiem na to, że byłem już tam w Bako i że go tam nie znalazłem. A najpierw powiem panu, panie oficerze, że mama umarła 4 grudnia i że pochowaliśmy ją w samego Świętego Mikołaja. Kiedy zobaczyłem, że zostaliśmy sami, czworo dzieci bez żadnej pomocy, wyruszyłem stamtąd, z naszej wsi pod klasztorem Bistrica i poszedłem prosto do miasta, do Piatra. Poszedłem do koszar i mówiłem z pułkownikiem...zapomniałem, jak się on nazywał. Ale to człowiek bardzo dobry, wypytywał

o młodsze rodzeństwo, więc powiedziałem mu, że je zostawiłem u naszej ciotki. Darował mi te trzewiki, ale nie umiał mi nic powiedzieć o tatusiu. Dał mi też radę, żebym wracał do domu, a nie waleśał się po szosach, bo jak mówił, jakiś pies może wpaść na pomysł, żeby mnie pożreć. Ale ja powiedziałem sobie od razu: tak to nie idzie. Trzeba go znaleźć, wydostać choćby na dziesięć dni z koszar, zaprowadzić go do wsi, żeby zobaczył co trzeba zrobić, bo ciotka też jest chora i jak zemrze, zostaniemy sami na świecie... Jakiś starszy milicjant zaproponował, żebyśmy poszli razem do Barlad, więc poszedłem z nim do Barlad. To tam w Barlad panowie oficerowie dali mi tę „biletę“. Więc wróciłem znowu pociągami do Bako, jak tu napisane, ale i tam nie znalazłem tatusia. Dowiedziałem się jednak, że był tam i że stamtąd przesłano go tu, do Podul-Iloaiei...

— Tutaj, do Podul-Iloaiei? Szeregowy nazwiskiem Nekulai Korban, przynależny do 15-go Razboeni? Nie wydaje mi się, żeby jakiś szeregowy tego nazwiska zgłaszał się do mnie.

— O tak, na pewno zgłaszał się tutaj, panie oficerze, nalegał chłopiec.

— Nie przypuszczam, inaczej byłbym na pewno pamiętał.

Byłem w szczególnie złym nastroju, zgorzkniały i kłótlivy w ten wigilijny wieczór, kiedy mój zwierzchnik uznał za stosowne ulotnić się jak najprędzej, by zabawić się przy półmisku „sarmali“ podlanym starym winem, zostawiając mnie tu samego na pastwę wszystkich nieszczęść i żądań rozbitków. Ale dzieciak wpił we mnie wielkie piękne oczy i trwał przede mną w postawie tak zdecydowanej i tak męskiej, że opanowałem się na chwilę i skupiłem myśli. Jednak to nazwisko nie brzmiało zupełnie obco. Zapewne było zapisane gdzieś w jednym z rejestrów.

— Jak się nazywa, mówiłeś już przecież, ten twój ojciec?

— Szeregowy Nekulai Korban.

— Szeregowy Nekulai Korban znajduje się więc najpewniej między tymi, których dzisiaj wysłałem do Jass. Gavrila Oanczea! Otwórz drzwi i zawołaj Gavrila Oanczea!

Chłopiec otworzył drzwi i dźwięcznym głosem zawołał nazwisko mego milicjanta. Potem znów patrzył na mnie, a we wzroku jego przebijała zupełna ufność.

— A ty, jak się nazywasz?

— Na imię mam Nikole, tak jak tatunio.

Wszedł Gavrila Oanczea i zmierzył chłopca od stóp do głów spojrzeniem rzucanym przez ramię.

— Słuchaj stary, powiedziałem z lekkim uśmiechem, czy mamy wśród naszych ludzi niejakiego Nekulai Korbana?

Z jakiego pułku, panie poruczniku?

— Z 15-go.

— Nekulai Korban z 15-go? Nie wydaje mi się. Nie zatrzymujemy tu ludzi z 15-go. Kierujemy ich na Jassy.



— Tak właśnie myślałem. Pamięć mnie nie myli. Pamiętam to nazwisko. Nie ma żadnej wątpliwości: wysłaliśmy go do Jass wczoraj wieczór albo dziś rano.

— Raczej dziś rano, panie poruczniku.

— Więc sprawa jasna, zwróciłem się do chłopca, twój ojciec nie jest już tu, ale jest niedaleko i znajdziesz go w Jassach. Zgłoś się tam na dworcu do porucznika Sawu i od niego dowiesz się, gdzie zakwaterowani są żołnierze, którzy przyjechali z Podul-Iloaiei.

— A więc tam go nareszcie znajdzie?

— Tam, odpowiedziałem ze śmiechem. Chłopak zdąży jeszcze na pociąg, myślałem z uczuciem radości i wylądował w Jassach równocześnie z moim majorem.

Dziecko wyszło. Po jakiejś godzinie zakończyłem pracę. Rozparzyłem się wygodnie na krześle, złapałem się nagle na tym, że myślę o tej rozmowie. Dziecko takie odważne i dumne — oczy takie rozumne i pełne prośby. Czy nie powinienem był raczej dać mu szklanki gorącej herbaty na rozgrzewkę? Albo chociaż dobrego słowa? To rozrzewnienie — dobrze zdawałem sobie z tego sprawę — pochodziło przede wszystkim stąd, że miałem przed sobą dziecko naprawdę wyjątkowe. To co zrobił ten Kikole było po prostu, zwyczajnie, najczystszy bohaterstwem. A ja pozwoliłem mu ukazać się i zniknąć tak, jakby chodziło o byle jaką sprawę.

— Co nowego, stary? Mój milicjant wśliznął się bezszelestnie do pokoju.

— Na rozkaz, panie poruczniku, odpowiedział. On nie jest szeregowym.

— Kto taiki?

— Nekulai Korban!

— A tak! Ten, którego szuka chłopiec!

— Tak jest, panie poruczniku — on nie jest szeregowym. Nazywa się kapral Nekulai Korban. I właśnie w tej chwili wyjeżdża z innymi do Paszkani, na zachód, w kierunku wprost przeciwnym od Jass, które leżą na wschodzie. Stamtąd skierują ich na pewno do Kaszin, na linię frontu.

— Co takiego? Kto? O kim ty mówisz?

— O kaprale Nekulai Korban.

— Dokąd, mówisz, wyjeżdża?

— Wyjechał do Paszkani, panie poruczniku.

— Ale czyż nie ustaliliśmy, że wyjechał do Jass?

— Nie, panie poruczniku, albo raczej tak, ale zachodzi pomyłka, bo on jest kapralem, a nie szeregowcem i dlatego nie pojechał do Jass, a do Paszkani.

Milczałem, z lekka zakłopotany.

— Dobrze, powiedziałem wreszcie do milicjanta. Możesz odejść. Chwyciłem szubę i futrzaną czapkę i wyszedłem wprost na wicher. Nie zrobiłem nawet dwóch kroków w opustoszałej uliczce, kiedy zorientowałem się, że nie jest to zwykły wiatr, ale jakiś lodowaty huragan. Wokół mnie w mroku wirowały kłęby śnieżnej kurzawy, uderzając mnie w piersi jakby ciosami silnej, niewidocznej ręki.

Zmierzałem pośpiesznie w stronę opustoszałego dworca. Bez żadnego przejścia wtargnąłem wprost z szalejącej zawiei do ciepłej izdebki dyżurnego oficera. Leżał wyciągnięty na łóżku polowym, twarzą odwrócony do ściany. Chwyciłem go i obróciłem raptownie wypytując z niepokojem, czy pociąg do Jass, którym miał odjechać major Satanet, już odszedł. — „Już dawno temu!” — A pociąg do Paszkani odszedł także? „Już dawno”.

— A może tobie przypadkiem zachciewa się zrobić wypad do Jass? — zapytał ziewając z szyderczą miną. O północy będzie szedł transport rannych.

— Nie chodzi o wypad do Jass. Chciałem cię zapytać, czyś nie widział przypadkiem mojego pupilka; chodzi o małego chłopca ze wsi, otulonego w wielki surdut, w ogromnych wojskowych butach.

— Oczywiście, widziałem go. Postarałem się nawet o to, aby mógł wygodnie dostać się do Jass. Dałem mu także pół bochenka chleba.

— Zauważyłeś jego oczy?

— Nie zwróciłem uwagi. Oczy jak oczy. Ale czemu tak się na mnie gapisz?

Możliwe, że wpatrzyłem się w mego kolegę w jakiś niezwykle sposób. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, zajęty tym, co rozgrywało się we mnie.

Jeden fakt nie ulegał wątpliwości: ten chłopiec o takich błagalnych oczach rozminął się z ojcem. I pomyśleć, że od długich i bolesnych tygodni szukał go z nadludzkim poświęceniem. Wtedy, gdy stał przede mną, po prostu najzwyklejniej odnalazł go, gdyż trzeba było tylko bym sprawdził spisy, zamiast oprzeć się w sposób najgłupszy na pamięci mojej i mego milicjanta. Przez mój



błąd, drogi syna i ojca rozeszły się na nowo. Wiedziałem nawet więcej, mianowicie to, że najpewniej rozeszły się na zawsze. Nie tyle z powodu faktu odesłania mężczyzny na front, na którym w tej chwili panował względny spokój, ile ze względu na stan wyczerpania dziecka, które rzuciło się bez wahania, jak w otchłań, w huragan rozpoczynającej się zimy.

Huragan i ciemności. Huragan nienawistnie smagał mi twarz.

Przenikał przez futro, wywoływał gęsią skórę na całym ciele. Ciemności były tak gęste, że zdawało się, iż chwytają za gardło. Gdy wróciłem do mego biura, zażądałem od milicjanta herbaty.

Przyniósł mi ją wkrótce. Dla zabicia smaku tłustej menażki, wlałem sporo rumu, ale nie pijąc pozwoliłem jej ostygnąć w blaszance.

Nagle odepchnąłem krzesło. Chwyliłem znowu szubę i wypadłem w ciemności i chaos. Ciemność dręczyła mnie, jak jakieś trudne pytanie, na które nie znajdujemy odpowiedzi. W oczekiwaniu czegoś, co miało stać się we mnie, pognałem znów na stację i czekałem jak pijany na przyjazd pociągu nocny. Nieruchomo siedziałem w pokoiku mego kolegi, nie zdrzemnąwszy się jednak ani na sekundę. Nie myślałem o niczym. W pewnej chwili spostrzegłem się, że odruchowo liczę chrapanie podporucznika.

Ocknąłem się wtulony w ciemny kąt przedziału. Wsiadłem na dworcu w Jassach, nie widząc nikogo i nie zamieniwszy z nikim ani słowa. W chwili gdy ujrzałem na peronie

pierwszego wartownika, oprzytomniałem całkowicie i nagle zdałem sobie sprawę, że moja podróż ma określony cel. Gorączkowo, z całą pasją rozpocząłem akcję detektywa. Od wartownika do wojskowego komendanta dworca, od komendanta do służbowego sierżanta zastępującego komendanta garnizonu, za każdym razem był tylko jeden skok.

Tylko porucznik Sawu był wciąż nie do odszukania.

W pierwszej chwili nikt nie umiał przypomnieć sobie małego chłopca wiejskiego w niezgrabnym pożyczonym surducie. Na peronie z każdego przychodzącego pociągu wysypywały się takie tłumy! Kto byłby w stanie zwrócić uwagę na dziecko?

— Mały chłopiec, mówi pan? Więc dlaczego nosił surdut? — zainteresował się zawiadowca stacji.

— To biedne dziecko., wyjąkałem z palącym uczuciem wstydu.

— Biedne? A czego pan chce od niego? Co się stało?

— Interesuję się nim, wybąkałem z trudem.

Mogłem być dać pewne wyjaśnienie w sprawie tego chłopca, którego czyny uważałem za bohaterские, ale wstrzymało mnie pomieszanie wzbierające we mnie w miarę jak posuwały się naprzód godziny tej pamiętnej nocy.

Wreszcie sierżant służbowy garnizonu miał coś w rodzaju cienia przypomnienia sobie czegoś. „Musiał przedostać się do miasta w fali ludzkiej i w zamieszaniu“.

A więc bez żadnej wątpliwości znajduje się w Jassach.

Wśród zawiei przebiegałem ulice. Zatrzymywałem wszystkich napotkanych policjantów. Wchodziłem do przepchniętych zionących zaduchem kawiarni. W miarę jak szedłem, w miarę jak ulice słały się pod moimi nogami, czułem jak rośnie we mnie i ogarnia coraz bardziej jakieś potężne zmęczenie połączone z niepokojem. Nie było to zmęczenie fizyczne, lecz raczej rodzaj gniozącego duszę oparu. Byłem w wojskowej komendzie miasta. Odwiedziłem wartownie wszystkich jednostek wojskowych stacjonujących w mieście — zbliżając się coraz bardziej do górnego miasta, aż do chwili gdy zdałem sobie nagle sprawę z mego zupełnego osamotnienia wśród widmowego kłębowiska wielkich ośnieżonych drzew parku Kopo. I tam, w tę późną godzinę nocną zatrzymałem się nagle.

Słuchajcie mnie uważnie.

Zatrzymałem się nagle i uczułem z lewej strony piersi dwa lekkie uderzenia. Uderzenia bardzo wyraźne, jakby jakiegoś obcego ciała, które mi nagle zaszczepiono w tym miejscu. Odczułem coś jakby niejasne przecucie niebezpieczeństwa, które na mnie czyha i którego mam, przez własną głupotę, stać się ofiarą.

Jak widzicie czysta literatura, jak wam to od razu powiedziałem. Nie można przecież twierdzić, że w całej tej historii mój błąd był szczególnie poważny. Nikt nie może udowodnić, że to dziecko umarło w męce tej właśnie nocy. Ale nic nie potrafi mnie przekonać, że umarło później. Co do mnie, muszę

przyznać, że nie odnalazłem jego śladu, ani w ciągu nocy, ani w ciągu następnego ranka.

Muszę dodać jeszcze jedno, co pozostaje w związku z tą smutną przygodą.

Pewnej nocy, drugiej czy trzeciej z kolei, nie umiałbym dziś z pewnością powiedzieć, miałem dziwny sen. Wśród zimowego krajobrazu rozciąga się duża tafla zamarzniętej wody. Pomiedzy zjawami dzieci, które pojawiały się przed moimi oczami na tej powierzchni lodowej, jedno patrzyło na mnie w dziwnie znajomy sposób; nie umiałem powiedzieć, na czym to polegało, ale wygląd jego był znajomy; nagle lód się rozstał i dziecko zniknęło w otworze. Upadło głową naprzód, potem zanurzyło się ciało, wreszcie nogi miotające się rozpaczliwie znikły także. Widziałem, raczej wyobrażałem sobie to ciało pod lodem, podobne do dużego pajaka, poruszające się coraz wolniej i wolniej, coraz łagodniej a jednak stale bezustannie, desperacko...

Obudziłem się z gardłem ściśniętym, oblany zimnym potem. I znowu odczułem te dziwne uderzenia, z lewej strony, nieco powyżej serca. A wspomnienie błagalnych oczu i nierozłączna z nim myśl o mym występku — utkwiła we mnie tak, jakby ten dzwon na trwogę zapowiadał ich wtargnięcie w moje życie.

Ten sen, zawsze ten sam, męczył mnie przez wiele nocy. A czasem, wtedy kiedy najmniej się tego spodziewam, odzywają się znowu dwa uderzenia i coś obcego opanowuje mnie całego, wywołując to wrażenie absurdu rzuca-
nia się na osłep w groźące niebezpieczeństwo.

* * *

Opowiadający w ten wigilijny wieczór, był to chłopiec krępy i spokojny, o wyglądzie dobrotliwym i pogodnym, którego w naszym gronie określaliśmy przezwiskiem „doktorek“. Przerwał nagle opowieść i nalał sobie kieliszek.

Pan domu, nowobogacki, uznał za wskazane zażartować:

— Do diabła twoje opowiadanie, doktoru!

A ja myślałem, że opowiesz nam coś wesołego! No, pij wino!

Mały doktor wpatrzył się milcząco prosto w jego oczy, długo wnikliwie, potem gwałtownym ruchem odsunął kieliszek.



rys. Mireille Mialhe

Czy nie ma rady na łysienie?

Dr. J. L. CREHANGE

Z pewnością wielu ludzi zadaje sobie pytanie, dlaczego sprawa tak ważna jak wypadanie włosów i następujące po nim mniej lub więcej całkowite wyłysienie tak mało interesuje świat lekarski i szerokie rzesze ludzi w ogóle.

Przyszłe pokolenia będą się z pewnością dziwić, że w połowie XX wieku uważaliśmy za najzupełniej naturalne obnażanie bez skrępowania łysych, lśniących czaszek. Ten brak dbałości o włosy wyda się pewnego dnia nie mniej dziwny, niż teraz wydaje się nam brak dbałości w dawnych czasach o zęby.

Saint-Simone pisze na przykład jako o rzeczy najzupełniej naturalnej, że pewna księżniczka miała „obrzydlive usta i zgniłe zęby“?

Fakty te nie dziwiły naszych przodków, ale dziwne jest, że nie razi nas dzisiaj łysina tak przecież nieprzyjemna dla oka a czasem nawet dla powonienia. Dzieje się tak dlatego, że na ogół nie uderzają nas nigdy rzeczy, z którymi spotykamy się codziennie. Montaigne stwierdził kiedyś, że „najwyższą zdolno-

ścią człowieka jest zdolność dziwienia się“?

Łysienie, które lekarze w języku naukowym nazywają — **alopecia**, może być spowodowane różnymi przyczynami.

Nie jest to w dosłownym tego słowa znaczeniu choroba, lecz raczej objaw, który obserwujemy w najrozmaitszych warunkach. Chodzi tu o proces rozwijający się powoli i cała trudność polega na ustaleniu jego przyczyn.

Słowo **łysina** oznacza fakt dokonany. to, znaczy jest uszkodzeniem już ustalonym. Wynikiem tego wspomnianego wyżej stopniowego procesu jest mniej lub więcej całkowita utrata włosów.

Przedewszystkim więc trzeba zwalczyć głęboko zakorzeniony przesąd... Bardzo często zdarza się, że niektórzy traktują włosy podobnie jak rośliny. Pielęgnują pilnie końce włosów, jak gdyby chodziło o trawę. Obcinają je, „przypalają“, co ma rzekomo zapobiec wyciekaniu „soków“. Następnie „użyźniają“ skórę głowy tak jakby nawozili pole.

„Nawozów“ takich, można powiedzieć, nie brak. Wypróbowują najpierw jeden, a potem wszystkie, jakie się tylko nadarzą.

Otóż trzeba sobie uświadomić, że włos jest utworzony z substancji martwej. Jego część żywa, część płodna, to małeńki organ tkwiący głęboko w skórze. Jest to **mieszek włosowo-tłuszczowy**. I tu właśnie trzeba szukać źródła choroby, a więc i lekarstwa na nią.

Najważniejszą częścią mieszka jest **brodawka**. Brodawka ta nie jest niczym innym jak małeńką wypukłością, która zawiera bardzo cienkie rozgałęzienia nerwów i naczyń. Jest to w pewnym sensie organ odżywiający skórę.

Mieszek — jak zwykła cebulka — jest w swej części dolnej wklęsły; ta właśnie część odpowiada brodawce. Z brodawki wyrastają rozmaite komórki cebulki włosowej, które rozciągają się w rodzaj rurki cylindrycznej, przechodzącej w „łodyżkę“ włosa. Jest to część kielkująca, z której wyrasta włos. Włos, tkwiący początkowo głęboko w skórze, wynurza się na powierzchnię poprzez małeńką szyjkę. Łączy się tu z kanałikiem wydzielającym gruczołu tłuszczowego. Gruczoł ten wydziela substancję tłuszczową: **sebum** czyli **substancję łojuwatą**. Gruczoły tłuszczowe odgrywają niezmiernie ważną rolę. W normalnym stanie wydzielina tłuszczowa natłuszcza włosy i nadaje im elastyczność. Stanowi dla skóry ochronną powłokę, czyni ją nieprzemakalną i utrudnia zanieczyszczanie jej obcymi cząsteczkami..

W pewnych warunkach, jak się przekonamy, gruczoł tłuszczowy może utracić swoją zasadniczą rolę.

Ten krótki obraz normalnej budowy włosa pozwoli nam zrozumieć proces jego powstawania i obumierania.

Cóż się stanie z brodawką, z której wyrasta włos, jeśli jej siła żywotna z jakiegokolwiek przyczyny zostanie zahamowana? Brodawka obumiera, zanika. Cebulka włosa do tychczas odznaczająca się w swej części dolnej wklęsłością, spowodowaną przez wypukłość brodawki, traci stopniowo tę wklęsłość. Przybiera kształt małeńkiej maczugy. Mamy wtedy do czynienia już nie z cebulką „wklęsłą“ lecz z cebulką „pełną“. Kiedy cebulka włosa jest pełna, jest to znak jej śmierci. Włos nie może się już rozwijać. Jest on stopniowo wypychany aż do szyjki mieszka, gdzie najłżejsze tarcie łatwo go odrywa.

Od chwili śmierci włosa do chwili, w której się odrywa, może minąć dość długi okres czasu: średnio sześć tygodni. Musimy teraz poszukać kilku punktów orientacyjnych, aby zgrupować stany chorobowe, doprowadzające do zniekształcenia brodawki i powodujące obumieranie i wypadanie włosa.

Najczęściej mamy do czynienia z łysieniem łojotokowym. Łojotok właśnie wywołuje to, co zwykliśmy nazywać łysiną przedwczesną. Łysina ta bowiem występuje w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat. Lecz w rzeczywistości choroba zaczyna się o wiele wcześniej, w okresie pokwitania, a czasem nawet jeszcze wcześniej. Najpierw pojawia się

suchy łupież, który obficie zasypuje kołnierz ubrania. Stan ten trwa 2 do 3 lat i łupież znika. Zainteresowany i jego otoczenie cieszą się wtedy, zresztą bardzo niesłusznie, ponieważ łupież nie znikł, lecz przylega do skóry. Teraz obserwujemy, że w niektórych miejscach przy uszach występują tłuste plamy. Włosy dawniej elastyczne i lśniące, zlepiają się ze sobą i przyklejają do głowy. Aby zachowały należyty wygląd, trzeba je myć bardzo często.

Począwszy od tej chwili, zaczynają wypadać włosy. Niekiedy następuje to z zadziwiającą szybkością. Włosy wypadają obficie. Pełno ićn na szczotce i grzebieniu. Pływają dziesiątkami w umywalni. To obfite i nagłe wypadanie włosów wzbudza ponownie niepokój. Lecz człowiek przyzwyczaja się szybko do wszystkiego, rezygnuje i pociesza się jak może: miał przecież niesforną czuprynę, więc jeśli straci kilka włosów, łatwiej będzie mu się czesać.

Jeśli będziemy obserwować go przez jakiś czas, stwierdzimy, że czoło poszerza się, łuki włosów na skroniach cofają się stopniowo. Jednocześnie zaczynają wypadać obficie włosy na szczycie czaszki, na której tworzy się coraz większa tonsura jak okrągła wyspa. Najczęściej mówimy sobie wtedy, że nie ma już na to rady i rzeczywiście nic nie robimy. Tak samo myśleli nasi przodkowie tracąc zęby.

Niekiedy łysiejący niepokoi się, lecz jest już zbyt późno. Zbiera na prawo i lewo rady najdziwniejsze i najbardziej fałszywe. Wypróbowuje bez wahania wszystkie za-
lecenia. Ponieważ próby te są w ogó-

le bezowocne, zainteresowany przekonuje się nagle, że naprawdę nie ma rady i traci wszelką nadzieję.

Tymczasem proces łysienia posuwa się i łysina staje się coraz rozleglejsza. Zatoki na skroniach poszerzają się, omijają kępkę włosów na szczycie czoła, dającą jeszcze złudzenie istnienia czupryny. Ten „tupecik“ zmniejsza się powoli, przerzedza po brzegach i wreszcie zanika zupełnie.

Pozostaje pomost włosów między łysiną z przodu a tonsurą. Ten pomost z kolei zużywa się również. Głowa staje się całkowicie łysa. Skóra jest świecąca i tłusta. Niekiedy wydziela przykry zapach, mimo najstarszych zabiegów i częstego mycia głowy.

W poszukiwaniu przyczyn łysienia łojotokowego napotykamy na wielkie trudności. Trudno jest przecież zdjąć płaty skóry z głowy, aby je dokładnie zbadać. Takie „biopsje“ są praktycznie niewykonalne.

Dlatego wiadomości nasze opierają się tylko na obiektywnym stwierdzeniu faktów. Nie ulega wątpliwości, że w większości przypadków łysienie występuje jednocześnie z łojotokiem i rozwija się równolegle. Jak widzieliśmy, mieszek włosowy jest połączony z gruczołem tłuszczowym, którego kanalik wydzielający wychodzi u wylotu szyjki. Istnieje ścisły związek pomiędzy wydzielaniem sebum i żywotnością włosa. Wydaje się udowodnione, że nadmiar wydzieliny tłuszczowej jest przyczyną zmian i degeneracji w samej cebulce. Lecz trzeba przyznać, że nie mamy na to pewnego dowodu.

Jaka jest w rzeczywistości przyczyna łojotoku? Pewne jest, że gruczoły wydzielania wewnętrznego odgrywają w tej dziedzinie rolę pierwszorzędną. Pierwsze stwierdzenie, które narzuca się tutaj, to zasadnicza różnica pomiędzy procesem łysienia u mężczyzn i u kobiet. Jest tyleż kobiet co mężczyzn dotkniętych łojotokiem i w tym samym wieku, a jednak kobiety nie łysieją. Nawet jeżeli włosy wypadają im bardzo obficie, uwłosienie nigdy nie ginie zupełnie. Wiadomo także, że u kobiety ciężarnej pod wpływem nowych hormonów, wydzielanych przez żółte ciało, łojotok i łysienie ulegają natychmiast zahamowaniu.

Czytamy także u Arystotelesa, że eunuchowie nie byli nigdy łysi. Pewien sławny dermatolog francuski chcąc wyrobić sobie jakiś pogląd na ten temat przeprowadził na początku naszego wieku ankietę, zbierając dane daleko na wschodzie. Przekonał się na podstawie badania 147 eunuchów Abdul-Hamida o słuszności twierdzenia Arystotelesa. Twierdzono także, chociaż trudno jest tego dowieść, że mężczyźni przedwcześnie wyłysiali, także przedwcześnie dojrzewają płciowo. I pociąg płciowy jest u nich bardziej rozwinięty. Twierdzenie to ma bardzo starą tradycję, bo jeszcze na wazach greckich oglądamy satyrów bujnie owłosionych i łysych. Ten fakt dobrze znany łysym, jest dla nich nie lada pocieszeniem.

Nie ulega wątpliwości, że gruczoły wydzielania wewnętrznego grają zasadniczą rolę w pojawianiu się i rozwoju tego ciekawego stanu chorobowego, do którego przez całe wieki nie przykładano żadnej wagi.

Czyż nie jest dziwne, że upośledzenie to powstaje w wieku od 20 do 30 lat, wtedy właśnie, kiedy zdrowy i młody mężczyzna wchodzi w szczytowy okres swego rozwoju? W tej samej fazie, w królestwie zwierząt wiele owadów i ptaków przybiera specjalne ozdoby, podczas gdy rasa ludzka traci jedną z cech swej piękności. Stwierdzenie to wskazuje również na udział w tym procesie gruczołów wydzielania wewnętrznego.

Jakkolwiek łojotok jest najczęściej spotykaną przyczyną łysienia, to poza tym istnieją i inne liczne przyczyny uszkodzenia mieszków włosowo-łojowego, które powodują obumieranie i wypadanie włosów. Są to liczne choroby infekcyjne: grypa, tyfus, róża, zapalenie płuc, choroby wysypkowe, stany zapalne skóry. Wszystkie one powodują w mniejszym lub większym stopniu wypadanie włosów. Oczywiście wypadanie to nie jest natychmiastowe, ale następuje w jakieś dwa miesiące po chorobie.

W niektórych wypadkach wypadanie włosów jest niezwykle szybkie. Włosy wychodzą garściami. Łysina prawie całkowita tworzy się w ciągu kilku dni. Zjawisko to starożytni pisarze nazywali „defluvium capillorum“. Podobne wypadki notujemy przy syfilisie w drugim stadium. We wszystkich tych wypadkach zniszczona brodawka jest zastąpiona przez nową. Znaczy to, że łysina nie jest stała i że wkrótce włosy odrosną.

Jednak te różne rodzaje łysienia można uważać za początek łysienia stopniowego, które kończy się łysiną typu łojotokowego.

Wielu pacjentów uważa szkarlatynę lub tyfus za przyczynę wystąpienia u siebie łojotoku. Jest to tylko częściowo uzasadnione. W rzeczywistości bowiem łojotok w ukrytej formie istniał już u nich przed chorobą infekcyjną, która tylko go wzmogła.

Trzeba więc przede wszystkim pamiętać o tym, że włos jest tylko produktem naskórka rogowatego. Przyczyna jego obumierania nie tkwi w nim, lecz jest głębsza. Dlatego też jeżeli chcemy usunąć ją skutecznie, nie wystarczy badanie lokalne. Konieczne jest dokładne badanie ogólne. Wygląd skóry głowy dostarcza już cennych wskazówek. Należy zwrócić uwagę na rozmieszczenie miejsc wyłysiałych. Przycierając je bibułą odkrywa się wpływ łojotoku. Pociągając włosy palcami, stwierdza się ich odporność w różnych miejscach czaszki. Ale przede wszystkim należy zająć się badaniem głębszych zaburzeń. Szczególnie drobiazgowo należy zbadać działanie różnych gruczołów wydzielania wewnętrznego nie zaniedbując innych organów. Lecz przede wszystkim należy zwrócić uwagę na przebieg procesu łysienia. Łysienie, które zaczyna się najwcześniej, postępuje najszybciej. Aby mieć jakieś szanse powodzenia, należy za-

cząć leczenie bardzo wcześniej. Niestety, pacjent najczęściej niepokoi się zbyt późno, chyba że ma już doświadczenie po swoich przodkach.

Zależnie od przypadku metody leczenia są zupełnie różne. Oczywiście powinno się zacząć możliwie jak najwcześniej pielęgnację skóry głowy. Systematyczną pielęgnację należy traktować jako konieczne zabiegi higieniczne, podobnie jak np. mycie zębów.

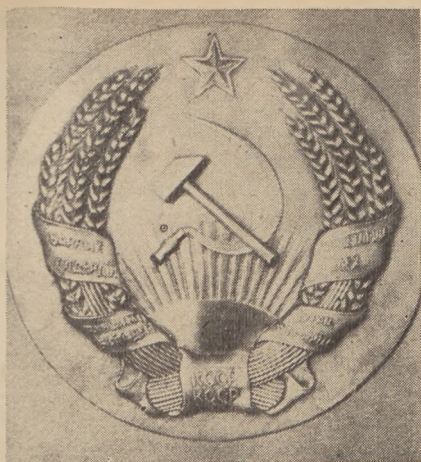
W niektórych przypadkach konieczne jest leczenie zaburzeń trawienia. Przede wszystkim należy wykluczyć pożywienie, które sprzyja w tworzeniu się i działaniu histaminy lub działa w ogóle szkodliwie na organizm.

W innych przypadkach wskazane jest leczenie witaminami: witamina H, witamina B2, witamina D, a przede wszystkim A.

Jeśli chodzi o leczenie hormonalne, to należy je stosować z jak największą ostrożnością, pod uważną kontrolą kliniczną i przy stałej kontroli laboratoryjnej.

Należy podkreślić, że leczenie lokalne w większości wypadków podtrzymuje wypadanie włosów i znacznie opóźnia łysienie pod warunkiem, że zaczyna się je dość wcześnie i przeprowadza wytrwale.





ODRODZONY NARÓD

KRZYSZTOF ZAREWICZ

JEŻELI urodził się chłopiec — to dobrze. Niech idzie śladem przodków i wie to, co oni wiedzieli — więcej mu nie trzeba. Jeżeli urodziła się córka, niech zna tylko swą jurcję — mawiali dawniej Kazachowie. Stare to przysłowie przez długie wieki ani trochę nie straciło na aktualności. Według starożytnego obyczaju, gdy syn kończył 7 lat, w otoczeniu zebranych krewnych i gości po raz pierwszy uroczyście dosiadał konia — stawał się dżigitem, rozpoczynał życie jako młodzieniec i zaczynał iść śladami przodków: koczował z miejsca na miejsce, pasł stada bydła czy tabuny koni należące do bają-bogacza, żywił się czym popadło, nie umiał ani czytać, ani pisać — tak jak ojciec, jak dziad i pradziad. Ale los mężczyzny był jeszcze wielokrotnie lepszy od doli kobiety, nie posiadającej żadnych praw, niewolnicy o ukrytej pod zasłoną twarzy, kobiety skazanej na nędzne życie w jurcjach, przy dzieciach. przy gospodarstwie...

Starodawny jest naród kazachski. Niegdyś szczylił się wysoką kulturą, umiał wydobywać z głębi ziemi ołów i miedź, wytapiał brąz, prowadził ożywiony handel z Chinami, z krainami Azji, a nawet z dalekim Egiptem. Ale naród kazachski i wówczas, tak samo jak i później, po wielu stuleciach, gdy znalazł się pod władzą cara i miejscowych feudałów, cierpiał wieczną, straszną nędzę. Nie było żadnych perspektyw, nie istniały żadne nadzieje: synom nic nie pozostawało innego jak iść w ślady ojców, nic innego nie mogły robić kobiety jak gospodarzyć w wojłokowych, koczowniczych jurcjach.

Od 36 lat nie słyszy się już starych, smutnych przysłów. „Władza radziecka przyniosła Kazachstanowi i wiosnę, i słońce, i szczęście“ — tak obrażczo mówią dziś mieszkańcy republiki. Przed kazachskim narodem szeroko otworzyły się drogi wiodące do rozwoju, do szczęśliwego, kulturalnego, zasobnego życia. Każdy mógł wybierać: dokąd chce jechać, co chce

robić. A wybór był niezwykle bogaty i różnorodny...

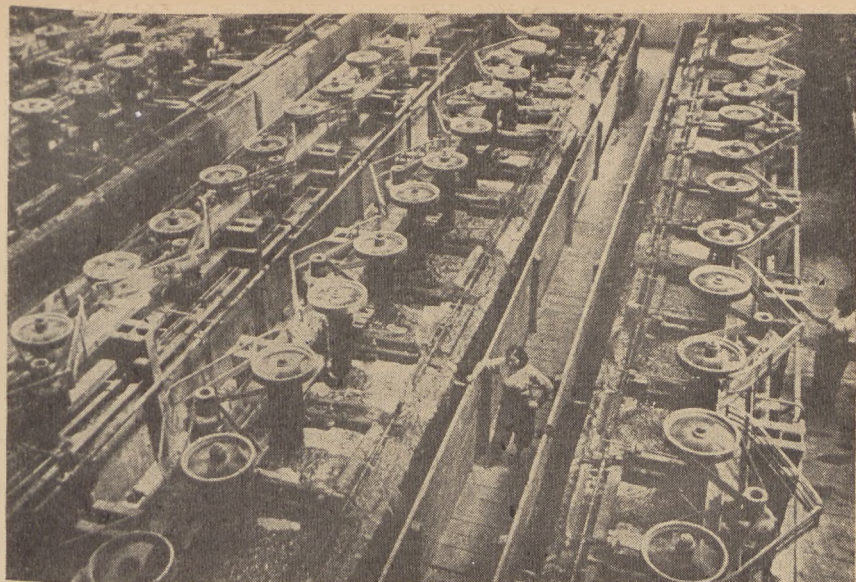
Od dolnego biegu Wołgi aż do Zachodnich Chin, od południowych stoków Gór Uralskich i lasów Syberii aż do skwarnej Turkmenii i oaz Uzbekistanu rozpostarły się obszary Republiki Kazachskiej, drugiej pod względem wielkości, czwartej pod względem ilości mieszkańców republiki Związku Radzieckiego. Na tych olbrzymich obszarach, na których swobodnie można byłoby pomieścić sześć takich państw jak Francja, tam gdzie rozpościerał się jeszcze do niedawna nagi, bezludny step i pustynie, teraz bujnie rozkwitło życie wolnego narodu. Przygodny wędrowiec, który jeszcze trzydzieści kilka lat temu przejeżdżał na wielbłądzie przez Kazachstan, uważał, że potrzeba kilku stuleci, by wzrosło tu silne, kulturalne państwo. Ale partia i rząd radziecki nie planowały na stulecia.

Pierwszy pociąg wywołał paniczny strach wśród kazachskich koczowników. Lokomotywy nie nazywano inaczej jak „szajtan-arba“ — „piekielny wóz“, w którym siedzi diabeł. Ale minęło niewiele czasu i Kazachowie nie tylko przyzwyczaili się do pociągów, nie tylko zaczęli nimi podróżować, ale sami stanęli przy przyrządach kierowniczych lokomotyw i poprowadzili swoje pociągi przez własny kraj. Linie kolejowe, szosy, drogi długości wielu tysięcy kilometrów poprzecinały we wszystkich kierunkach ziemię kazachską. Powiązały ze sobą miasta i osiedla, tereny przemysłowe i górnicze. I sieć komunikacyjna nie przestaje rosnąć. Dobiega końca budowa przebiegającej na dużej przestrzeni przez ziemię kazachską

Magistrali Południowo-Syberyjskiej, trwa budowa nowej wielkiej trasy kolejowej Guriew—Astrachań, która obsługiwać będzie nowe tereny nawodnione, rozpoczęto budowę równie ważnej dla republiki linii kolejowej przebiegającej od miejscowości Makat, położonej na terenie Embińskiego Zagłębia Naftowego, do Kungradu znajdującego się w dolinie rzeki Amu-Darii. A wraz z rozwijającą się wciąż siecią linii kolejowych rozwija się sieć drogowa, powstają wciąż nowe stałe trasy lotnicze — gdyż ani na chwilę nie przestaje rozwijać się przemysł, rolnictwo, cała gospodarka Kazachstanu.

Wyrośli wielkie, trzecie w ZSRR pod względem wielkości Karagandyńskie Zagłębie Węglowe. Windy czy nowoczesne urządzenia skipowe podają na powierzchnię ziemi lśniące czarne bryły. Ale dla Zagłębia Karagandyńskiego nie są charakterystyczne tak jak dla Donbassu czy Kuzbassu głębokie, rozgałęziające się chodnikami kopalnie. Głównymi terenami wydobywania węgla są tu wielkie kopalnie odkrywkowe. Z czerpaków koparek, ze specjalnych transporterów nieprzerwanym potokiem płynie węgiel bezpośrednio do wagonów kolejowych.

Niedaleko Morza Kaspijskiego, między rzekami Embą i Uralem rozrósł się olbrzymi teren naftowy — drugi po Baku pod względem zasobów w ZSRR. Oniś podróżnicy opisywali te tereny jako pustynię pozbawioną roślinności i wody. Dziś na obszarze większym od całej Polski wyrosły lasy wień wiertniczych, zbiorniki, rafinerie. W pobliżu, nad brzegiem Morza Kaspijskiego wyrosły hale po-



W jednej z hal Bałchaskiej Huty Miedzi

teżnego Guriewskiego Kombinatoru Rybnego, chłodnie, fabryki konserw. Obok ropy naftowej na tych terenach znaleziono niezmiernie duże pokłady soli kamiennej — kiedyś w pobliżu Emby przewiercono pokład soli grubości dwóch kilometrów i jeszcze wiertło nie dotarło do dna.

W stepie, w pobliżu Aktiubińska, tam gdzie miliony ton cennych fosforytów leżały bezużytecznie przez tysiąclecia, zbudowano ogromny kombinat chemiczny zapatrujący Kazachstan i sąsiednie republiki w świetne nawozy. Nie są to jedyne miejsca, w których znaleziono pokłady fosforytów — równie ogromne ich ilości odkryli geolodzy w górach Kara-Tau bogatych poza tym w metale kolorowe i złoża cennego wamadu. Na szeroką skalę prowadzone jest wydobycie fos-

forytów w dolinie rzeki Tałas. Do niedawna jeszcze pasterze przypędzali tu na pastwiska na okres letni stada bydła i owiec. Dziś, w dolinie, którą ludność nazwała „Doliną ognia“, huczą silniki setek maszyn i mechanizmów wydobywających i kruszących cenny minerał, jarzą się światła wielkiej fabryki superfosforatów. Tak samo w okresie powojennym ruszyły olbrzymie zakłady nawozów sztucznych w Dżambule, a obecnie rozpoczyna się na terenie republiki eksploatację nowych złóż nawozów potasowych.

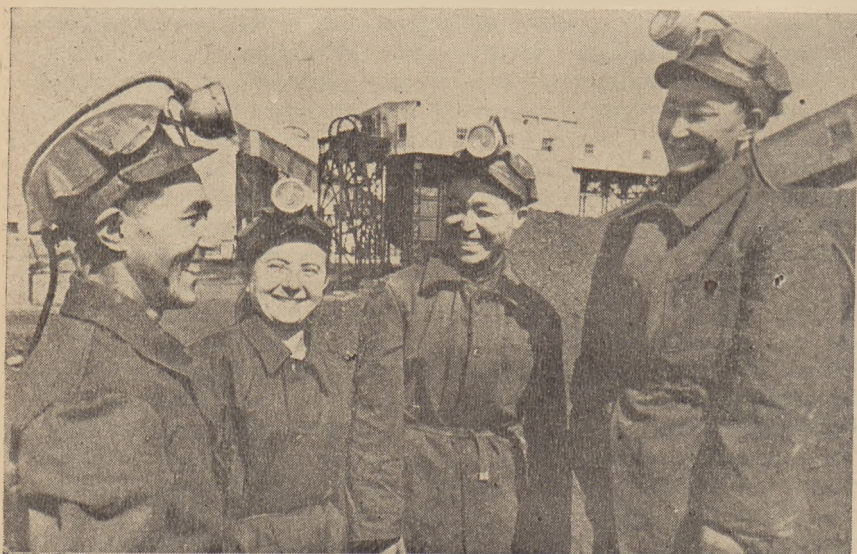
W pobliżu Karagandy z jej świetnym węglem koksującym, w pobliżu nowoodkrytych bogatych złóż rudy żelaznej i manganowej wyrosły w latach wojny i powojennej pięcioletki pierwsze zakłady hutnicze, w Kazachstanie — wielkie Zakłady

Metalurgiczne w Temir-Tau. Rosyjscy i ukraińscy hutnicy nauczyli Kazachów wytapiać stal. Musieli zaczynać dosłownie od początku — bo od nadania stali nazwy w języku kazachskim. A dziś młody Altynbek Daribajew stał się słynnym mistrzem szybkościowych wytopów, Sadienow i Karimow — doskonałymi wytapiaczami a Telekbergen Nurbekow — świetnym mistrzem walcowniczym. Dziś obok rozbudowującego się pierwszego ośrodka hutniczego kraju — Temir-Tau powstaje nowe centrum metalurgii — Aktiubińsk.

Znaleziono ogromne złoża ołowiu — wielkie zakłady w Czimkencie stały się największą hutą ołowiu na całym kontynencie — od Oceanu Atlantycznego do Oceanu Spokojnego. W Dżekazganie, Kounradzie, w Górach Altaju wydobywa się miedź — w

Kazachstanie znajduje się połowa wszystkich znanych w ZSRR złóż miedzi. Nad brzegiem głębokiego jeziora Bałchasz rozrosło się miasto o tej samej nazwie słynące z największej na terenie całej Europy i Azji — Bałchaskiej Huty Miedzi. Niemniej słynni są czołowi stachanowcy tego kombinatu, jeden z najlepszych hutników Związku Radzieckiego, Kazach — Uljan Koszik, świetny wytapiacz Żylibikaj Baisow czy też syn pastucha, przybysz z dalekich stepów a dzisiejszy świetny majster zmianowy Gaukarbek Sartajew. Powstały wielkie zakłady przetwórcze metali kolorowych w Leninogorsku, rozwija się niewiele mniejsza od Bałchaskiej — Karsakpajska Huta Miedzi. Dziś Kazachstan daje krajowi 1/3 wydobywanej w całym Związku Radzieckim miedzi, 1/4 produkcji ołowiu i

Wielu górników Karagandy stynie daleko poza granicami Kazachstanu. Oto czołowi przodownicy brygady młodzieżowej z kopalni nr 104.





Piękny gmach Państwowego Teatru, Opery i Baletu im. Abaja w stolicy Republiki Kazańskiej Ałma - Acie.

przeszło połowę cynku, daje nikiel i mangan, złoto i srebro, sól i najróżniejsze materiały budowlane.

Każdego przyjeźdnego, który znał krainę Kazachów przed Rewolucją, ogarnia dziś zdumienie: w ciągu jakże niewielu lat Kazachstan z zacofanej, na wpół feudalnej, surowcowej kolonii carskiej Rosji przekształcił się w bogatą przemysłowo-rolniczą republikę. Wyrosły huty i kopalnie, zakłady chemiczne i fabryki skomplikowanych maszyn, rozwinął się różnorodny przemysł lekki i spożywczy.

O rozmiarach dokonanych prac, o wielkości włożonego wysiłku chyba najlepiej świadczy fakt, że w ciągu samych tylko przedwojennych pięciolatek zbudowano i uruchomiono w republice przeszło 2.580 zakładów przemysłowych!

Obok przemysłu ciężkiego i górnictwa, przed wojną, a szczególnie w latach powojennych rozwinął się na szeroką skalę przemysł włókienniczy, trykotażowy, skórzany i konfekcyjny, zbudowano kilkaset nowych młynów, cukrowni, kombinatów mięsnych i tłuszczowych, olejarni, gorzelni. Dziś z różnych stron republiki nadchodzą stale nowe wieści z terenu budowy wielkiego kombinatu mięsnego w Semipałatyńsku, dużej fabryki konserw i innych przetworów owocowo-warzywnych w Ałma-Ata, kilkunastu młynów i cukrowni, fabryk przetworów mięsnych w Guriewie, Bałchaszu, Karagandzie i Ust-Kamienogorsku. W Czimkencie rosną hale kombinatu włókienniczego, w Ałma-Ata ruszy już niedługo potężna fabryka wyrobów dziewiarskich....

Z każdym rokiem wzmagają się w Kazachstanie rozmach prac. Ludzie odkrywają wciąż nowe skarby ukryte w głębi ziemi, pokonują niebotyczne góry i rzeki, przerzucają przez nie szlaki komunikacyjne, zdobywają dla rolników i hodowców wciąż nowe pola, pustynie i spalonych słońcem stepów, wznoszą nowe miasta, osiedla...

Pięknym, nowoczesnym miastem stała się stolica kraju Alma-Ata. Nazwa jej, która w języku kazachskim oznacza „ojciec jabłek“, nie wprowadza w błąd: dookoła miasta, na stokach gór, rosną ogromne sady jabłoni. Rozrósł się Guriew, Dżambuł, Pietropawłowsk, Akmolinsk, Czimkent, Semipałatyńsk. W okresie pięciolatek wyrosło 20 nowych miast — więcej niż w ciągu ubiegłych trzech wieków. Dwadzieścia lat temu powstała Karaganda i Leningorsk. Rok 1937 — to data narodzin miasta Bałchasz, Stepniak, Aralsk. W 1939 r. na mapie Kazachstanu pojawiły się nazwy miast: Szczuczynsk, Dżetygara, Ajaguz, w 1941 r. — Zajsan, Zyrianowsk. A już po wojnie powstały nowe miasta: Lenger, Małkińsk, Temir-Tau, Tekeli...

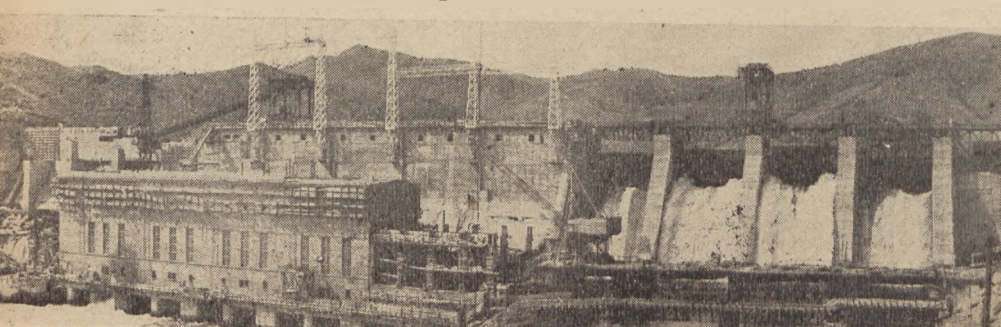
W niepamięć przeszły lata koczownictwa. Kazachowie osiedlili się, pobudowali kolchozy, wsie, osie-

dla, zbudowali wielkie sowchozy, stacje maszynowo-traktorowe, stacje łąkowo-melioracyjne. Zaczęli kopać kanały i budować zbiorniki wodne, doprowadzili życiodajną wodę na pola, zaczęli sadzić lasy ochronne, rozpoczęli walkę z „suchowiejami“. Nawodniony Głodny Step przekształca się w wielką plantację bawełny, roślin kauczukodajnych, sadów. Miliony hektarów urodzajnej ziemi w Zachodnim Kazachstanie przywróci do życia wielki Kanał Wołga — Ural.

Ziemia kazachska odplaciła się kolchoźnikom za ich trud olbrzymimi plonami pszenicy, bawełny, buraków cukrowych, ryżu, roślin technicznych, tytoniu, owoców. Na tej ziemi padły trzy rekordy światowe: w obwodzie aktubińskim kolchoźnik Czaganak Bersijew zebrał z hektara 201 kwintali prosa, na brzegu Syrdarii kolchoźnik Ibraj Żachajew, odznaczony później Nagrodą Stalinską, zebrał z hektara 172 kwintale ryżu, a ogniowowa kolchozu im. Mołotowa, Bohaterka Pracy Socjalistycznej — Bitaj Tatienowa zebrała 2.071 kwintali buraków cukrowych z hektara!

Główną jednak gałęzią gospodarki wiejskiej w Kazachstanie nie jest uprawa roślin, a masowa hodowla

Ust - Kamienogorska elektrownia wodna



bydła, owiec i trzody chlewnej. Na rozległych stepach, w olbrzymich fermach hodowlanych trwa niestrudzona praca nad tworzeniem wciąż nowych, doskonalszych ras. Prawie 20 lat pracowali hodowcy sowchozu „Czałobaj“ nad wyhodowaniem nowej rasy bydła; ostatnio wyhodowano nową rasę koni, angorskich kóz i archaromerynosów. Twórcy tych nowych ras: zootechnicy i pasterze zostali odznaczeni Nagrodami Stalinskimi.

Osiągnięcia rolników i hodowców są bezspornie duże. Ale kazachscy kołchoźnicy i pracownicy sowchozów nie upajają się nimi; widzą popełnione błędy, widzą niedociągnięcia — i przede wszystkim widzą drogi i możliwości ich przewyżnienia. Uchwały wrześniowego Plenum KC KPZR wskazały na konieczność znacznego zwiększenia w Kazachstanie pogłowia owiec oraz powiększenia procentu krów w kołchozowych stadach bydła; pokazały, że istnieją znaczne możliwości zwiększenia plonów zbóż, ryżu, bawełny i lnu. Dlatego teraz, gdy na kazachskich polach traktory rozpoczynają wiosenną orkę, gdy na fermach hodowlanych rozpoczynają się przygotowania do przegania stad na wiosenne i letnie pastwiska — w każdym kołchozie i sowchozie, w każdej stacji maszynowo-traktorowej na pierwszym miejscu stoi zagadnienie likwidacji błędów i szybkiego marszu naprzód.

Rozrósł się przemysł, rozwinęło się rolnictwo — wraz z nimi niezwykle szybko rozkwitła kultura wolnego narodu kazachskiego. A równocześnie im powszechniejsza stawała się

oświata, im więcej książek i gazet docierało do rąk mieszkańców odległych aulów, tym szybciej rozwijała się gospodarka kraju, tym szybciej rósł dobrobyt jego mieszkańców.

Naród kazachski, który dał ludzkości takiego utalentowanego poetę jak Dżambul Dżabajew, nie miał do dni Rewolucji własnego piśmiennictwa. Stworzony został alfabet, powstało kazachskie pismo. I dziś w kraju, w którym przed Rewolucją na 100 mieszkańców 98 było analfabetami — uczy się 1 milion 300 tysięcy dzieci, w 143 wyższych uczelniach kształci się ponad 60 tysięcy studentów, pracuje przeszło trzy tysiące naukowców, działa własna Akademia Nauk Kazachskiej SRR. W kraju, w którym w ciągu kilku stuleci wydano zaledwie 120 tytułów książek w bardzo nikłym nakładzie, dziś samo tylko Kazachskie Wydawnictwo Państwowe wydaje rocznie 400 tytułów książek w nakładzie przeszło pięciomilionowym!

— Gdy ogarnie się spojrzeniem obraz wielkich przeobrażeń, jakie przeistoczyły Kazachstan w jedną z wielkich republik naszego kraju — mówił na XIX Zjeździe Partii sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Kazachstanu Szajachmetow — **wszystkich nas opanowuje uczucie słusznej dumy z naszej wielkiej partii i jej Komitetu Centralnego, które pobudziły i zmobilizowały naród kazachski do osiągnięcia takich wspaniałych sukcesów w pracy. Te fakty raz jeszcze potwierdzają słuszność i żywotność leninowsko-stalinowskiej polityki narodowościowej naszej partii.**

FAKTY

Komentarze



REZULTATY KONFERENCJI BERLIŃSKIEJ

Rozpoczęta w dniu 25 stycznia konferencja berlińska ministrów spraw zagranicznych Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji zakończyła swe obrady 18 lutego.

Przed rozpoczęciem konferencji prasa imperialistyczna cynicznie propagowała pogląd, że chodzi o to, aby konferencja berlińska właśnie nie dała rezultatów, żeby się skończyła zupełnym niepowodzeniem, ale żeby winę za niepomyślny wynik konferencji móc zrzucić na Związek Radziecki, co ułatwiłoby ratyfikację układu o „armii europejskiej” przez parlamenty Francji i Włoch.

Ten plan się nie udał. Mołotow, torując sobie drogę poprzez piętrzone przez Dulles, Edena i Bidault przeszkody, konsekwentnie dążył do porozumienia. Jak napisał francuski burżuazyjny „France Soir”: „Mołotow przez cały czas konferencji zachowywał inicjatywę i prowadził grę od pierwszego do ostatniego dnia z mistrzostwem wielkiego szachisty. Jego przeciwnicy pragnęli zastosować metody pokera. Gracze w pokera przegrywali za każdym razem, gdy zbyt bluffowali”. Pozostanie to historyczną zasługą Mołotowa, że dzięki niemu konferencja berlińska stworzyła perspektywę odprężenia międzynarodowego. „Konferencja — co najważniejsze — dopomogła przede wszystkim do wyjaśnienia sytuacji” — napisał londyński „Times”. „Cztery mocarstwa — oświadczył

dziennik — skoncentrowały się na realnych sprawach i były w stanie zgodzić się na dyskusję co do Dalekiego Wschodu i wymianę poglądów w sprawie rozbrojenia. Chociaż tylko najmniejsze nadzieje zostały zrealizowane, konferencja była warta zachodu” — zakończył „Times”. „Konferencja berlińska nie tylko nie była niepowodzeniem, ale przerwany od kilku lat dialog między Wschodem a Zachodem będzie kontynuowany i rozciągnięty wreszcie na Chiny” — stwierdził paryski burżuazyjny „France Tireur”. Nawet wysłannik reakcyjnego „Figaro” zmuszony był przyznać: „Jeśli trzeba by było krótko zreasumować wrażenie pozostawione przez 25-dniową dyskusję, to powiem, że jeśli nie wypełniła ona przepaści oddzielającej Wschód od Zachodu w sprawie podstawowych problemów powojennych, to nie pogłębiła jej. Konferencja berlińska nie była konferencją ostatniej szansy” — stwierdza „Figaro”.

Najbardziej pozytywnym wynikiem konferencji berlińskiej jest osiągnięcie porozumienia w sprawie zwołania na 26 kwietnia do Genewy konferencji pięciu mocarstw, z udziałem Chin Ludowych, na temat Korei i Indochin. Jak powiedział w przemówieniu końcowym brytyjski minister spraw zagranicznych, Eden: „Tu wyszliśmy ze ślepego zaułka. Jest to poważny krok naprzód”. A sekretarz generalny ONZ, Hammarskjöld w złożonym oświadczeniu ocenił ten fakt jako wyrównanie dzielących cztery wielkie mocarstwa różnic zdań w kwestii pokojowej konferen-

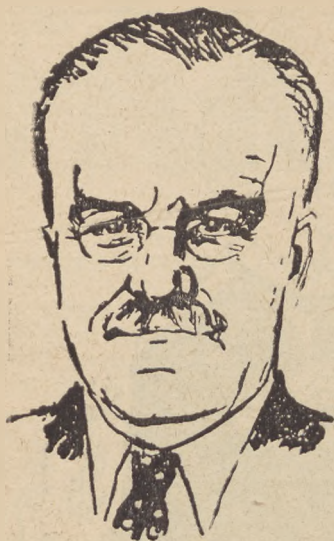


ADENAUER: „Utrzymanie rozbita Niemiec jest mi bardzo na rękę!...”

rys. JANTAR

cji koreańskiej i nazwał go „wielkim krokiem w kierunku celów, jakim służy ONZ”. Interesujący był również komentarz korespondenta AFP z Tokio o reakcji oficjalnych kół japońskich: „Oficjalne koła japońskie są zdania, że jest to pierwszy krok na drodze do oficjalnego uznania rządu pekińskiego przez USA, uważając ten kompromis za posunięcie, które będzie miało wielkie konsekwencje w skali międzynarodowej”. Wszyscy, nawet wrogo wie Związku Radzieckiego muszą przyznać, że doprowadzenie do tego wyniku jest osobistym sukcesem ministra Mołotowa, który z niesłabnącą ani na chwilę energią i cierpliwością bronił radzieckiej polityki pokoju i współpracy między mocarstwami,

walcząc nieodpartymi argumentami przekonywającej logiki, że bez Chin Ludowych niesposób jest rozwiązać kluczowych zagadnień, prowadzących do złagodzenia napięcia międzynarodowego w świecie. Początek został więc zrobiony na Dalekim Wschodzie azjatyckim i jest to słuszne. Tam bowiem, w Korei dopiero co zakończona została krwawa wojna, ale jeszcze nie stworzono podstaw pokoju; tam również, w Indochinach toczy się od blisko siedmiu lat wojna prowadzona przez kolonizatorów francuskich wspomaganych przez USA. Dla osiągnięcia odprężenia międzynarodowego w Azji należy więc przede wszystkim zlikwidować te dwa zarzewia: jedno — tlejące się jeszcze w Korei, drugie — obejmujące płomieniami



Korei. Główny korespondent amerykańskiej agencji „United Press“ na Dalekim Wschodzie, Hoberecht stwierdza przy tym, że „na konferencji tej nie będzie dwóch stron, jak tego żądały Stany Zjednoczone w Panmundżon. Będzie to — pisze Hoberecht — konferencja okrągłego stołu, w której komunistyczne Chiny wezmą udział na równej stopie z innymi państwami“.

W sprawie rozbrojenia propozycja Mołotowa zwołania światowej konferencji rozbrojeniowej nie została co prawda aprobowana, ale cztery mocarstwa, zgadzając się co do tego, że redukcja zbrojeń konieczna jest dla złagodzenia napięcia międzynarodowego, postanowiły kontynuować wymianę poglądów, ażeby doprowadzić do pozytywnego rozwiązania redukcji zbrojeń w myśl stosownej rezolucji ONZ, powziętej na ostatniej sesji Zgromadzenia. Zostaje więc zainicjowana droga rozmów dyplomatycznych między czterema mocarstwami na ten temat.

Indochiny. Minister Mołotow wysunął sprawę konferencji pięciu mocarstw jako sprawę najważniejszą, jako pierwszy punkt porządku dziennego w Berlinie i ten punkt został w drodze kompromisu między czterema mocarstwami pomyślnie załatwiony.

Półoficjalny dziennik Li Syn-mana „Korean Republic“ zaatakował mocarstwa zachodnie za ich zgodę na konferencję w Genewie, oskarżając je, że zmierzają one „do uchylenia się od odpowiedzialności nałożonej układem rozejmowym i zmierzają do osiągnięcia rozwiązania problemu koreańskiego za wszelką cenę“. Orsan Li Syn-mana uważa, że „nawet rozpatrywanie propozycji konferencji genewskiej równoznaczne jest ze złamaniem słowa danego republice koreańskiej“, ujawniając oficjalnie fakt że Dulles zobowiązał się wobec Li Syn-mana do niedopuszczenia do pokoju w Korei. Pod naciskiem opinii publicznej całego świata Dulles wycofać się musiał ze swojego dotychczasowego stanowiska i zgodzić się na rokowania o pokojową przyszłość



W kwestii niemieckiej i w sprawie bezpieczeństwa Europy oraz w sprawie Austrii czterej ministrowie nie osiągnęli porozumienia. Ale nie ulega wątpliwości, że szczerza i wyczerpująca wymiana poglądów na te sprawy musiała się przyczynić do lepszego zrozumienia wzajemnego stanowiska czterech mocarstw.

Dokładne ujawnienie i sprecyzowanie rozbieżności pomiędzy czterema mocarstwami ułatwi znalezienie dróg, prowadzących do zmniejszenia rozbieżności w przyszłości. Zadania bowiem, które na obecnej konferencji nie zostały rozwiązane — jak stwierdził w końcowym przemówieniu minister Mołotow — „nie zostały bynajmniej zdjęte z porządku dziennego”. Dotyczy to zwłaszcza przedstawionego przez Mołotowa projektu układu o zbiorowym bezpieczeństwie w Europie. Jak stwierdził na łamach „New York Herald Tribune” Walter Lippmann: „Ta propozycja jest tak poważna, że nie można jej po prostu odrzucić albo pozbliżyć się jej przez wysuwanie argumentów przeciwko niej; trzeba na nią odpowiedzieć poważną kontrpro-



pozycją“. Ale tej kontrpropozycji ministrowie zachodni w Berlinie nie wysunęli. Ich jedynym argumentem było twierdzenie, że „europejska wspólnota obronna” posiada jakoby charakter wyłącznie obronny, a nie agresywny, więc nie może zagrażać Związkowi Radzieckiemu, nawet gdy w składzie „armii europejskiej” znajdzie się wskrzeszony pod dowództwem hitlerowskich generałów Wehrmacht.

W sprawie niemieckiej i austriackiej Mołotow zgłaszał cały szereg propozycji, poszukując płaszczyzny kompromisu z mocarstwami zachodnimi. Przypomnijmy pokrótce te propozycje. Mołotow proponował przede wszystkim, aby przy omawianiu sprawy Niemiec dopuścić do udziału w rokowaniach przedstawicieli Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Niemieckiej Republiki Federalnej, bez udziału których uregulowanie problemu niemieckiego nie jest możliwe. Propozycja ta została przez ministrów zachodnich odrzucona. Mini-



ster Mołotow przedłożył następnie projekt podstaw traktatu pokojowego z Niemcami oraz projekt przygotowania traktatu i zwołania konferencji pokojowej. Mocarstwa zachodnie odrzuciły ten projekt, bynajmniej się z tym nie kryjąc, że nie chodzi im tak bardzo o sprawę Niemiec, jak o urzeczywistnienie projektu „armii europejskiej“. Powołanie do życia jednolitego, demokratycznego i pokojowego państwa niemieckiego oraz zawarcie z nim traktatu pokojowego wykluczałoby bowiem remilitaryzację Niemiec, a więc odbierałoby podstawy istnienia „europejskiej wspólnoty obronnej“.

Minister Mołotow wysunął wobec tego propozycję odbycia w Niemczech referendum ludowego — za układami w Bonn i Paryżu czy za traktatem pokojowym? Referendum takie ujawniłoby prawdziwą wolę narodu niemieckiego, ale właśnie dlatego, w słusznej obawie, że naród niemiecki wypowie się za traktatem pokojowym, ministrowie zachodni odrzucili propozycję referendum ludowego, nie chcąc jej nawet dyskutować. Ministrowie zachodni odrzucili również radziecką propozycję w sprawie utworzenia tymczasowego rządu ogólnoniemieckiego, który by opracował projekt ogólnoniemieckiej ordynacji wyborczej, zapewniającej prawdziwie demokratyczny charakter wyborów, przeprowadzonych w warunkach wolności, wykluczającej nacisk na wyborców ze strony monopolu oraz sił faszystowskich i militarystycznych.

Również propozycja radziecka w sprawie złagodzenia finansowo-gospodarczych zobowiązań Niemiec, powstałych w wyniku wojny, nie znalazła zrozumienia wśród ministrów zachodnich. Wreszcie, ministrowie zachodni odrzucili również przedstawiony przez Mołotowa wraz z projektem o bezpieczeństwie zbiorowym w Europie wniosek o neutralizacji Niemiec, który przewidywał wycofanie z Niemiec wschodnich jak i zachodnich wojsk okupacyjnych i ograniczenie sił zbrojnych zarówno NRD

jak i Niemiec zachodnich do oddziałów policyjnych w celu utrzymania porządku wewnętrznego i ochrony granic Niemiec. Nawet zgłoszone przez Mołotowa propozycje tymczasowego ulżenia sytuacji Niemiec przez utworzenie jednego komitetu ogólnoniemieckiego, mającego za zadanie uzgodnienie i skoordynowanie spraw handlu, finansów, transportu, spraw granicznych i innych kwestii dotyczących stosunków gospodarczych, a drugiego komitetu ogólnoniemieckiego do spraw rozwoju kultury, nauki i sportu — zostały przez ministrów zachodnich bez dyskusji w przedostatnim dniu konferencji odrzucone, podobnie jak i propozycja radziecka w sprawie porozumienia pomiędzy wschodnimi a zachodnimi Niemcami co do liczebności i uzbrojenia policji.

Tak samo w sprawie zawarcia traktatu z Austrią wszelkie w tej mierze propozycje radzieckie oraz kompromisowe poprawki ministra Mołotowa zostały odrzucone. Tygodnik angielski „*New Statesman and Nation*“ przytoczył wypowiedź szefa prasowego delegacji austriackiej, Konhubera, który oświadczył, że Mołotow i Figl mogliby w ciągu jednej godziny rozwiązać cały problem austriacki, ale Dulles wszelki kompromis w tej sprawie uniemożliwił, wychodząc z założenia, że takie zakończenie konferencji berlińskiej postawiłoby Adenauera w trudnej sytuacji i mogłoby uniemożliwić ratyfikację układu o „europejskiej wspólnoty obronnej“. „*Sukces osiągnięty w tej sprawie w ostatnich chwilach konferencji* — pisał „*New Statesman and Nation*“ — mógłby przekonać miliony Europejczyków, że z Rosjanami można pertraktować. Stąd byłby tylko jeden krok do przeciwstawienia się Europejskiej Wspólnocie Obronnej i uzbrojeniu Niemiec“ — konkludował angielski tygodnik.

Po codziennych wypowiedziach Mołotowa, po wniesionych przez niego licznych propozycjach, po całej jego mistrzowskiej dyplomacji, której nysłą przewodnią był zawsze pokój,

nawet dla tych dotąd nieprzejednanych stać się musiało faktem niewątpliwym, że Związek Radziecki nie tylko pragnie pokoju, ale i dąży do niego wszelkimi możliwymi sposobami. Jak napisał postępowy dziennik francuski „Liberation”: „Konferencja berlińska pogrzebała już jedną legendę: groźbę agresji radzieckiej. Nawet ci, którzy udawali, że traktują ją poważnie, muszą dziś przyznać, iż Związek Radziecki pragnie utrzymać pokojowe stosunki ze wszystkimi krajami świata. Straszak radziecki będzie więc odłożony do lamusa. W każdym razie nie będzie się nim już potrząsać w parlamencie dla prób usprawiedliwienia przedłużenia zimnej wojny, wzmocnienia zbrojeń zachodnich i poparcia armii europejskiej”.

Kłamstwo zostało na konferencji berlińskiej przygwożdżone i to jest ważny pozytywny rezultat tej konferencji.

Oceniając wyniki konferencji berlińskiej, podkreślić należy jeszcze jako fakt dodatni, że między delegacjami panowała zupełnie inna atmosfera, niż na poprzednich konferencjach czterech mocarstw, nie wyłączając atmosfery, jaka ostatnio panowała między nimi na sesjach Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych. Poczytny amerykański dziennik burżuazyjny „Christian Science Monitor” stwierdził: „Przyjazna atmosfera, która cechowała otwarcie konferencji, utrzymywała się przez cały czas jej trwania, mimo braku zgody między jej uczestnikami”.

Reasumując, można z całą obiektywnością wysunąć twierdzenie, że w pokojowym bilansie międzynarodowym konferencja berlińska nie została zapisana po stronie strat, lecz po stronie zysków.

SPRAWA INDOCHIN

Jedną z głównych pobudek tego, że w Berlinie doszło do kompromisu między czterema mocarstwami w sprawie zwołania konferencji genewskiej z udziałem Chin Ludowych było stanowisko opinii publicznej Fran-

cji, która poszukuje dróg rozwiązania sprawy Indochin i spodziewa się, że konferencja genewska dopomoże do rozwiązania tego problemu.

Wojna w Indochinach toczy się od blisko siedmiu lat. Ofensywa wojsk ludowych w Patet Lao, która doprowadziła do otoczenia miasta Luang Prabang, stolicy tego kraju, położonego w północnej części Indochin, a także postępy wojsk ludowych w środkowym Patet Lao, na wschód od rzeki Mekong, rozwijają się skutecznie. Sytuacja francuskiego korpusu ekspedycyjnego staje się z dnia na dzień bardziej krytyczna.

Pod naciskiem kategorycznych żądań francuskiej opinii publicznej, rząd francuski coraz wyraźniej skłania się ku rozejmowi. Wysoki komisarz francuski w Indochinach, Maurice Dejean oświadczył niedawno, że Francja rozpatrzy pokojowe propozycje prezydenta Ho Szi Mina, jeżeli będą one przedstawione „w sposób sprecyzowany i oficjalny”. Dejean podkreślił, że „Francja nie odrzuca z góry możliwości negocjacji z Ho Szi Minem”. Ze strony amerykańskiej czynione są natomiast próby zachęcenia władz francuskich do kontynuowania wojny.

Sytuacja w Indochinach wywołuje poważny niepokój w Waszyngtonie, gdzie zastanawiają się na tym, w jaki sposób w obronie własnych imperialistycznych interesów „pomóc” Francuzom. Jedną z propozycji przewidywała wysłanie do Indochin wojsk lisynmanowskich. Sam Li Syn-man oficjalnie oświadczył, że zaproponował głównodowodzącemu wojsk amerykańskich w Korei, generałowi Hullowi wysłanie do Indochin jednej dywizji południowo-koreańskiej. Ta prowokacyjna oferta nie została jednak dotąd przyjęta przez rząd francuski.

Departament Obrony w Waszyngtonie oznajmił o toczących się między przedstawicielami USA i Francji oficjalnych pertraktacjach w sprawie ewentualnego mianowania generała O'Daniela na stanowisko szefa ame-

rykańskiej misji szkoleniowej w Indochinach. Misja ta miałaby się zająć szkoleniem oddziałów armii Bao Daję, na podstawie doświadczeń z Grecji i Korei. „Doświadczenia“ z Grecji i Korei są notorycznie znane: polegają one na organizowaniu faszystowskiej agresji.

Do Indochin zawitał szef amerykańskiego urzędu pomocy dla zagranicy, Harold Stassen, gdzie spotkał się z przybyłym na inspekcję wojsk francuskich ministrem obrony, Plevinem, wyposażonym przez rząd francuski w specjalne pełnomocnictwa dla opanowania na miejscu krytycznej sytuacji. W spotkaniu wziął również udział brytyjski wysoki komisarz na Malajach, Malcolm Mac Donald. Była to więc formalna narada trzech mocarstw imperialistycznych, aby sprostać zadaniu zwalczania ruchu wyzwolenieckiego w południowo-wschodniej Azji. Ministrowi Plevinowi towarzyszył w Indochinach szef francuskiego sztabu generalnego, generał Paul Ely, który z kolei udaje się do Waszyngtonu dla odbycia konferencji w sprawie prowadzenia wojny w Indochinach z szefem połączonych sztabów amerykańskich, admirałem Radfordem. Wiadomo, że Radford jest zwolennikiem kontynuowania wojny w Indochinach.

Ale nawet i w Ameryce żalosne widoki dalszej kampanii francuskiej w Indochinach wywołują bardziej trzeźwe refleksje. „Wall Street Journal“, omawiając plany wysłania do Indochin amerykańskiego personelu lotniczego, napisał: „**Jest to oczywiście droga, która prowadzi do zaangażowania się w wojnie podobnej do koreańskiej, jeżeli działania wojenne nie będą się kształtowały pomyślnie. Zostalibyśmy wciągnięci w wojnę bynajmniej nie w wyniku trzeźwej rozważ, lecz poprzez częściowe podejmowanie zobowiązań w postaci ochrony pierwszych żołnierzy, których tam wysłaliśmy**“. A „New York Herald Tribune“, przyznając, że francuska opinia publiczna domaga się

obecnie prawie jednomyślnie zakończenia działań wojennych w Indochinach, oświadczył: „**Gdy walka przestaje być korzystna oraz gdy nie ma realnych celów kontynuowania jej, rozsądny rząd podejmuje kroki w kierunku jej zakończenia**“. Zaś znany publicysta amerykański, Walter Lippmann stwierdził na łamach „New York Herald Tribune“, że ani stara trumanowska, ani też nowa eisenhowerowska strategia nie dają szans zwycięstwa w takich wojnach, jak koreańska i indochińska. „**Oto przyczyny, dlaczego podpisaliśmy rozjem w Korei**“ — oświadczył Lippmann.

Amerykański sekretarz Stanu Dulles pragnąc wzmocnić pozycję francuskiego ministra spraw zagranicznych Bidault i całego rządu Laniela zgodził się w Berlinie na zwołanie konferencji genewskiej, która ma znaleźć drogi zakończenia „brudnej“ wojny w Indochinach. Liczy on na to, że dzięki chwilowemu zadośćuczynieniu opinii francuskiej, domagającej się stanowczo zakończenia wojny w Indochinach, skłoni ją do większej uległości na rzecz popieranej przez Laniela i Bidault ratyfikacji układu o „europejskiej wspólnocie obronnej“. Kalkulacja Dullesa i Bidault okazać się może fałszywą. Zapowiedź konferencji genewskiej może tylko przyczynić się do wzrostu sił pokoju we Francji, sił, które wypowiadają się i przeciw remilitaryzacji Trizonii, i przeciw kontynuowaniu wojny w Indochinach.

RZĄD SCELBY WE WŁOSZECH

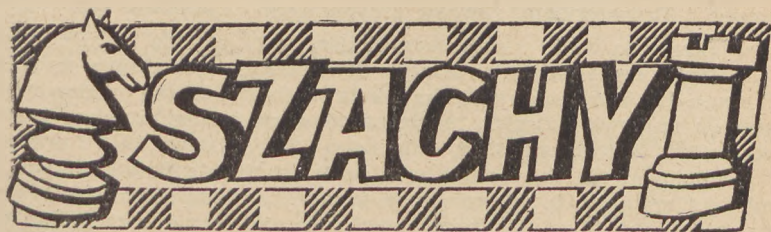
Po nieudanej jedenastodniowej próbie rządzenia Fanfaniego, partia chadecka wysunęła na stanowisko premiera nowego rządu znenawidzonego przez naród włoski byłego ministra spraw wewnętrznych, Scelbę. Rząd Scelby, który stanowi próbę odtworzenia dawnej koalicji chadeków z liberałami i prawicowymi socjaldemokratami, w którym notoryczny z wysługiwania się kapitalistom przywódca socjal-demokratów, Saragat

jest wicepremierem, nie ma dużo większych szans przetrwania, aniżeli miał rząd czysto chadecki Fanfaniego. Większość, jaką Scelba rozporządza w parlamencie, jest tak nikła, że wartość jej staje się na dłuższą metę problematyczna. „W kołach politycznych — pisał socjalistyczny „Avanti“ — panuje opinia, że nowy rząd jest niedonoszonym dzieckiem, a więc z natury słabym i mającym małe szanse na dłuższe życie“. Komunikat partii socjalistycznej Nenniego stwierdził, że rząd Scelby i Saragata pozostawia nierozwiązany polityczny problem, jaki wysunęły wybory z 7 czerwca. Problem ten utrzymuje się nadal w nader ciężkich warunkach wewnętrznej napięcia we Włoszech, zagrożenia demokracji i pogarszania się warunków życia robotników. Zaś o ile chodzi o politykę zagraniczną rządu Scelby, to wystarczy fakt, że pierwsze posiedzenie nowego gabinetu włoskiego poświęcone było za-

aprobowaniu projektu ustawy o ratyfikacji układu o „europejskiej wspólnocie obronnej“ dla przedłożenia parlamentowi.

Nic więc dziwnego, że w całych Włoszech narasta fala protestu przeciwko zniechędzonemu Scelbie. Liczne strajki są dowodem, że włoska klasa robotnicza odmawia zaufania rządowi Scelby i domaga się powołania rządu, którego polityka zgodna byłaby z interesami narodu włoskiego. Scelba nie zawahał się przed zastosowaniem przeciwko strajkującym robotnikom krwawych metod rozprawy policyjnej. Na Sycylii połała się krew. W Rzymie, w Mediolanie, w Genui dokonano licznych aresztowań. Te prowokacje policyjne pogłębiają przepaść istniejącą pomiędzy ludem a tymi, którzy wbrew interesom narodu rządzą we Włoszech.

STEFAN LITAUER



O MISTRZOSTWO ŚWIATA!

W DNIU 16 marca rozpoczyna się w Moskwie mecz o mistrzostwo świata między dwoma słynnymi arcymistrzami radzieckimi: obrońcą tytułu Michałem Botwinnikiem i zwycięzcą zeszłorocznego „turnieju kandydatów“ Wasilim Smysłowem. W historii szachów nowożytnych, od czasu wprowadzenia oficjalnego tytułu mistrza świata — będzie to dopiero dwudzieste tego rodzaju spotkanie. Pierwszym oficjalnym mistrzem świata ogłoszono, jak wiadomo, Wilhelma Steinitza, po pokonaniu przez niego w meczu Zuckertorta w r. 1886 w stosunku $+10, -5, =5$. Na przestrzeni 8 lat Steinitz bronił swego tytułu czterokrotnie: pokonał w r. 1889 słynnego arcymistrza rosyjskiego Czigorina $+10, -6, =1$, następnie Gunsberga w r. 1890 $+3, -4,$

=9 i w drugim meczu Czigorina po ciężkiej walce +10, -8, =5. Dopiero w r. 1894 Steinitz został nieoczekiwanie pokonany przez przeszło dwukrotnie młodszego Emanuela Laskera -10, +5, =4. Rewanżowy mecz w r. 1896 wygrał również Lasker +10, -2, =5! Lasker, bezsprzecznie jeden z największych fenomenów, jakich znają szachy — był mistrzem świata przez 27 lat, bijąc w r. 1907 Marshalla +8, -0, =7. następnie w r. 1908 Tarrascha +8, -3, =4, wreszcie Janowskiego w r. 1909 +7, -1, =2 i w r. 1910 +8, -0, =3. Mecz ze Schlechterem zakończył się remisem +1, -1, =8 w r. 1910, a wybuch I Wojny Światowej uniemożliwił, niestety, dojście do skutku meczu z największym w tym okresie rywalem Laskera, słynnym arcymistrzem polskim Rubinsteinem. W r. 1921 Lasker stracił tytuł na rzecz José Raoula Capablanki, przegrywając +0, -4, =10. Capablanca był mistrzem świata zaledwie przez 6 lat i w sławnym meczu w r. 1927 pokonany został przez genialnego arcymistrza rosyjskiego Alechina -6, +3, =25. Alechin bronił swego tytułu dwukrotnie w meczach przeciw Bogolubowowi w r. 1929 wygrywając +11, -5, =9 i w r. 1934 +8, -3, =15. Pokonany nieoczekiwanie przez Maxa Euwego w r. 1935 +8, -9, =13 utracił Alechin na dwa lata tytuł mistrza świata, ale w meczu rewanżowym pokonał w r. 1937 Euwego przekonywająco +10, -4, =11, po raz pierwszy w historii szachów powracając na tron mistrzowski.

Śmierć Alechina, jako mistrza świata, w r. 1946 uniemożliwiła kontynuowanie tradycyjnych meczów i musiano znaleźć inne rozwiązanie. Był nim rozegrany w r. 1948 mecz-turniej pięciu najlepszych szachistów, którego zwycięzcę ogłoszono mistrzem świata. Turniej ten zakończył się wspaniałym zwycięstwem arcymistrza radzieckiego Michała Botwinnika 14 p., przed Smysłowem 11 p., Keresem i Reshevskym po 10 i pół p. oraz Euwem 4 p. Mistrzem świata został więc Botwinnik, który w r. 1951 obronił swój tytuł remisując z Bronsztajnem, również arcymistrzem radzieckim +5, -5, =14.

I tym razem do walki o najzaszczytniejszy tytuł zasiada za kilka tygodni dwaj arcymistrzowie radzieccy, słusznie dokumentując przodującą pozycję, jaką zajmuje dziś w świecie radziecka szkoła szachowa. Walka między zwycięzcą szeregu najpoważniejszych międzynarodowych turniejów od r. 1935, jak Moskwa 1935, Nottingham 1936, Groningen 1946, Moskwa 1947 i wielokrotnym championem ZSRR — aktualnym mistrzem świata Botwinnikiem, a jego młodym rywalem, b. wicemistrzem świata, b. championem ZSRR i zwycięzcą (z dwupunktową przewagą!) zeszłorocznego turnieju kandydatów arcymistrzem Smysłowem, znajdującym się dziś w najpełniejszym rozwoju sił twórczych — jest wydarzeniem wielkiej miary i przez dwa miesiące trwać będzie w napięciu cały świat szachowy.

Dotychczasowy bilans spotkań obu wielkich przeciwników można podzielić na dwa etapy. Do r. 1947 Botwinnik miał zdecydowaną przewagę, wyrażającą się stosunkiem +6, -1, =5. Poczynając od mecz-turnieju 1948 r. walka się wyrównała i jej bilans wynosił +1, -1, =6. Bilans łączny +7, -2, =11 na korzyść mistrza świata.

Korzystając z okazji pragniemy dziś przypomnieć jedną niezwykle ciekawą, a mało znaną partię graną przez obu przeciwników. Uwagi do niej, nadzwyczaj charakterystyczne dla osoby mistrza świata jako gracza i komentatora — zaczerpnęliśmy z książki Botwinnika pt. „Wybrane partie“.

PARTIA FRANCUSKA

grana w XIII Championacie ZSRR w Moskwie 1944 r.

Białe: **Smysłow**. Czarne: **Botwinnik**

- | | |
|------------|---------|
| 1. e2-e4 | e7-e6 |
| 2. d2-d4 | d7-d5 |
| 3. Sb1-c3 | Gf8-b4 |
| 4. e4-e5 | c7-c5 |
| 5. a2-a3 | Gb4:c3+ |
| 6. b2:c3 | Sg8-e7 |
| 7. a3-a4 | Sb8-c6 |
| 8. Sg1-f3. | |

Po raz pierwszy zastosowałem ten wariant (czarnymi) w partii z Milner-Barrym (Hastings, 1934 r.). Smysłow wielokrotnie oświadczał, że system ten jest zły dla czarnych, dlatego też zastosowałem go w niniejszej partii ze specjalną przyjemnością.

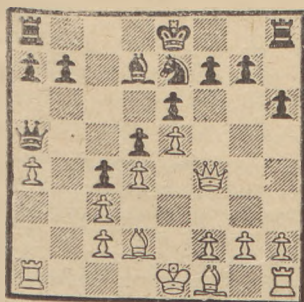
- | | |
|-----------|--------|
| 8. | Hd8-a5 |
| 9. Gc1-d2 | |

Logiczne było tutaj 9. Hd2, nie przeciwdziałając możliwej wymianie hetmanów. Białe zamierzają jednak rozstrzygnąć partię natarciem na królewskim skrzydle.

- | | |
|------------|-------|
| 9. ... | c5—c4 |
| 10. Sf3—g5 | |

Manewr Sf3—g5—h3—f4—h5 był wskazany przeze mnie w 1939 r. w komentarzach do partii Pogrebyski — Botwinnik. Czarne nie dopuszczają do przeprowadzenia skoczka na h5.

- | | |
|------------|----------|
| 10. ... | h7—h6 |
| 11. Sg5—h3 | Se7—g6 |
| 12. Hd1—f3 | Gc8—d7 |
| 13. Sh3—f4 | Sg6 : f4 |
| 14. Hf3:f4 | Sc6—e7 |



Można podsumować wyniki debiutu: zakończył się on niepoomyślnie dla białych. Białe muszą stracić piona a4. Mogą one co prawda rozpocząć pionowy atak na królewskim skrzydle, ale czarne mają tam środki obrony.

- | | |
|-----------|----------|
| 15. h2—h4 | Gd7 : a4 |
| 16. h4—h5 | Ha5—b5 |

Napada na piona c2.

- | | |
|------------|--------|
| 17. Kel—d1 | Wa8—c8 |
|------------|--------|

Najprostszy sposób wprowadzenia do gry wieży a8. Białe muszą teraz stracić jeszcze kilka temp. broniąc się przed figurowym atakiem na króla.

- | | |
|------------|--------|
| 18. Gd2—c1 | Wc8—c6 |
| 19. Gf1—e2 | |

Wielu mistrzów ganiło Smysłowa za ten ruch i polecało natychmiastowe 19. g4. Myślę, że przy prawidłowej grze czarnych nie miało by to istotnego znaczenia.

- | | |
|------------|--------|
| 19. ... | Wc6—a6 |
| 20. Kd1—d2 | |

Wielkie osiągnięcie czarnych! Teraz przekątna c1-h6 zamknięta jest dla białego gońca.

- | | |
|---------|-----|
| 20. ... | 0—0 |
|---------|-----|

Ten ruch jest wyraźnie na rękę białym, gdyż czarne będą zmuszone do posunięcia 21. ... f6 i biały hetman uzyska swobodę manewrowania na przekątnej h2—b8.

Czarne nie były jeszcze narażone na żadne niebezpieczeństwo; król ich w centrum stał dostatecznie pewnie i w związku z tym zamiast grać na pułapkę (21. Ga3, G : c2! 22. G : e7, Hb2), czarne powinny były grać na uproszczenie albo przez 20. ... Hd7 i 21. ... Gb5, albo za pomocą 20. ... Hb6 i 21. ... Gd7.

- | | |
|-------------|----------|
| 21. g2—g4 | f7—f6 |
| 22. e5 : f6 | Wf8 : f6 |
| 23. Hf4—c7 | Wf6—f7 |
| 24. Hc7—d8+ | Kg8—h7 |
| 25. f2—f4! | |

Ze straszną groźbą g4—g5—g6+. Przemysławszy w tej pozycji więcej niż 30 minut doszedłem do wniosku, że należy grać 25. ... Hd7. 26. H : d7, G:d7, 27. W:a6, b:ab. 28. Ke3, Gb5 z przybliżonym wyrównaniem, gdyż skoczek czarny w wypadku dalszego posuwania się białego piona „g” zawsze gotów jest zająć pole f5.

Mimo wszystko zdecydowałem się poszukać szczęścia i poszedłem na podstępny, ale nadzwyczaj niebezpieczny dla czarnych wariant.

25. ... Hb5—a5

Proponuje wymianę hetmanów bez pogorszenia pozycji pionów.

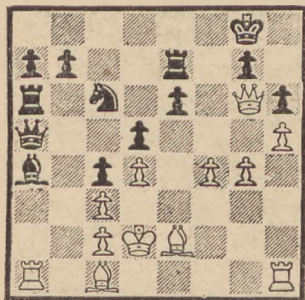
26. Hd8—b8 Wf7—e7

27. Hb8—e8 Se7—c6

28. He8—g6+

Smysłow zrobił ten ruch bez namysłu. Przypuszczalnie mniemał on, że 28. Hf8 prowadzi do wymiany hetmanów, a po ruchu w partii białe zachowują możliwość decydującego ataku na króla. Było to poważną omyłką: właśnie w wypadku 28. Hf8, Hd8. 29. H : d8, S : d8. 30. g5 zachowywały białe dobre widoki, gdyż czarnego skoczek nie tak łatwo byłoby przeprowadzić na pole f5. Wybrany przez Smysłowa ruch wciągnął białego hetmana w pułapkę!

28. ... Kh7—g8



29. Gc1—a3

Białe wciąż jeszcze nie widzą niebezpieczeństwa, które grozi ich bet-

29. ... e6—e5

Nader ryzykownie zagrane! Początkowo zamierzałem kontynuować 30. ... Hc7, ale wariant 30. Wh—f1, Se5. 31. f : e5, Ge8. 32. Wf8+, K:f8. 33. Hh7 jest zły dla czarnych. A jednak należało grać 29. ... Hc7. 30. Wh—f1, Sb4! 31. G : b4, Ge8 i wątpliwe należy, czy białe mogą jeszcze uratować partię.

30. f4 : e5

To już jest decydującym błędem. Kontynuując 30. d : e5 białe bynajmniej nie powinny były przegrać. Jeśli czarne grałyby dalej tak, jak w partii, to stojący jeszcze na f4 pion gwarantowałby białym pełnowartościową grę.

30. ... Sc6 : d4

31. Ga3—b4 Ha5—d8

32. Hg6 : a6 b7 : a6

33. c3 : d4 We7—b7

Wygrywające posunięcie; oto gdzie wyszedł na jaw brak piona f4!

34. Wa1 : a4 Hd8—g5+

35. Kd2—d1 a6—a5

Można było i 35. ... c3. Czarne mają już tutaj niejedno rozwiązanie problemu.

36. Ge2—f3 Wb7 : b4

37. Gf3:d5+ Kg8—f8

38. Wh1—f1+ Kf8—e8

39. Gd5—c6+ Ke8—e7

40. Wa4 : b4 Hg5 : g4+

Białe zapisały ruch 41. Kc1, następnie jednak poddały partię bez dogrywania. Wywiązała się tu interesująca walka, ale partia przedstawiałaby jeszcze większą wartość, gdyby nie obustronne omyłki w końcowym stadium gry.



RUBRYKA FILATELISTYCZNA

Z NACZKI pocztowe stanowią jedną z najżywszych dokumentacji, tak z punktu widzenia historii, jak geografii i sztuki.

Są one obrazowym refleksem kraju, który je emituje. Pozwalają nam odkrywać nieznane miejsca, odległe krajobrazy, wybitnych uczonych i wielkich pisarzy. Przypominają ważne daty z życia narodu.

Te małe wielobarwne prostokąty papieru, które obiegają świat naklejone na rogach kopert, zdolały swym urokiem „wielkich podróżników“, dzięki zdolnościom reklamowym i wdziękowi artystycznemu potrafiły zwrócić na siebie uwagę milionów i zjednać miłośników, w tym wypadku — filatelistów.

I dlatego co miesiąc przedstawimy wam tę małą rubrykę, ilustrowaną reprodukcjami znaczków pocztowych — omawiającą najrozmaitsze tematy.

Znaczki Pokoju wydane przez Francję

Już w 1932 roku ukazała się nowa seria obiegowa przeznaczona dla zastąpienia sławnych „Siewczyń“, której jedynym tematem stała się kobieta symbolizująca „Pokój“.

Po zakończeniu I wojny światowej 1914—1918 ludzkość przeżywała nową erę pokoju, a radość z tego powodu była tak wielka, że wyraziła się nawet na znaczkach pocztowych. Seria ta, nazwana „Typem Pokoju Laurens'a“ (przyp. red.: została wprowadzona do obiegu na skutek starań francuskiego Związku b. uczestników I wojny światowej, rysunek zaś „Paix“ umieszczony na znaczkach tej serii stworzył art. mal. Paweł Laurent), zawiera dwadzieścia znaczków; poczynawszy od wartości 20 centimów do 1,75 franka oraz jedenaście nadruków. Seria tworzy piękną gamę kolorów od oliwkowo-zie-



lonego do karmirów, przechodząc przez fiolet, odcienie różowe i ultramarynę. Jest ona niezbyt droga, tak że nawet początkujący zbieracz z łatwością

skompletuje pełny zbiór.

Szczegóły techniczne. Znaczki wydrukowano techniką typograficzną, po 100 w jednym arkuszu, o zabiegowaniu $14 \times 13,5$.

Odmiany. Wszystkim zbieraczom są dobrze znane cztery rodzaje czerwonych znaczków po 50 c., które różnią się jedne od drugich pewnymi szczegółami w fałdach tuniki przy klamrze paska i załamaniem górnej linii małego c. przy cenie znaczka.



1934 rok przynosi nam wydanie znaczka małego formatu „Gołąb Pokoju”. Niewielu filatelistów zna historię tego znaczka. Był on jednym ze znaczków

serii obiegowej, złożonej z 9 różnych wartości, a przedstawiających następujące tematy: 40 c — Wieża Eiffel, 50 c Kogut Galijski, 1,50 fr — Gołąb, 1,75 fr Inwalidzi, 2 fr Rzeka Bretońska, 3 fr Sw. Trophime d'Arles, 5 fr Szańce Carcassonne, 10 fr Widok Miasta, 20 fr Taca Antyków. Ministerstwo PTT nie zaakceptowało 6 wartości i ukazały się jedynie Gołąb, Rzeka Bretońska i Sw. Trophime d'Arles. Gołąb Pokoju był projektowany przez Daragnès, drukowany typograficznie w kolorze jasnej ultramaryny na białym tle. Jest to znaczek wykonany nowocześnie, dosyć poszukiwany, którego cena waha się w granicach od 4 do 500 franków.

Trzeci znaczek został wydany w 1936 roku, z okazji Zgromadzenia Pokoju w „Saint-Cloud”.

Przedstawia on tłum zgromadzony wokół kobiety symbolizującej Pokój. Znaczek ryto w miedziorycie i wydrukowano w kolorze niebieskim.



Dwa ostatnie znaczki, o których będziemy mówić, ukazały się w obiegu znacznie później i były wydane z okazji Kongresu Pokoju, który odbył się w Paryżu w 1946 roku. Pierwsza wartość — 3 fr w kolorze zielonym, przedstawia dwie otwarte dłonie, spośród których wyfruwa gołębicą. (Ryty przez Gandon).

Drugi znaczek wartości 10 franków, niebiesko-szary, przedstawia kobietę trzymającą gołębicę z rozpostartymi skrzydłami. (Ryty przez Deca ris).

Te dwa znaczki emitowane w dniu otwarcia Kongresu (29.VII.46), były ryte w miedziorycie na arkuszach po 50 szt.



...Od tego czasu minęło siedem lat, a Francja dotychczas nie wydała nowych znaczków Pokoju. Gołębie Picasso obiegły na znaczkach pocztowych Chin, Czechosłowacji, Polski, Niemiec itp., ale pocztą francuska nie uważała za właściwe uczcić wielkiego francuskiego artysty, ani też wyrazić na znaczkach chęci zachowania Pokoju na świecie. Filateliści jednak wrażają nadzieję, że wkrótce będą mogli umieścić w swoich albumach serię nowych znaczków wydanych na cześć Pokoju i przyjaźni między narodami.

Miesięcznik „W Obronie Pokoju” ukazuje się dotychczas w następujących krajach:

- FRANCJA:** „Defense de la Paix“, rue Vivienne, Paris II-e,
Prenumerata: rocznie — 600 fr., półrocznie — 300 fr.
- ZSRR:** „W Zaszczitu Mira“, Moskwa, ul. Krapotkina 10.
- BULGARIA:** „Zaszczita na Mira“, Sofia, Ivan-Vazov 27.
- WŁOCHY:** „La Pace“, Rassegna internazionale del mese,
Roma, Via Savoia 82.
- MEKSYK:** Revista „Paz“, Mexico 1, D. F., Avenida Jaurez 20.
- CHINY:** „Pao Wei Ho Ping“, Pekin, Taichichang 9.
- NRD:** „Friedenswacht“, Mauerstrasse Berlin, W. 8.
- NIEMCY ZACHODNIE:** „Friedenswacht“, Stuttgart 6 —
Heinrich-Baumannstrasse 27.
- JAPONIA:** „Haiwa Yogo“, Japan Peace Committee 28.
Tamachi, Bunkyo-ku, Tokio.
- RUMUNIA:** „In Apararea Pacii“, Revista Lunara Bucuresti,
str. Polonia 19.
- BRAZYLIA:** „Partidarios da Paz“, Rua Sao Jose No 50,
Sala 502, Rio de Janeiro.
- KANADA:** „Peace Review“, 82 Gould St., Toronto.
- FINLANDIA:** „Tanaan“, 15/17 Erottajankatu, Helsinki.
- IRAN:** „Defae Az Solhe“, av. Ferdowsi Teheran.
- INDIE:** „Peace Review“, 14, Munshi Niketan, Kamla Market,
New Delhi (India).

W OBRONIE POKOJU

★

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę miesięcznika „W Obronie Pokoju“ są przyjmowane:

Na okresy kwartalne: do dnia 10-go grudnia na I kwartał, do dnia 10-go marca na II kwartał, do dnia 10-go czerwca na III kwartał, do dnia 10-go września na IV kwartał.

Na okresy półroczne: do dnia 10-go grudnia na I półrocze, do dnia 10-go czerwca na II półrocze.

Na okres roczny — do dnia 10-go grudnia.

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wszyscy.

Reklamacje prosimy kierować do P. P. K. „Ruch“ — Warszawa. ul. Srebrna 12.

★

